

Stanisław Siekanowicz

Wspomnienia z czasów działania w opozycji : część 1: 1977–1980

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 15, 343-422

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław Siekanowicz,
Toronto (Kanada)

Wspomnienia z czasów działania w opozycji (część 1: 1977–1980)

Od redakcji

Kiedy w roku 2000 wydawałem książeczkę z okazji 50. rocznicy powstania gorzowskiego Archiwum Państwowego, to w jednym z aneksów zamieściłem wykaz wówczas i w przeszłości pracujących w tej instytucji. Znalazło się tam również nazwisko Stanisława Siekanowicza, który przez krótki okres kilku miesięcy w roku 1979 także pracował w naszej instytucji. Nie wiedziałem jednak wówczas nic więcej na jego temat. Także kilka lat później, opisując dzieje polityczne Gorzowa w latach 1945–1998, niewiele wiedziałem na jego temat, wzmiankując tylko, że był członkiem Regionalnego Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania w roku 1981. Dopiero później, w końcu roku 2006 zacząłem poszukiwać człowieka, który okazał się być w końcu lat 70. jedną z najbardziej znanych postaci gorzowskiej opozycji. Poszukiwania przeprowadziłem na prośbę prof. dr. hab. Kazimierza Kozłowskiego ze Szczecina.

Początkowo poszukiwania nie przynosiły rezultatów, gdyż tropy wiodły do Kanady, ale w końcu znalazłem telefon pana Stanisława. Okazało się, że mieszka w Toronto. Dokładnie 1 stycznia 2008 roku po raz pierwszy rozmawialiśmy telefonicznie.

W trakcie tej i następnych rozmów udało mi się namówić pana Staszka do napisania swoich wspomnień z działalności w opozycji. Tak też uczynił. W trakcie ich opracowywania doszło także do nagrania ich wersji mówionej. Stało się tak z inicjatywy Jarosława Palickiego z Instytutu Pamięci Narodowej – Delegatury w Gorzowie i dzięki środkom technicznym, jakie udostępniło Radio Zachód i jego redaktor Zbigniew Bodnar.

Kim jest autor poniższych wspomnień? Stanisław Siekanowicz urodził się 14 stycznia 1951 roku w Ownicach koło Słońska. Pochodził z rodziny chłopskiej. Ojciec Adam Siekanowicz (ur. 1905 w woj. tarnopolskim, zm. 1978 w Gorzowie), przed wojną był rolnikiem, pszczelarzem i sadownikiem. W czasie wojny został wcielony do artylerii I Armii Ludowego Wojska Polskiego, ukończył szlak bojowy pod Berlinem, a wcześniej w czasie bitwy o Kołobrzeg był jedynym ocalałym żołnierzem z 18-osobowej baterii. Matka – Karolina Siekanowicz z domu Chopcian (ur. 1910 w woj. tarnopolskim, zm. 1987 w Gorzowie). W czasie pobytu męża na wojnie przez 3 lata samotnie zajmowała się sadem i pasieką, wychowując troje małych dzieci (trzej starsi bracia Stanisława). Po eksrepatriacji do Polski jesienią 1945 r. i odnalezieniu się z mężem osiedli w Ownicach, prowadząc tam gospodarstwo rolne. Podupadli na zdrowiu rodzice nie radzili sobie już przy prowadzeniu gospodarstwa. W 1954 r. wyprowadzili się do Gorzowa. Adam Siekanowicz pracował jeszcze przez kilka lat jako palacz i portier, a potem przyznano mu rentę inwalidzką. Również w Gorzowie Siekanowiczowie prowadzili coś w rodzaju małego gospodarstwa zapewniającego im utrzymanie – bardzo duży ogród warzywny przy domu na ul. Żelaznej, gdzie zamieszkali, oraz pole ziemniaczane w miejscu obecnych wieżowców przy ul. Sportowej i łąka przy ul. Warszawskiej.

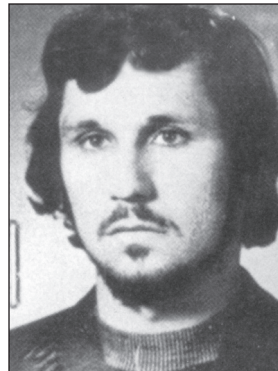


Stanisław Siekanowicz przed domem na ul. Żelaznej w Gorzowie w 2005 roku (fot. H. Oczkoś)

Trzej starsi bracia Stanisława urodzili się w Nastasowie – woj. tarnopolskie. Są to: **Bronisław** (ur. 1932) – absolwent Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, wieloletni pracownik dwóch zakładów w Zielonej Górze: główny księgowy Wojewódzkiego Zarządu Aptek, a następnie zastępca dyrektora ds. ekonomicznych Przedsiębiorstwa Transportu Handlu Wewnętrznego. Obecnie na emeryturze, mieszka w Zielonej Górze; Antoni (ur. 1935), absolwent Technikum Łączności, wieloletni pracownik administracji gorzowskiej hurtowni Wojewódzkiego Zarządu Aptek, potem „Stolbudu” i Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Pracy, obecnie na emeryturze, mieszka w Gorzowie oraz Józef (ur. 1938), ma wykształcenie ekonomiczne średnie; wieloletni mechanik centrali telefonicznej Węzła PKP w Gorzowie (współzałożyciel „Solidarności” na PKP i członek Komisji Zakładowej 1980–1981), uczestnik podziemia opozycyjnego w latach 80., obecnie na emeryturze, mieszka w Gorzowie.

Najmłodszy z rodzeństwa – Stanisław wraz z rodziną od roku 1954 mieszkał w Gorzowie. Tu ukończył Szkołę Podstawową nr 7 oraz Technikum Ekonomiczne w roku 1971. Potem studiował przez rok filologię angielską na UAM w Poznaniu, następnie przez rok filologię klasyczną na UMK w Toruniu, lecz przerwał studia, podejmując pracę jako inwentaryzator. Powróciwszy na filologię klasyczną w Uniwersytecie Wrocławskim, ukończył studia w 1978 r. Przy końcu tegoż roku został dopuszczony do obrony pracy magisterskiej pt. „Stosunki społeczno-polityczne w Kartaginie w czasach Hannibala na podstawie dzieł Tytusa Liwiusza” – jak sam twierdzi – „po usunięciu wyraźnych aluzji do systemu panującego w PRL”. W czasie studiów we Wrocławiu stał się jednym z czołowych działaczy tamtejszego Studenckiego Komitetu Solidarności – studenckiej organizacji opozycyjnej.

Po studiach powrócił do Gorzowa i wraz z żoną i dwiema córkami zamieszkali z mamą przy ul. Żelaznej. Jego żona to Halina Siekanowicz z domu Sadlok (ur. 1951 w Cieszynie w rodzinie rzemieślniczej), absolwentka Akademii Rolniczej we Wrocławiu (1975), pracowała jako nauczycielka w Zasadniczej Szkole Rolniczej w Trzebnicy k. Wrocławia, a po przeprowadzce do Gorzowa w Zasadniczej Szkole Rolniczej w Witnicy (filia Technikum Rolniczego w Kamieniu), skąd w stanie wojennym próbowano ją zwolnić, a gdy się okazało, że jest jedyną żywicielką rodziny (Stanisław był wtedy internowany), przeniesiono do Szkoły Podstawowej nr 2 w Gorzowie.



Stanisław Siekanowicz w czasach działalności w SKS (fot. z: Kryptonim „Wasale”, Warszawa 2007)

W Gorzowie Stanisław Siekanowicz początkowo pracował jako nauczyciel historii w Szkole Podstawowej nr 9. Po zakończeniu roku szkolnego 1978/1979 nie przedłużono z nim umowy i został bez pracy. Na krótko znalazł ją wkrótce w archiwum państwowym.

Po powrocie do Gorzowa Stanisław zaangażował się w działalność opozycyjną, o czym obszernie pisze we wspomnieniach. Był najważniejszym w Gorzowie współpracownikiem KSS „KOR”. Był w kontakcie z jego liderami, m. in. Jackiem Kuroniem czy Anką Kowalską. Po sierpniu 1980 roku uczestniczył w organizacji „Solidarności Wiejskiej”. W stanie wojennym był internowany w okresie XII 1981 – VI 1982.

Pan Stanisław, prowadząc swoją działalność opozycyjną, nie zagrzewał długo miejsca w żadnym zakładzie pracy. Z tego powodu rodzina cierpiała niedostatek. Dlatego zapewne w roku 1985 Siekanowiczowie zdecydowali się na emigrację do Kanady. Wyjechali tam jesienią 1985 roku i pozostali do dziś. W Kanadzie Stanisław m.in. był redaktorem naczelnym polonijnych tygodników „Echo” (1992–1994) i „Głos Polski” (1999–2001) oraz autorem publikacji w różnych pismach w Kanadzie, USA i Australii. Obecnie pracuje jako *security* (ochrona) i pomaga żonie w biznesie typu *pestcontrol* (dezynsekcja i deratyzacja). Ich dwie córki: Kamila (ur. 1976) jest nauczycielką, a Marta (ur. 1977) – stewardesą.

Wszystkie przypisy w tekście pochodzą od niżej podpisanego. Pragnę także podziękować wszystkim osobom, które pomogły mi w opracowaniu przypisów do poniższych wspomnień: a w szczególności Bogusławowi Gruszczyńskiemu, Marcie Marcinkiewicz, Grażynie Pytlak, Elżbiecie Intek, Janinie Jędrczak, Stanisławowi Golmento i innym.

Dariusz A. Rymar

Od Autora

Przez wiele lat nie myślałem o spisaniu tego rodzaju wspomnień, gdyż wśród postaci opozycji demokratycznej i niepodległościowej w Polsce nie należałem do najważniejszych ani do najodważniejszych, jak też nie mogę poszczycić się szczególnymi osiągnięciami w tym zakresie. Wreszcie na ślady mojej działalności natrafił dr Dariusz Rymar – dyrektor Archiwum Państwowego w Gorzowie. Poszukiwał mnie przez dłuższy czas i po wysłuchaniu przez telefon opowieści z tamtych lat przekonał mnie, że powinienem to wszystko „przełać na papier”. Dziękuję panu dyrektorowi Rymarowi za zachętę, za pomoc w ustaleniu niektórych dat i okoliczności, za dotarcie do wspominanych przeze mnie osób lub

członków ich rodzin, a szczególnie za wysiłek włożony w fachowe opracowanie przypisów. Jednocześnie dziękuję Bogusławowi Gruszczyńskiemu za pomoc w ustaleniu danych biograficznych niektórych osób oraz za dokumenty i inne materiały do ilustracji. Pierwsza część mojego tekstu, która ukazuje się w tym roku, obejmuje okres przed powstaniem „Solidarności”. W tym czasie istniała w kraju jawna opozycja, to znaczy wszyscy czołowi jej przedstawiciele w poszczególnych ośrodkach występowali otwarcie. W Gorzowie, podobnie jak w innych ośrodkach średniej wielkości, zaledwie parę osób obok mnie z czasem odważyło się występować mniej lub bardziej jawnie, natomiast większość kontaktów w mieście i regionie utrzymywana była w tajemnicy. Dlatego te sprawy są mało znane. Mogę się mylić, bo nadal czekam na swoje dokumenty z IPN, jednak wydaje mi się, że niektóre osoby i fakty z tego okresu w Gorzowie nie zostały rozpracowane przez SB i po latach ujawniam je publicznie po raz pierwszy. Z kolei w części drugiej, która ma się ukazać w przyszłym roku, będzie mowa m. in. o okresie po 13 grudnia 1981 r. Wówczas już nie prowadziłem intensywnej działalności, niemniej poruszę parę interesujących rzeczy, które – jak myślę – udało się skutecznie ukryć.

Stanisław Siekanowicz

* * *

Pierwszą część moich Wspomnień pragnę poświęcić pamięci: Marzeny Kęcikowej, Ireny Guśniowskiej z domu Opiel, Adama Opiela, Zygmunta Ciszaka, Kazimierza Modzelana, Czesława Sąsiadka oraz Zygmunta Jędrzaka – mojego najbliższego przyjaciela i współpracownika w okresie gorzowskim, którego niedawne odejście na zawsze szczególnie mnie przygnębiło.

Młodość „chmurna i durna”

Moje przekonania antykomunistyczne zostały ukształtowane w ostatniej klasie szkoły średniej – w Technikum Ekonomicznym w Gorzowie. Pamiętam swoją pogłębiającą się frustrację i wreszcie coraz bardziej narastającą złość do reżimu PRL, kiedy spotkały mnie i mojego kolegę z klasy represje polityczne, nieproporcjonalne do naszych dziecinnych raczej wybryków, niemających wiele wspólnego z polityką.

Wiosną 1970 r., niedługo przed maturą, chodzący do mojej klasy **Tadeusz Konewka** (obecnie, podobnie jak ja, mieszka w Toronto) – wówczas lubiący „rozrabiać” chłopak, trochę znerwicowany z racji nieszczęśliwego dzieciństwa (wychowanek Domu Dziecka w Międzyrzeczu), został wyrzucony z internatu i przeniesiony dyscyplinarnie do szkoły w innym mieście, gdyż uznano go za „prowodyrę grupy antysocjalistycznej”. O co chodziło? Tadek wraz z trzema współmieszkańcami podłączyli się do internatowego radiowęzła i przez parę minut wyglupiali się, próbując śpiewać jakąś piosenkę, a na koniec „programu” puścili przez moment z odbiornika tranzystorowego radio „Wolna Europa”. Chłopcy nie mieli żadnych intencji politycznych, był to po prostu wyglup, z którego zrobiono aferę polityczną.

Z powodu drastycznej kary, jaka spotkała ogólnie lubianego kolegę, w klasie zapanało rozgoryczenie, które znalazło swe ujście w czasie konkursu z okazji setnej rocznicy urodzin Lenina organizowanego przez wojewódzkie Kuratorium Oświaty. Eliminacje były przeprowadzane we wszystkich szkołach średnich w formie pisemnego quizu, który

zawierał kilkanaście pytań nie tylko z biografii Lenina, ale także z tzw. międzynarodowego ruchu robotniczego. Kilku z nas siedzących w ostatnich ławkach, żartowało sobie z tego quizu, a niektórzy – włącznie ze mną – powpisywali dowcipne lub absurdałne odpowiedzi. Nie pamiętam wszystkich swoich odpowiedzi z wyjątkiem dwóch, bo za nie zostałem wezwany do dyrektora. 1. *Jak zginął brat Lenina? – Wypadł z kolejki podziemnej.* 2. *Jaka znana osobistość przybywa w tych dniach do Warszawy? (był to jakiś towarzysz eneradowski) – Wielki mistrz Ulrich von Jungingen.* To były eliminacje na szczeblu szkoły, poza którą nasze odpowiedzi nie wyszły. Jednak dyrektor **Jan Gołąb**¹ groził mi wyrzuceniem ze szkoły. Dyrektor nie osiągnął tego celu na radzie pedagogicznej, bo wśród nauczycieli zapanowało rozbawienie i postanowiono nasze „wyniki” wyrzucić do kosza.

Dyrektor Gołąb postanowił mnie jednak w jakiś sposób ukarać, widząc tym razem prowodyra we mnie po usunięciu ze szkoły **Tadzia Konewki**. Wszyscy absolwenci Technikum Ekonomicznego pamiętają, że w tej szkole od początku jej istnienia był zawsze osiołek. Nie miał on symbolizować inteligencji uczniów, lecz służył woźnemu do celów gospodarczych. Za moich czasów była to już trzecia generacja – sympatyczna osłica „Wosia”. Otrzymałem robocze ciuchy oraz gumowe buty i zamiast udziału w lekcjach miałem przez większość dnia na oczach innych uczniów wyrzucać obornik ze stajenki i ładować na wóz. Moja klasa miała wtedy zajęcia w gabinecie fizyki, którego okna wychodziły wprost na tę stajenkę. Niektórzy koledzy pozdrawiali mnie wesołymi, a nawet drwiącymi komentarzami. Tę karę przeżyłem jako dotkliwe upokorzenie. Kiedy wróciłem do domu, rodzice zaniepokojeni pytali, dlaczego pachnę gnojówką. Powiedziałem, co się zdarzyło, i nie chciałem więcej iść do tej szkoły. Poszedłem tylko dlatego, że widziałem, jak przeżywa to moja matka.

Wówczas to zrodziła się potrzeba buntu przeciwko komunistycznej rzeczywistości, potrzeba, która będzie tkwić we mnie i narastać przez następne lata, aż znajdzie swoją realizację w postaci włączenia się do działań opozycji demokratycznej. Wówczas jednak, stosownie do braku dojrzałości, wykonałem kilka samotnych aktów sprzeciwu. Zbliżał się 1 Maja, a ja wiedziałem, gdzie przechowywane są szturmówki. Wieczorem mieliśmy próbę szkolnego zespołu muzycznego. Po próbie schowałem się i jak już wszyscy wyszli, poprzenosiłem czerwone flagi do kotłowni, zostawiwszy biało-czerwone nietknięte. W kotłowni łamałem szturmówki i wrzucałem do pieca, pilnując, aby się dokładnie spaliły. Opuściłem szkołę przez okno na parterze. Tego roku moja szkoła niosła tylko biało-czerwone flagi.

W tym czasie „wydałem” też kilka anonimowych, dowcipnych, choć jednocześnie głupawych „gazetek” i rozesłałem pocztą do kolegów z klasy. Takie jednokartkowe „gazetki” polegały na tym, że powycinałem ze „Szpilek” różne rysunkowe dowcipy, pod którymi albo podklejałem inne podpisy, albo wkomponowałem zdjęcie jakiegoś dygnitarza, tak że dawało to surrealistyczne efekty. W sumie głupawa dziecinada, ale z tego wyszła „chryja” jak to się wtedy mówiło. Po paru dniach przyszedł do dyrektora ojciec kolegi z klasy – **Staszka Sobiesiaka** i przyniósł taki list-gazetkę. Wszystkie żarty były niepolityczne, ale na jednym z rysunkowych dowcipów wilk gonił zającą, pod rysunkiem był jakiś niepolityczny dialog między tymi zwierzętami, ale wilk miał doklejoną z gazety głowę Breżniewa, a zając – Gomułki. Koperta była zaadresowana odręcznie.

1 Jan Gołąb (1923–1977), w latach 1952–1975 dyrektor Technikum Finansowego, a później Technikum Ekonomicznego, w latach 1975–1977 dyrektor Zespołu Szkół Ekonomicznych w Gorzowie (J. Zysnarski, *Encyklopedia Gorzowa*, Gorzów 2007, s. 180).

Dlatego dyrektor pozbiarał wszystkie nasze klasówki i sam wykonał ekspertyzę grafologiczną. Bez trudu odkrył sprawcę, zawiesił mnie w prawach ucznia na kilka tygodni przed maturą, wezwał moich rodziców i najstarszego brata, którego pamiętał sprzed lat jako absolwenta tego technikum. Straszyl ich Służbą Bezpieczeństwa. Argumentował: *Powinien poznać smak pracy, to nie będzie miał pstro w głowie*. Przekonał ich, że lepiej będzie, jak ja w tym momencie sam zrezygnuję ze szkoły, to on „afereę zatuszuje” i od nowego roku przyjmie mnie do ostatniej klasy dla pracujących. W przeciwnym wypadku dostanę od rady pedagogicznej „wilczy bilet”, a na dodatek może jeszcze być milicyjne śledztwo. Dał mi do namysłu dwa dni. Po dwóch dniach przyniosłem odręcznie napisaną rezygnację ze szkoły. Przed szkołą i na korytarzu spotkałem paru nauczycieli, którzy dyskretnie sugerowali mi, abym nie rezygnował, a pani prof. **Cinal**² wręcz usilnie przekonywała, mówiąc, że wśród grona pedagogicznego jest sporo „zorganizowanych” (tzn. partyjnych), ale to nie ma znaczenia, bo przed samą maturą mało kto będzie na radzie pedagogicznej głosował za wyrzuceniem mnie za takie – jak to określiła – głupstwo. Dyrektor, widząc mnie, poprosił do swojego gabinetu, gdzie ponawiał uprzednie groźby. Zastraszony wręczyłem mu tę rezygnację. Jeszcze tego samego dnia wpisał mnie na nowy rok szkolny na listę uczniów klasy maturalnej technikum dla pracujących. W rok później tam zdałem maturę z wynikiem bardzo dobrym, pracując w magazynie proszków do prania „Argeđu”, a rozżalenie z powodu straconego w ten sposób roku pozostało na długo i dodatkowo przyczyniło się do ugruntowania opozycyjnych poglądów. Przez ten rok zbliżyłem się do środowiska hipisów, szukając form wyrażania buntu przeciwko panującemu porządkowi, zacząłem się ubierać i zachowywać podobnie do nich; fascynacja tym ruchem trwała jeszcze na początku studiów. Ostatecznie odstraszyła mnie od tego powszechna w tym kręgu narkomania. Z tego „hipisowania” pozostało mi na długo tylko zainteresowanie: muzyka rockowa.

Moje uniwersytety

Po maturze dostałem się na studia i to był kolejny okres ugruntowywania się w mnie postawy przeciwko systemowi komunistycznemu, a szczególnie przeciwko zakłamanemu systemowi edukacji.

Ponieważ pasjonowałem się angielską muzyką młodzieżową (i sam też próbowałem grać, choć z miernym skutkiem), zresztą z angielskiego zawsze miałem „piątkę”, to wybór narzucał się sam, tym bardziej że nie lubiłem przedmiotów ekonomicznych na tyle, aby kontynuować wykształcenie w dotychczasowym profilu. Przyjęto mnie na anglistykę w Poznaniu, choć moje nazwisko było prawie na końcu listy osób, które zdały egzamin wstępny. Gdzieś w połowie roku rozeszła się wśród studentów wieść, że przez pomyłkę powysyłano zawiadomienia o przyjęciu na studia do wszystkich, którzy zdali egzamin. I rzeczywiście, miało być 50 miejsc, a nas na pierwszym roku było ponad 70 osób. Uważałem jednak to za plotkę. Uczyłem się przeciętnie, nie najgorzej. I kiedy na koniec roku doszło do zaliczeń z ćwiczeń (warunek dopuszczenia do sesji egzaminacyjnej), to te same trzy osoby „dyżurne” (dr **K.** plus dwie asystentki) nie dały zaliczeń ze swoich przedmiotów dwudziestu studentom. Zdecydowana większość z tej dwudziestki to ludzie, którzy wraz ze mną zamykali ową listę sprzed roku. Nie powiem, że ja sam, ale

2 Kamila Cinal, wykładowca ekonomiki handlu w latach 1960–1977 w Technikum Ekonomicznym w Gorzowie (*Zespół Szkół Ekonomicznych w Gorzowie 1946-1996*, Gorzów 1996, s. 40).

kilka „obłanych” osób radziło sobie w nauce świetnie, pamiętam ich rozgoryczenie. Z tych trzech przedmiotów językowych nie robiono żadnych testów, po prostu prowadzący oświadczył, komu zalicza, a komu nie. Za to zaliczyło wszystkie ćwiczenia około dziesięć osób z Warszawy, które znalazły się w Poznaniu mimo obowiązującej jeszcze wtedy rejonizacji. Mówiło się o nich, że to dzieci bonzów partyjnych ze stolicy, niektórzy zresztą otwarcie chwalili się, że będą mieli po studiach załatwione posady na placówkach zagranicznych. Gwoli wyjaśnienia trzeba dodać, że dyrektorem Instytutu Filologii Angielskiej na UAM był prof. **Fisiak**³, aktywista uczelnianej organizacji PZPR.

Opuszczałem Poznań w poczuciu bezsilności, że nikt nic nie może poradzić na to bagno w szkolnictwie, już teraz nie tylko średnim, ale i wyższym. Nie przypuszczałem, że w ten sposób dojrzewam do akademickiej opozycji, która powstanie kilka lat później. Moje poglądy stały się już w stu procentach antykomunistyczne, chociaż nie miałem jeszcze długo wyrobionych poglądów na to, jakiego ustroju politycznego bym sobie życzył w zamian. Zacząłem regularnie słuchać „Wolnej Europy” i krytykować PRL w rozmowach. To były początkowe lata Gierka i jednocześnie zauważyłem, że stopniowo coraz więcej ludzi wyraża się o nowej ekipie kierowniczej z uznaniem lub zajmuje postawę co najmniej wyczekującą. Dość nagminnie przed 71 rokiem sarkastyczne dowcipy polityczne ustały. Coraz więcej ludzi, zwłaszcza w średnim wieku, wstępowało do PZPR. Ale mnie nie zauroczył ani mały fiat, ani coca-cola.

Jeszcze przed tymi zaliczeniami minął termin składania podań na kolejne studia i w oczy zaczęła zaglądać realna perspektywa powołania do wojska, czyli zmarnowania kolejnych lat i prawdopodobnie pożegnania się ze studiami na zawsze. Widziałem, co się stało ze starszymi kolegami z mojego miasta. Jak któryś „obłał” pierwszy rok, został złapany do wojska, potem już założył rodzinę i na uczelnię nigdy nie wrócił. Zacząłem to uważać za kolejną perfidię systemu, w którym nie dawano szans nauki wielu zdolnym młodym mężczyznom, bo przypadkowo „powinęła się im noga”. Na początku wakacji przeczytałem w gazecie, że na niektóre kierunki będą dodatkowe egzaminy we wrześniu. Nie czułem się pewnie w przedmiotach ścisłych mimo zdania na piątkę matury z matematyki, a z kierunków humanistycznych w miastach nie za bardzo oddalonych pozostała tylko filologia klasyczna na UMK w Toruniu. Tam też znalazłem się w kolejnym roku akademickim. Chyba nie było wiele takich przypadków w Polsce, żeby ktoś zdał egzamin wstępny na studia z przedmiotu, którego nigdy nie miał w szkole średniej. Języki polski i obcy (wybrałem oczywiście angielski) nie były dla mnie problemem, ale łacina? Miałem w Poznaniu lektorat z łaciny przez ten jeden rok, jak na wszystkich filologiach, ale nie wyobrażałem sobie, że zdam z tego egzamin wstępny. Nie miałem jednak nic do stracenia, zostało półtora miesiąca i wykorzystałem go, ucząc się łaciny dzień i noc, częściowo z pomocą p. **Tokarza**, organisty z katedry, który udzielił mi korepetycji w tym zakresie. W ciągu tych kilku tygodni przerobiłem cały ówczesny materiał z czterech klas liceum. W efekcie egzaminatorzy w Toruniu dziwili się, nie dowierzając mi, że jestem absolwentem technikum, gdzie oczywiście łaciny nikt nie nauczał.

Ale co innego egzamin wstępny, a co innego studiowanie dwóch starożytnych języków, bo dochodziła greka. Nie lubiłem tego kierunku i nauka szła mi opornie. Wreszcie uznałem, że to pomyłka i na początku drugiego roku dałem sobie z tym spokój. Tym

3 Jacek Fisiak (ur. 1936), filolog angielski, działacz polityczny, w latach 1966–1990 działacz PZPR, związany z Uniwersytetem im. A. Mickiewicza w Poznaniu, w latach 1985–1988 jego rektor, minister Edukacji Narodowej w rządzie M. F. Rakowskiego (1988–1989) (www.wikipedia.pl).

bardziej że na komisji wojskowej dali mi kategorię „D” z powodu krótkowzroczności, czyli nadawałem się do armii tylko w czasie wojny. W Toruniu poszedłem do pracy jako inwentaryzator w kioskach „Ruchu”.

Nawet lubiłem tę robotę. Po paru miesiącach miałem tam dobrą opinię, gdy nie spodziewanie podpadłem kierownicze mojego działu, która była szefową organizacji PZPR w tym zakładzie. Na 1 Maja wręczyła mi szturmówkę. Odżyły nagle wspomnienia z technikum. Rzuciłem czerwoną płachtę w kałużę i osłupiałej aktywistce oświadczyłem, że idę do domu. Na drugi dzień atmosfera była chłodna, również ze strony *towarzysza dyrektora*, jak tytułowała go kierowniczka zaangażowana w *rozwinięte budownictwo socjalistyczne*. Po niedługim czasie wysłano mnie na remanent do kiosku, którego agent na samym początku wyciągnął pół litra i zagrychę. Nie skorzystałem z poczęstunku. Obawiałem się, że to prowokacja za 1 Maja, nie mogłem skupić się na liczeniu (młodemu pokoleniu trzeba wyjaśnić, że liczyło się ręcznie na tzw. liczydło albo piórem na papierze), tym bardziej że w trakcie remanentu pojawiła się szefowa na kontrolę. I pomyliłem się o równe 10 tys. złotych na niekorzyść agenta, co dawało dość poważne manko. Przeliczenie komisyjne oczyściło człowieka.

Nabrałem niesmaku do tej instytucji i do tej pracy oraz ogarnęło mnie poczucie kolejnego zmarnowanego roku. Nie bardzo wiedziałem, co dalej robić. W końcu przemożem się jakoś do filologii klasycznej, ale tym razem we Wrocławiu. Tam miałem kilku kolegów z Gorzowa oraz dalszą rodzinę, a przede wszystkim bardzo mi się podobało to miasto. W Instytucie Filologii Klasycznej we Wrocławiu panowała znakomita atmosfera, poznałem tam wspaniałych przyjaciół i chyba dlatego ten kierunek coraz bardziej zaczął mi się podobać. Powoli nabrałem zamiłowania do starożytnej historii i kultury, całymi dniami przesiadywałem nad łacińskimi i greckimi tekstami, stając się typowym „molem książkowym”. Jednocześnie, już na drugim roku ożeniłem się ze świeżo upieczoną absolwentką Akademii Rolniczej (małżeństwo trwa do tej pory) i urodziło nam się pierwsze dziecko. Zająć było po uszy, a polityka zeszła na daleki plan. Nie miało to jednak trwać długo.

SKS

To nie był Szkolny Klub Sportowy, lecz Studencki Komitet Solidarności – pierwsza jawna organizacja opozycyjna we Wrocławiu, jaką wspólnie z kilkunastoma kolegami założyłem w grudniu 1977 r. Ten rozdział mojego życia starczyłby na oddzielny artykuł, dlatego zainteresowanych odsyłam do książki „Kryptonim Wasale” wydanej przez IPN⁴ oraz do portalu internetowego (ciągle jeszcze w budowie) www.sks.wroclaw.pl. Tematem tych wspomnień jest głównie Gorzów, dlatego Wrocław potraktowałem tu skrótowo. Wspominam o nim jednak, gdyż to była dla mnie niejako „szkoła opozycji”, która zadecydowała o mojej postawie życiowej jako jawnie zadeklarowanego przeciwnika panującego wtedy reżimu.

W maju 1977 r. w Krakowie znaleziono zwłoki studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego **Stanisława Pyjasa**⁵, współpracownika Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” – pierwszej jawnie działającej organizacji opozycyjnej w PRL. Jego śmierć nie została

4 *Kryptonim „Wasale”. Służba Bezpieczeństwa wobec Studenckich Komitetów Solidarności 1977–1980*, wybór, wstęp i opracowanie Ł. Kamiński i G. Waligóra, Warszawa 2007.

5 Stanisław Pyjas (1953–1977), student UJ w Krakowie, działacz opozycji demokratycznej, zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach, najprawdopodobniej przez Służbę Bezpieczeństwa.

dotychczas do końca wyjaśniona, ale różne okoliczności wskazują na Służbę Bezpieczeństwa jako sprawcę tej zbrodni. Środowiska akademickie w kraju były poruszone tym wydarzeniem i nikt nie miał wątpliwości, kim byli sprawcy. Nastąpił przełom w świadomości młodych ludzi, do tej pory z różnych względów akceptujących panujący w PRL system. Pomimo takich czy innych poglądów panowało ogólne przekonanie, że tym razem przekroczone jakieś granice przyzwoitości. W Krakowie odbył się marsz żałobny studentów, zostały zbojkotowane juwenalia i przyjaciele Pyjasa założyli Studencki Komitet Solidarności. Była to pierwsza opozycyjna struktura akcentująca „solidarność”. Nikt nie mógł przewidzieć, że za parę lat ta idea obejmie miliony ludzi w całym kraju. W tym momencie były to małe grupki, powiązane ze sobą najczęściej towarzysko. Wkrótce podobne SKS-y powstały w pięciu innych dużych ośrodkach akademickich, a centralnie kierowane przez MSW intensywne działania „bezpieki” koncentrowały się na uniemożliwianiu współpracy między miastami oraz niedopuszczaniu do powołania tych organizacji w Łodzi, Lublinie i Toruniu.

SKS wrocławski powstał oficjalnie 13 grudnia 1977 r. z moim udziałem jako jednego z jego rzeczników (rzecznikami określaliśmy osoby występujące jawnie i podpisujące nazwiskami dokumenty organizacyjne), ale to jest data ostatecznej konsolidacji środowiska, gdyż już przez pół roku aktywnie działały w tym mieście niezależne od siebie grupy studentów i pracowników naukowych, wokół których gromadziły się także osoby spoza środowiska akademickiego, głównie niedawni absolwenci. Przez pierwszy rok istnienia wrocławskiego SKS-u przybywało sporo cichych sympatyków, natomiast krąg najodważniejszych ludzi, działających jawnie, obejmował nie więcej niż 30 osób, w zasadzie tylko z uniwersytetu i politechniki. Można powiedzieć, że im bliżej Sierpnia '80, tym dynamika tej młodej opozycji była coraz większa, ludzie kończyli studia i niejako nie było już dla nich miejsca w formule opozycyjnej organizacji akademickiej. Dlatego kiedy na przełomie 1978/79 przenosiłem się z Wrocławia do Gorzowa, organizowano tam już – w czym też jeszcze sam wziąłem pewien udział – Klub Samoobrony Społecznej Ziemi Dolnośląskiej. Była to już „dorosła” opozycja, posiadająca własną poligrafię i własne wydawnictwa, wśród których największy nakład miał „Biuletyn Dolnośląski”. Niektórzy moi koledzy skupieni wokół tego czasopisma po kilku latach stanowili załóżek najbardziej dynamicznej i najlepiej zorganizowanej w kraju struktury opozycyjnej po 13 grudnia 1981 – „Solidarności Walczącej”, z ośrodkiem kierowniczym właśnie we Wrocławiu.

Głównymi działaniami SKS-u były:

– inspirowanie samorządów na niektórych kierunkach i latach studiów (udało się utworzyć w wyniku wolnych wyborów takie samorzady na trzech kierunkach uniwersytetu, ale pod naciskiem SB nie zostały one uznane przez władze uczelni i z czasem niektóre wybrane demokratycznie osoby przeszły do jawnej działalności w SKS);

– walka o odblokowanie znajdujących się w bibliotekach uniwersyteckich książek zakazanych przez cenzurę (akcja udana);

– zebrania samokształceniowe z udziałem naukowców odsuniętych od pracy za swoje przekonania polityczne lub z zakresu tematów niemile widzianych przez władze („bezpieka” rozbijała takie spotkania lub zatrzymywała na 48 godzin prelegenta udającego się na wykład, ale wiele takich zebrań odbyto, niektóre nawet w oficjalnych pomieszczeniach uczelni, większość zaś w mieszkaniach prywatnych);

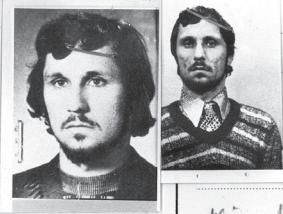
– rozpowszechnianie szerokiego wachlarza materiałów wydawanych przez ugrupowania opozycyjne oraz niezależne wydawnictwa, jak np. warszawska NOW-a oraz druk i kolportaż własnych materiałów (początkowo drobne oświadczenia i biuletyn SKS „Podaj

dalej”, a z czasem broszury i nawet grube książki dzięki rozwinięciu własnej poligrafii, za którą nieustannie węszyła „bezpieka” przeprowadzając liczne rewizje i konfiskaty);

– niezależne od władz imprezy kulturalne i artystyczno-rozrywkowe, spotkania z pisarzami mającymi zakaz druku; niektóre z tych imprez miały miejsce w pomieszczeniach uczelni i oficjalnie nie były firmowane przez SKS, choć byliśmy ich faktycznymi organizatorami;

– obozy szkoleniowo-wypoczynkowe w czasie wakacji i ferii świątecznych (udane były wyjazdy w Karkonosze oraz w Tatry wspólnie z SKS-em krakowskim, natomiast wakacyjne spotkanie sześciu SKS-ow w ośrodku wypoczynkowym koło Drawska Pomorskiego zostało rozbite przez „bezpiekę” z udziałem helikoptera oraz ogromnych sił i środków (liczba esbeków i członków specjalnych oddziałów milicji była kilkakrotnie większa niż liczba studentów udających się na ten obóz);

– wychodzenie z akcjami do innych środowisk miasta, jak kolportaż pod fabrykami niezależnego pisemka „Robotnik”, przywożonego z Warszawy z reguły w liczbie 2 tys. egz.; akcje te do ostatniej chwili trzymane były w tajemnicy przez osoby w nich uczestniczące i dlatego na ogół „bezpieka” była spóźniona w reakcji; ale zdarzało się, że nas łapano, np. ja razem z kolegą **Krzyskiem Grzelczykiem**⁶ (do grudnia 2007 roku – wojewoda dolnośląski) zostaliśmy zatrzymani i przesłuchiwani przez kilkanaście godzin po zakończeniu akcji o godz. 6.00 rano pod Zakładami Naprawczymi Taboru Kolejowego, gdzie ludziom idącym na poranną zmianę zdążyliśmy rozdać całą zawartość naszych toreb, czyli równe 500 sztuk „Robotnika”; kiedy indziej inny kolega został złapany w trakcie rozdawania odezwy do robotników i skazany przez kolegium ds. wykroczeń na dotkliwą grzywnę „za zaśmiecanie miasta”.

		<p>SIEKANOWICZ STANISŁAW 2. Adama i Karoliny Chopcian ur. 14.01.1951r w Ołunicy Zam. Gołuchowa 46 gm. Łozina Trzebnicka absolwent filologii klasycznej Uniw. Wrocław (1978) Miał prace, angażował na studiach do Gonora - Gonior parafodnia</p>		
Lp.	Treść informacji	Przedsięwzięcia/Represje	Zródło	Data - Uwagi
	<p>Omnigoter i mofetyrnej my oline kaco sk-m se stracizim. Piere udint we smytkit, grotka milt SK-m. 4 indolizim ci my m drugim autogfitem. Uest- zula, ogromi ztor dki u stelit , imygl, form kolportazim aw- tyrczyl ludyklowy identyng. Kontakt u tracu "Harvardista" i preslstronicki "Thx- u.</p>			<p>Figurant sprawy o Ans- skowicy"</p>

Kwestionariusz Stanisława Siekanowicza w „Kartotece działaczy i sympatyków SKS” Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z roku 1979 (z: S. Krzyżanowska, W. Trębacz, „Krok ku niepodległości”, Wrocław 2007)

6 Krzysztof Grzelczyk (ur. 1957 Krosno Odrzańskie), politolog, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, działacz opozycji w okresie PRL – SKS, później działacz NZS, w latach 2005-2007 z nominacji Prawa i Sprawiedliwości wojewoda dolnośląski (www.wikipedia.pl).

SKS i wywodzący się z niego wrocławski KSS (Klub Samoobrony Społecznej) odegrały istotną rolę w Sierpniu '80, kiedy obie te organizacje prawie w całości znalazły się we wrocławskim Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym razem ze swoją poligrafią – (miejszcowa „bezpieka” najprawdopodobniej przegapiła moment utworzenia MKS pomimo infiltrowania tych grup swoimi współpracownikami). Następnie wszyscy czołowi działacze dolnośląskiej opozycji zostali zatrudnieni w „Solidarności”, a działacz SKS **Krzysztof Turkowski**⁷ został wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu. We wrześniu 1980 SKS, podobnie jak w innych większych ośrodkach kraju, był głównym motorem utworzenia Niezależnego Zrzeszenia Studentów, czyli wreszcie masowej organizacji akademickiej niezależnej od władz komunistycznych. Nie muszę chyba dodawać, że dzięki doświadczeniu i wcześniejszym kontaktom wielu moich kolegów ze środowiska byłego wrocławskiego SKS-u Wrocław był aż do 1989 r. najaktywniejszym ośrodkiem oporu w kraju. Na ten temat pamiętam z lat 1984–1985 serię audycji dokumentarnych Radia „Wolna Europa” pt. „Wrocław miasto walczące” pod redakcją jednego z byłych sympatyków SKS **Romana Żelaznego**⁸, którego znałem ze wspólnego zamieszkania w tym samym pokoju akademika na ul. Pocztovej.



Stanisław i Halina Siekanowiczowie z córką (1977)

Jeszcze słowo o gorzowskim wkładzie do wrocławskiej opozycji. Wśród czołowych działaczy tamtejszego SKS-u było nas czworo gorzowian. Oprócz mnie wspomniany już **Krzysztof Grzelczyk**, rodem z Barlinka, oraz **Jarosław Klimek**⁹ (przypadkowa zbieżność

7 Krzysztof Romuald Turkowski (ur. 1954), historyk, wydawca, polityk samorządowy, absolwent historii Uniwersytetu Wrocławskiego (1977), współpracownik SKS, KOR i NOWej, organizator „Solidarności” we Wrocławiu (1980), a następnie rzecznik prasowy Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” we Wrocławiu (www.wikipedia.pl).

8 Roman Żelazny – dziennikarz, publicysta, wydawca „Ech Krasnegostawu”, współzałożyciel Fundacji „Zacny Uczynek”, redaktor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa.

9 Jarosław Klimek (ur. 1955), wówczas student matematyki na Uniwersytecie Wrocławskim, współzałożyciel

nazwisk z gorzowską działaczką „Solidarności” p. **Teresą Klimek**¹⁰) i **Danuta Stołęcka**¹¹ – córka znanego gorzowskiego prawnika, która w okresie SKS-u była osobą chyba najczęściej wsadzaną do aresztu, a jej wrocławskie mieszkanie przechodziło wiele rewizji, czasem co kilka dni. Zainteresowanych odsyłam do książki „SOR Kaskader” wydanej przez IPN, poświęconej Krzysztofowi Grzelczykowi, ale rzucającej światło na całą naszą organizację i pokazującą, jakie siły i metody angażowała Służba Bezpieczeństwa w walce tylko z jednym Krzysztofem.

Jednoosobowa opozycja

Egzaminy końcowe pozdawałem latem 1978, ale zwlekałem z obroną pracy magisterskiej aż do grudnia, aby choć o te parę miesięcy przedłużyć pobyt we Wrocławiu, a tym samym swój status studenta i działacza SKS. Żał mi było opuszczać to miasto i to środowisko, ale praktycznie wyboru nie było. Miałem już rodzinę, w tym dwoje małych dzieci, żona już pracowała jako nauczycielka Technikum Rolniczego w pobliskiej Trzebnicy, ja sam rozważałem jakieś zatrudnienie po studiach w okolicy Wrocławia, ale nasze warunki lokalowe dla 4-osobowej rodziny to był pokój z kuchnią bez żadnych perspektyw na zmianę tego stanu rzeczy w najbliższej przyszłości. Jednocześnie moja matka, kobieta schorowana, po śmierci ojca została sama w gorzowskim domu przy ul. Żelaznej i proponowała nam wspólne zamieszkanie, oczywiście liczyła też na opiekę z naszej strony. Tak też zrobiliśmy. Moja żona Halina z dziećmi już z końcem wakacji 1978 roku przeprowadziła się do Gorzowa i bardzo szybko dostała pracę w Zasadniczej Szkole Rolniczej w Witnicy (to była filia Technikum Rolniczego w Kamieniu Wielkim), a ja jedną nogą jeszcze byłem we Wrocławiu.

Właśnie w tym przejściowym okresie miało miejsce dość groteskowe wydarzenie. Mieszkający w Zielonej Górze mój najstarszy brat został wezwany na milicję, gdzie dwaj wysocy funkcjonariusze SB (jeden w randze pułkownika!) informowali go, że władze wiedzą o moim planowanym osiedleniu się w Gorzowie i „zarówno tamtejsze kierownictwo polityczne jak i Komenda Wojewódzka są już na to przygotowani”. Tak jakby w Gorzowie miała osiedlić się cała armia opozycjonistów. W związku z tym proszono brata, aby przekonał mnie, że ewentualne tworzenie przeze mnie w Gorzowie jakiegokolwiek opozycji nie będzie miało sensu, bo oni „szybko sobie z tym poradzą”. Przygotowując się do przeprowadzki, nie nastawiałem się akurat na jakąś działalność w tym mieście. Wręcz przeciwnie, zdając sobie sprawę, że to mały ośrodek, liczyłem się z tym, że zapewne zostanę tylko sympatykiem opozycji, który może czasem przywiezie coś do czytania dla samego siebie. Ale na takie dictum zaperzyłem się i powiedziałem sobie „no to zobaczymy”. Nawet zaczęła mnie bawić myśl zobaczenia jak to oni „sobie z tym poradzą”. W ten

wrocławskiego SKS (*Kryptonim „Wasale”. Służba Bezpieczeństwa wobec studenckich komitetów solidarności, wybór, wstęp i opracowanie Ł. K a m i ń s k i i G. W a l i g ó r a*, Warszawa 2007, s. 146).

10 Teresa Klimek (ur. 1929), nauczycielka matematyki w gorzowskich szkołach – w latach 1972–1984 w II LO, działaczka gorzowskiego Klubu Inteligencji Katolickiej (od lat 70. do chwili obecnej), działaczka „Solidarności” od roku 1980, delegat na I Walny Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” Regionu Gorzów (1981), członek Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Gorzowie (IV-XII 1981), internowana w grudniu 1981, w stanie wojennym działaczka opozycji.

11 Danuta Stołęcka-Wójcik (ur. 1957), w latach 70. studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim, działaczka SKS, później NSZZ „Solidarność”, w stanie wojennym internowana, w roku 1984 wyemigrowała do Austrii (*Kryptonim „Wasale*, dz. cyt. s. 297).

sposób z początkiem roku 1979 stałem się w Gorzowie czymś w rodzaju jednoznacznie zadeklarowanej „jednoosobowej opozycji”.

W miarę zbliżania się do Sierpnia '80 stopniowo wzrastało społeczne niezadowolenie i zaczęło przybywać więcej ludzi podobnych do mnie. Jednak w pierwszych miesiącach naszego już wspólnego zamieszkania na ulicy Żelaznej w Gorzowie (czyli w pierwszych miesiącach 1979 r.) czuliśmy się z żoną dość osamotnieni, nie tylko ze względu na brak opozycyjnych przyjaciół, których zostawiliśmy we Wrocławiu, ale także ze względu na niewielką liczbę przyjaciół jako takich. Dla pochodzącej z Cieszyna mojej żony Haliny było to miasto całkowicie nowe, a ja wróciłem tu po ponad siedmiu latach. Tak więc mało kogo znaliśmy, a każda próba nawiązania przyjaźni lub odnowienia kontaktu z kimś z moich kolegów z lat szkolnych pociągała natychmiastową reakcję miejscowej „bezpieki”. Ktokolwiek odważył się do mnie przyjść, był natychmiast nagabywany przez esbeków. Namawiano go do współpracy (czyli do stałego donoszenia na mnie), a jak odmówił, to „radzono” mu, aby trzymał się ode mnie z daleka, bo ta znajomość może dla niego źle się skończyć. W ten sposób odstraszone ode mnie i od Haliny kilka nowo poznanych osób. Dochodziło do tego, że trudno było się z kimś spotkać po prostu w celach towarzyskich. Wezwano do SB na tzw. rozmowy ostrzegawcze po kolei moich trzech starszych braci, a nawet niektórych sąsiadów przychodzących do mojej matki „na pogaduszki” lub rozmawiających ze mną na ulicy. Dopiero po długim czasie dowiedziałem się, że na mojej ulicy w mieszkaniu p. **Przewoźnej** (której syn był działaczem KW PZPR) już od mojego przyjazdu do Gorzowa Służba Bezpieczeństwa wynajmowała pokój z oknem od ulicy i w tym oknie od rana do wieczora dyżurował co najmniej jeden osobnik. Również przez cały dzień na pobliskich niezabudowanych wzgórzach między ul. Żelazną i Sportową przesiadywali jacyś osobnicy z lornetkami, nie ruszając się stamtąd nawet w czasie padającego śniegu z deszczem. Do śledzenia mnie po mieście służyły co najmniej dwa samochody („duże” fiaty); numer rejestracyjny jednego zapamiętałem do dziś, bo był łatwy i w późniejszym okresie widywany był przy różnych akcjach bezpieki: GOA 0220. Sąsiedzi zaobserwowali, że gdy byłem w domu, to jeden samochód z kierowcą stał u dołu ul. Żelaznej, na ogół na ul. Sikorskiego niedaleko gazowni albo na (ówczesnej) Gwardii Ludowej koło filii Zakładów Mechanicznych, a drugi u góry na ul. Sportowej. I w zależności od tego, czy szedłem do miasta dołem (koło gazowni), czy też połąną drogą w górę do ówczesnej ul. Armii Czerwonej, był uruchamiany właściwy pojazd i zbiegało się do niego kilku osobników.

W okolicy, gdzie mieszkalem, było sporo niezabudowanego terenu, takie wzgórza i dolinki – po prostu ugór poprzecinany polnymi ścieżkami, na których łatwo było zobaczyć każdego obcego przybysza. Z tym sąsiedowały ogródki działkowe, przez które znałem na pamięć wszystkie przejścia i dosłownie każdą dziurę w płocie, bo tam się wychowałem. Zatem nie było trudno mi się zorientować co się dzieje w pobliżu mojego domu. Inaczej sprawa wyglądała na mieście. Miałem już z Wrocławia doświadczenie w rozpoznawaniu inwigilacji oraz podstawową wiedzę o jej metodach, ale muszę przyznać, że na terenie Gorzowa trudniej niż we Wrocławiu było mi się zorientować czy jest tzw. „ogon”. Nie wiem czy robiono to bardziej profesjonalnie niż we Wrocławiu, czy też mieli porozmieszczane jakieś stałe punkty obserwacyjne. Początkowo miałem duże trudności ze „zgubieniem” ich. Na początku swego pobytu w Gorzowie, nie prowadząc tam jeszcze żadnej konkretnej działalności, nie miałem innego celu w „gubieniu” ich jak tylko wypróbowanie, jak to wygląda w prowincjonalnym mieście, a także w pewnym sensie dla przekory. Miałem wtedy ten komfort psychiczny, że niczym nie byłem obciążony, nie

miałem przy sobie żadnej bibuły i dlatego bawiła mnie taka zabawa w kotka i myszkę. We Wrocławiu (przynajmniej w moich czasach) można było ich zgubić, wysiadając nagle z tramwaju i przechodząc prędko przez kilka bram i podwórek. W Gorzowie takie sztuczki się nie udawały. Było tak, że przez dłuższy czas wydawało mi się, że już jest „czysto” i spokojnie idę zadowolony z siebie, aż tu nagle obok mnie przejeżdża „GOA 0220” lub inny tego rodzaju fiat. Jednorazowo udały mi się tylko sztuczki z przechodzeniem przez tereny pewnych instytucji, np. wszedłem do budynku ówczesnego „Argedu” koło banku na ul. Sikorskiego (gdzie po wyrzuceniu mnie ze szkoły pracowałem i znałem dokładnie teren tej firmy), oni stali pod tym budynkiem, a ja przeszedłem przez magazyny na ul. Składową i spokojnie wzdłuż Warty podreptałem w swoją stronę. Ale już drugi raz, kiedy autentycznie potrzebowałem „zgubić ogon”, ta sztuczka nie udała się. Musieli to już sobie rozpracować, bo wychodzę na ul. Składową, a oni tam gapią się na mnie z daleka. Podobnie było ze szpitalem miejskim na Warszawskiej, którego rozkład pamiętałem z dzieciństwa. Po wejściu tam w porze odwiedzin przemierzywszy szybko szpitalny park, znalazłem się koło kostnicy na Teatralnej i już był spokój. Ale znowu to samo – za drugim razem już czekali na Teatralnej. Wtedy żałowałem, że bez żadnego powodu to zdradziłem. I już nie zdradziłem trzeciej sztuczki z tej serii i bardzo się w przyszłości przydała. Polegała ona na wejściu na dworzec główny razem z tłumem ludzi idących na pociąg i szybkim przebiegnięciu pustym tunelem do wyjścia koło składnicy węgla przy moście żelaznym, dalej wzdłuż ścieżki nad Wartą do tunelu pod torami na wysokości os. Słonecznego. Było to już, jak miałem kilku aktywniejszych współpracowników i jeden z nich, **Zygmunt Jędrzak**¹², siedział na peronie, obserwując, co się dzieje przed odjazdem pociągu. Miał ubaw, jak biegali nerwowo w te i назад; wreszcie pociąg ruszał w stronę Krzyża, to kilku w ostatniej chwili wskoczyło i pojechało. A ja spokojnie pospacerowałem na ul. Gwiazdzystą, aby spotkać się z działaczem Ruchu Młodej Polski **Markiem Jurkiem**¹³, który przyjechał do swych rodziców w Gorzowie.

Ale to było później. W pierwszych jednak miesiącach, kiedy zobaczyłem, że szkoda czasu na wysiłki w celu „gubienia ogona” po ulicach, tramwajach, bramach itp., uświadomiłem sobie, że raczej charakterystyczna dla Gorzowa topografia terenu poza centrum miasta stanowi doskonale warunki do pozbycia się inwigilacji. Mianowicie w odróżnieniu od płaskiego Wrocławia Gorzów naszpikowany jest w wielu miejscach skar-



*Zygmunt Jędrzak
w roku 1979 (zdjęcie ze
zbiorów Janiny Jędrzak)*

-
- 12 Zygmunt Jędrzak (ur. 1943 Grossmritz – zm. 2007 Gorzów), absolwent Technikum Mechanicznego w Gorzowie (1969), ślusarz w Przedsiębiorstwie Produkcji Mebli Sklepowych (1965–1966), technolog w Zakładach Mechanicznych „Ursus” w Gorzowie (1967–1981, 1993–2000), kotlarz w Gorzowskiej Usługowej Spółdzielni Pracy (1981–1988), współpracownik KSS „KOR”; działacz NSZZ „Solidarność”: od września 1980 w Zakładowym Komitecie Założycielskim NSZZ „Solidarność” w Zakładach Mechanicznych, później członek Komisji Zakładowej, delegat na Walny Zjazd Delegatów Regionu Gorzów NSZZ „S”, zatrzymany 13 XII 1981 i internowany (13 XII 1981 – 30 IV 1982); osadzony kolejno: Gorzów Wlkp. (Zakład Karny) i Głogów (Zakład Karny); w III RP działacz Ruchu Odbudowy Polski i Ligi Polskich Rodzin, (informacje od B. Gruszczyńskiego i J. Jędrzak).
- 13 Marek Jurek (ur. 1960 Gorzów), działacz opozycji przedsierniowej, współzałożyciel Ruchu Młodej Polski, absolwent I LO w Gorzowie (1978), absolwent UAM w Poznaniu, w roku 1981 członek władz krajowych NZS, w III RP polityk Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, później Prawa i Sprawiedliwości, marszałek Sejmu (2005–2007), obecnie lider Przymierza Prawicy.

pami, po których prowadzą tylko przejścia dla pieszych, natomiast nie ma przejazdu samochodem. Dodatkowo niektóre z tych skarp są mocno zadrzewione jak w parku Siemiradzkiego czy parku Słowiańskim. A wtedy nie było tras przejazdowych, łączących os. Staszica z parkiem Słowiańskim, czy za parkiem Siemiradzkiego w stronę Górczyna. W niektórych sytuacjach esbecy musieli objechać prawie pół miasta, aby znaleźć się z drugiej strony takiej skarpy. Opracowałem sobie kilkanaście takich tras i to dobrze działało. A jeśli czasem nie zadziało, to przynajmniej bardzo łatwo można było się zorientować, że jest obstawa, bo musieli wtedy iść na piechotę po pustym terenie. Wtedy starałem się „gubić ogon” tylko, jeśli było to rzeczywiście konieczne, a każdą z opracowanych sztuczek stosowałem tylko jeden raz. Problem miałem tylko z Zawarciem i tam nigdy nie udało mi się nic sprytnego wymyślić. Było to o tyle kłopotliwe, że przez pewien czas dwie przechowalnie bibuły mieściły się właśnie za Wartą, przez którą były wówczas tylko dwa przejścia. I tylko przez nieszczęsną topografię musiałem po prostu zrezygnować z tych punktów, chociaż mieściły się u ofiarnych i oddanych przyjaciół.

Na początku roku 1979 mobilizacja „bezpieki” i milicji w związku z moją osobą przybierała rozmiary wręcz absurdalne. Trudno dziś sobie wyobrazić, aby osiedlenie się jednego, całkiem średniej miary opozycjonisty w mieście bez zaplecza, z bardzo małą ilością znajomych, mogło spowodować utworzenie specjalnej grupy operacyjnej do zajmowania się tylko nim. Z punktu widzenia władz komunistycznych bardziej logiczne w takiej sytuacji wydaje się po prostu zamknięcie mnie za kratki, gdyby stwierdzono, że rozpocząłem tu jakąś działalność przeciwko reżimowi. Ale wtedy polityka władz PRL była inna. **Gierek**¹⁴ robił wszystko, aby w świecie uchodzić za świetnego przywódcę, Polska wpadała w coraz większe zadłużenie od Zachodu i starała się o coraz nowe kredyty. Dlatego unikano procesów politycznych i „bezpieka” miała centralnie ograniczony wachlarz metod w stosunku do osób znanych, od kiedy ugrupowania opozycyjne, głównie Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” oraz Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO) nagłaśniały każdą represję polityczną, informowały korespondentów zagranicznych w Warszawie i międzynarodowe instytucje obrony praw obywatelskich jak „Amnesty International”, przesyłały informacje do Radia Wolna Europa, które natychmiast wykorzystywało je na swoich falach. W stosunku do nikomu nieznanymi przeciwników reżimu być może wtedy postępowano inaczej, ale jeśli już ktoś był znany z przynależności do tych środowisk, które wówczas umownie określaliśmy „opozycja demokratyczna”, to paradoksalnie było to dla niego zagrożeniem a jednocześnie obroną. Więzienie groziło mu na ogół w razie generalnej rozprawy z całą opozycją, a na to wówczas nie zanosilo się, a obrona polegała na tym, że „bezpieka” mogła w stosunku do takiego działacza stosować tylko takie formy represji, które pozorowały jej działania w ramach prawa. Przede wszystkim stosowano różne działania operacyjne, mające za cel ograniczanie i neutralizowanie działań opozycji, próby sterowania tymi środowiskami i rozbijania ich od wewnątrz. Polegało to na dążeniu do dokładnego rozpoznania „figurantów” (jak nas nazywano w języku policyjnym), czyli na stosowaniu mniej lub bardziej stałej obserwacji, instalowaniu podsłuchów, podsuwaniu delikwentom swoich tajnych współpracowników, rewizjach i konfiskacie poligrafii i wydawnictw, wymuszaniu na dyrekcjach zakładów wyrzucania z pracy pod różnymi pretekstami (w przypadku studentów pozbawianie prawa powtarzania roku po „oblaniu” egzaminów), nękanii krótkotrwałymi zatrzymaniami do 48 godzin (na dłuższe zatrzymanie potrzebna była

14 Edward Gierek (1913–2001), I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR (1970–1980).

tw. sankcja prokuratorska, której na ogół wtedy unikano) lub rewizjami pustoszącymi mieszkanie, na zastraszaniu przesłuchaniami i tzw. rozmowami ostrzegawczymi, rozpowszechnianiu informacji oczerniających „figurantów” w środowisku lub skłócających ich ze sobą (tu ważną rolę do spełnienia mieli tajni współpracownicy), na próbach werbowania do współpracy kogo tylko się dało czy wreszcie na bardzo rzadkich przypadkach pobicia przez „nieznanych sprawców” i aktów wandalizmu (niszczenie samochodu, włamanie ze zdemolowaniem mieszkania itp.). Wydaje się, że znacznie brutalniejsza polityka wobec opozycji panowała wówczas tylko w woj. katowickim, gdzie lokalny władca komunistyczny **Grudzień**¹⁵ stał się w pewnym stopniu niezależny od Gierka i nie słuchał centrali. To właśnie tam poddawano niekończącym się prześladowaniom czołowych działaczy tego regionu jak **Kazimierz Świtoń**¹⁶ z Katowic i **Władysław Sulecki**¹⁷ z Gliwic. Ten ostatni po półtora roku nieustannych represji i szykan zdecydował się na wyjazd z kraju, co mu władze chętnie umożliwiły.

Tę, stosunkowo liberalną jak na reżim komunistyczny, politykę ekipy Gierka wykorzystywała opozycja, wydawane były różne oświadczenia komentujące politykę władz i domagające się ustępstw w różnych dziedzinach, rozwijały się liczne wydawnictwa poza cenzurą (najczęściej powielaczowe, ale drukowane były też książki, mające całkiem profesjonalną formę), powstawały coraz to nowe grupy i organizacje niezależne od władz (o różnych profilach i charakterach, od inteligenckich do robotniczych i chłopskich, od prawicy do lewicy). Wreszcie zaczęły powstawać komitety założycielskie Wolnych Związków Zawodowych (w skrócie znane były jako WZZ), których twórcy raczej nie spodziewali się, że propagowane przez nich formy organizowania się społecznego już niedługo obejmą całe społeczeństwo pod postacią „Solidarności”. Tak w skrócie wyglądało tło i ramy działalności owej przedsierpniowej opozycji, w której przyszło mi uczestniczyć i próbować przenosić niektóre z tych form na grunt gorzowski. Muszę tu przyznać, że represje, jakie spadały na mnie i na moich najbliższych współpracowników, których niebawem miałem poznać w Gorzowie, były nieporównywalnie łagodniejsze od tych w stanie wojennym i były mniej więcej podobne do tych z lat 1987–1988. Natomiast skala i zakres naszej działalności była też daleko mniejsza od tej z lat 80. Ale nie znaczy to, że szło nam łatwiej. My wtedy musieliśmy przecierać ścieżki w społeczeństwie jeszcze na ogół akceptującym – jeśli nie daną ekipę kierowniczą, to przynajmniej system jako taki. W latach 80., jeśli ktoś nie przeciwstawił się władzy, to dlatego że albo w niej sam uczestniczył, albo się jej bał. A my natomiast przed Sierpniem w takich ośrodkach jak Gorzów całkiem często stykaliśmy się z ludźmi, którzy nie widzieli potrzeby zmiany systemu politycznego PRL. I na tym polegały nasze główne trudności w znajdowaniu współpracowników. Sytuacja uległa generalnej zmianie dopiero latem 1980. Mógłby ktoś powiedzieć, że niezależnie od tej naszej opozycji i tak by w sierpniu 1980 roku powstała „Solidarność”. Nieprawda. Skończyłoby się na jeszcze jednej podwyżce, gdyby w Stoczni Gdańskiej nie było wówczas ludzi z opozycji i Wolnych Związków Zawodowych (WZZ), którzy nadali ton strajkom w kraju i opracowali listę postulatów, która zaczęła się od

15 Zdzisław Grudzień (1924–1982), I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach (1970–1980).

16 Kazimierz Świtoń (ur. 1931 Katowice), w latach 70. działacz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i założyciel Komitetu Pracowniczego Wolnych Związków Zawodowych, później działacz NSZZ „Solidarność”, w III RP działacz polityczny (www.wikipedia.pl).

17 Władysław Sulecki, w latach 70. wraz z Kazimierzem Świtoniem współorganizator Wolnych Związków Zawodowych na Śląsku.

żądania zgody na działanie wolnych związków zawodowych. Pozostałe strajkujące regiony już tylko na tym się wzorowały, ewentualnie trochę modyfikując pozostałe postulaty (jak w Szczecinie czy Jastrzębiu). Chociaż zapewne w samym Gorzowie to pewno nie miałyby dużego znaczenia, jak niezależne związki już powstawały w całym kraju, to pewno powstałyby i tutaj.

Dla mnie jednak uczestnictwo w opozycji przedsiernpniowej miało przede wszystkim wymiar moralny. Wówczas nie wierzyłem w coś takiego jak sukces Sierpnia. Uważałem jednak, że milczeć dłużej nie wolno. Nie wiedziałem, czym moja działalność się skończy, przypuszczałem, że raczej więzieniem. I to na ileś tam lat. Chyba wsadzeniu mnie (i podobnych mi ludzi) za kraty albo i czemuś gorszemu przeszkodziło wówczas powstanie „Solidarności”. Tak to rozumiem.

Wracając do tej mobilizacji policyjnej, to miałem na bieżąco informacje świadczące o jej skali. Gdzieś już w drugim miesiącu mojego pobytu w Gorzowie przyjechał najstarszy z moich trzech braci – Bronisław, który jako wicedyrektor jednego z zakładów w Zielonej Gorze miał do załatwienia jakąś służbową sprawę w Gorzowie i przy takich okazjach odwiedzał rodzinę. Bronek, mimo swego dyrektorskiego stanowiska, nie był w jakiś zasadniczy sposób przeciwny moim poglądom, ale obawiał się, że moja działalność „w takim prowincjonalnym Gorzowie” nie ma żadnego znaczenia dla zmiany czegokolwiek w kraju i tylko niepotrzebnie „pcham się do więzienia”. Na tym tle dochodziło między nami do sprzeczek. Pomimo tego on jednak stał na stanowisku, że „brat to jest brat” i parokrotnie po cichu mi pomagał, w tym finansowo.

To, co teraz napiszę, utrzymywane było w ściślejszej tajemnicy, wiedziały o tym jeszcze tylko dwie osoby z najbliższej rodziny, a z czasem tylko jeden z moich współpracowników, ale bez konkretyzowania źródła informacji. Myślę, że już po tylu latach ujawnienie tego w żaden sposób nie zaszkodzi funkcjonariuszowi KW MO, którego to dotyczy. Nie mam zresztą pojęcia, czy jeszcze żyje, bo według orientacyjnego szacunku powinien mieć dzisiaj ponad 80 lat. Traktuję to jako fakt historyczny, a nie jakąś sensację. Otóż pewnego razu mój brat po przywitaniu się ze mną przeszedł z miejsca do rzeczy. Powiedział, że właśnie spotkał na mieście swojego byłego wieloletniego sąsiada, z którym w dawnych latach wypili „pół litra” i przeszli na „ty”. Odwiedzając brata w Zielonej Górze jeszcze w okresie swojej szkoły średniej zapamiętałem z widzenia tego sąsiada – wówczas kapitana milicji. Po latach, gdy go Bronek spotkał w Gorzowie, był on już chyba w randze majora. Mój brat nie wiedział, jaką konkretnie funkcję ten człowiek pełnił w gorzowskiej KWMO, a ja sam długo nie znałem jego nazwiska. Po latach dowiedziałem się, że nazywał się **Wincenty Łokcik**¹⁸, a w roku 1987 był na emeryturze już w stopniu pułkownika. Wówczas, w roku 1979 poszli z Bronkiem gdzieś na drinka i jak już trochę więcej wypili, to zapytał go, czy Stanisław to brat. Nie jest dla mnie jasne czy pod wpływem alkoholu, czy też z sympatii dla brata, którego sąsiadem był przez wiele lat, a może po prostu chciał Bronisława przestrzec, że moja działalność może mu zaszkodzić w pozycji zawodowej, w każdym razie rozmowa zesłała na mój temat. Powiedział, że kierownictwo KW PZPR domaga się od Komendy Wojewódzkiej MO *Przypilnowania KOR-owca, który niedawno pojawił się w mieście, bo obawiają się, że nie będą tu mieli spokoju*. W tym celu zaczęła działać specjalna ekipa operacyjna, która pilnuje mnie na dwie zmiany. Ku zdumieniu

18 Wincenty Łokcik, funkcjonariusz Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu w latach 1951–1953 (zastępca, a później naczelnik Wydziału Łączności w stopniu podporucznika, później kapitana. Następnie pracował w Zielonej Górze i Gorzowie (*Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza*, tom I 1944–1956, red. naukowa K. Sz z w a g r z y k, Warszawa 2005, s. 359).

brata zacząłem się śmiać, mówiąc, że to dobra wiadomość, iż tylko na dwie zmiany, bo dotychczas myślałem, że pilnują mnie na trzy zmiany. Brat to potraktował jako kpiny z mojej strony, ale dla mnie to była istotna wiadomość, choć chyba ten funkcjonariusz nie miał takich intencji. Mianowicie oznaczało to, że w nocy jest spokój, a właśnie nosiłem się z zamiarem wyjazdu do Warszawy (mojego pierwszego wyjazdu z Gorzowa) i głowiłem się, jak to zrobić przy takiej intensywnej obserwacji. Nie omieszkałem więc przy najbliższej sobocie wyjechać w nocy, tzn. pociągami, który wtedy odjeżdżał do Poznania przed godz. 4 rano i spokojnie odbyłem podróż przez nikogo nie zauważony, przywożąc swoją pierwszą, wtedy jeszcze z ostrożności niewielką partię bibuły do Gorzowa. Ta informacja była w przyszłości przydatna również dla moich współpracowników i sympatyków, których z czasem zaczęło w Gorzowie przybywać.

W ciągu następnych miesięcy mój brat jeszcze raz, a może dwa, wstąpił do restauracji „na kielicha” z owym funkcjonariuszem. Informacje z tych rozmów były w większości natury ogólnej. Działalność ówczesnej opozycji w kraju była głównie jawna, toteż nie miało większego znaczenia, że to i tamto „bezpieka” o mnie wie. I tak też zapewne rozumował pan Łokcik. Ale znowu, jak trochę więcej wypili, to dalszy ciąg ich rozmowy okazał się dla mnie ważny. Otóż major mówił, że „na komendzie” mieli nadzieję, że ja, „taki zdolny chłopak”, w końcu zajmę się dużym ogrodem mamy, który w dużej części zarasta chwastami (bo tak akurat było, nie miałem czasu na należyte zajęcie się bardzo dużym ogrodem) i rozkręci tam albo szklarnię albo hodowlę nutrii i w ten sposób „przestanie mu być w głowie opozycja”, a dotychczas nie wygląda, żebym coś takiego chciał robić. Ta wiadomość nawet dla Bronisława wówczas była nic nieznaczącą, ale w ciągu kilku poprzednich tygodni pewna osoba trochę ze mną i z moją żoną zaprzyjaźniona oraz sympatyzująca z opozycją, w czasie odwiedzin naszego domu usilnie próbowała mnie przekonać do założenia szklarni albo hodowli nutrii, oferując jednocześnie fachową pomoc kogoś, kto się na tym zna. W ten sposób stało się jasne, kto z naszych znajomych jest współpracownikiem „bezpieki” i od tej pory nic tej osobie nie mówiąc, razem z żoną przy jej wizytach zachowywaliśmy się tak, aby wyglądało, że nie prowadzimy prawie żadnej działalności. Czasami na stole leżał pojedynczy stary biuletyn i tłumaczyliśmy, że „nic nowszego nie mamy”. Na dłuższą metę taka taktyka zawodziła, bo przybywało więcej ludzi i trudno było dłużej udawać, że ja nic nie robię, ale przez parę miesięcy to się przydało. Nie ujawniam nazwiska tej osoby (podobnie jak innych tego typu „sympatyków”) przed otrzymaniem dokumentów z IPN, na które nadal czekam. Natomiast bez względu na motywy, jakimi kierował się pan Łokcik, myślę, że powinienem mu teraz podziękować.

Jednocześnie w tych pierwszych miesiącach 1979 roku inna wiadomość „z drugiej strony barykady” potwierdzała tę niesamowitą mobilizację „bezpieki”. Tym razem informacja przekazana była na sto procent świadomie przez szeregowego funkcjonariusza (lub bardzo niskiej rangi), który w okresie mojego dzieciństwa znał moją rodzinę, kiedy jeszcze nie był milicjantem. Nie wiem, czy w roku 1979 pracował w MO czy w SB. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie jego imienia, a nazwiska chyba nigdy nie znałem. Jeżeli to przeczyta, to będzie wiedział, że o niego chodzi. Tu należy mu się moje podziękowanie, bo pośrednią drogą w tajemnicy ostrzegł mnie, że jestem bardzo mocno obserwowany i również ta informacja mówiła, że inwigilacja jest na dwie zmiany. Nie orientował się w mojej działalności, wiedząc tylko ogólnie, że jest to coś o charakterze antykomunistycznym. Najwyraźniej nie wiedział też, że ja nie kryję swojej postawy wobec władz PRL i że o ich inwigilacji już dużo wiem. Ale liczy się jego dobra wola. Ponie-

waż był przydzielony do ekipy prowadzącej obserwację, to czasem też miał obserwować i mnie (jak wspomniałem, nie bardzo wiedząc dlaczego). Informacja od niego mówiła, że mój dom jest obstawiony od kilku stron, zarówno od dołu, od ul. Sikorskiego, jak też od skarpy w okolicy ul. Sportowej, jak również od strony ogródków działkowych między ul. Żelazną a ul. Armii Czerwonej (obecnie Konstytucji 3 Maja). Dalej, że jestem śledzony po mieście przez co najmniej dwie grupy w dwóch samochodach, a także że niektóre osoby odwiedzające mój dom są czasem również śledzone albo tylko fotografowane. Raz musiał dyżurować aż do godz. 2 w nocy, bo dopiero o tej godzinie zgłosił u mnie światło. W niedługim czasie po tej wiadomości, kiedy wyszedłem z „Empiku”, to siedział na ławce na skwerku. Nie wiem, czy był tam służbowo, ale odwrócił głowę, zapewne abym go czasem nie pozdrowił jakimś gestem. Oczywiście udałem, że go nie widzę. To wszystko co powyżej, pokazywało mi też, jaki rzeczywiście mały świat był w Gorzowie w porównaniu z Wrocławiem.

Z czasem w dalszym rozpracowaniu tej inwigilacji pomocna okazała się akcja, jakiej z własnej inicjatywy podjął się dawny kolega ze szkoły. Sam wówczas nie odważył się na żadną działalność, ale w jakiś sposób chciał pomóc. Niestety, nie pamiętam jego nazwiska, tylko imię Zdzisław. Jako pracownik przedsiębiorstwa melioracyjnego na ul. Teatralnej (nie pamiętam już dokładnej nazwy tej instytucji), położonego blisko ówczesnej Komendy Wojewódzkiej MO (gdzie była także siedziba SB), znajdującej się za torami kolejowymi w dawnym gmachu jakiejś szkoły średniej, w drodze do pracy i z pracy przechodził koło wjazdu na podwórze tej komendy, a czasem musiał zostać w pracy po godzinach i z okna swojego biura, jak się mocno wychylił, widział dobrze przejeżdżające przez tory samochody i ich numery rejestracyjne. Takie rzeczy robiliśmy już we Wrocławiu i polegały one na tym, że osoby śledzone zapamiętywały lub zapisywały często powtarzające się numery rejestracyjne samochodów, ale tu było coś dokładniejszego. W któryś dzień kolega zaskoczył mnie listą 12 numerów rejestracyjnych samochodów wielokrotnie w ciągu dnia wyjeżdżających z podwórza komendy i mających po kilku pasażerów oraz listę czterech samochodów wyjeżdżających rzadko. Były to w ogromnej większości fiaty 125p i dwie wołgi – jedna czarna i jedna biała, a także coś jeszcze, ale już dokładnie nie pamiętam. Trudno mi powiedzieć, czy ta lista była kompletna, ale była niezmiernie przydatna, także dla moich późniejszych współpracowników, a szczególnie znacznie później – w stanie wojennym. Zdzisław potem jeszcze te dane uaktualnił, gdyż z czasem przybyło kilka nowych numerów, a niektóre nie były więcej widziane. Słyszałem, że w stanie wojennym kartkę z tymi numerami odebrano komuś w czasie zatrzymania, a dokonujący rewizji esbek był zdziwiony, że lista jest tak dokładna.

Po jakichś trzech miesiącach ta intensywna inwigilacja ustała lub miała miejsce już tylko od czasu do czasu. Albo ustalono, że nie mam jeszcze zbyt wielu kontaktów w mieście i wielogodzinne angażowanie tylu ludzi jest bezcelowe, albo zdołano już kogoś z mojego kręgu zwerbować do współpracy i głównie tą drogą czerpano informacje. Była to druga połowa kwietnia 1979 roku, kiedy widząc, że obstawa pojawia się już znacznie rzadziej, postanowiłem pojechać do Wrocławia, aby odwiedzić przyjaciół, a także po raz pierwszy przywieźć do Gorzowa już poważniejszą ilość bibuły. We Wrocławiu unikałem odwiedzania najbardziej aktywnych działaczy, chociaż byłem obecny na zebraniu Klubu Samoobrony Społecznej Ziemi Dolnośląskiej na zaproszenie jednego z twórców tej organizacji **Krzysztofa Grzelczyka**, mojego byłego bliskiego współpracownika z SKS. Ustaliłem sposób, w jaki odkładana będzie bibuła dla Gorzowa. Zaofiarował się tym zając mój

przyjaciół **Jacek Malec**¹⁹, student historii sztuki (obecnie w 2008 roku kustosz muzeum w Calgary w Kanadzie). Jacek pochodził z Kalisza i pewna ilość miesięcznika „Biuletyn Dolnośląski”, mającego od 20 do 30 stron (redagowanego przez **Piotra Starzyńskiego**²⁰, a później przez **Kornela Morawieckiego**²¹) była odkładana dla niego do kolportażu w tym mieście. Jacek zwiększył zapotrzebowanie i nikomu nie mówił, że część tej puli, tzn. około 150 egzemplarzy idzie do Gorzowa. W ten sposób łatwiej było mi ukryć, od kogo pochodzi to czasopismo. Pojawiałem się we Wrocławiu co dwa lub trzy miesiące, zabierając dwa lub trzy kolejne numery, czyli łącznie od 300 do 500 sztuk. Była to głównie publicystyka, więc nawet po trzech miesiącach pismo nadawało się do czytania. Zabierałem czasem także pewną ilość bibuły warszawskiej, jeśli Jacek przygotował. W roku 1980 ten kontakt stopniowo wygasł, bo mieliśmy w Gorzowie już dużo materiału prosto z Warszawy, a „Biuletyn Dolnośląski”, chociaż dobrze redagowany, był jednak pismem specyficznie regionalnym.

Wówczas to, czyli w kwietniu 1979 roku, z pełną torbą bibuły wrocławskiej wsiadałem we Wrocławiu na nocny pociąg do Poznania, a z drugiej strony peronu z pociągu warszawskiego wysiadał jeden z kolegów, sympatyków SKS. Krótka rozmowa; kiedy się dowiedział, że jadę do Gorzowa, zaproponował mi pismo „Robotnik”, które właśnie przywiózł z Warszawy i dali mu za dużo w stosunku do potrzeb Wrocławia. Pospiesznie „wcisnął” mi 300 sztuk „Robotnika”. Pismo to było małe objętościowo – dwie kartki zadrukowane drobnym druczkiem. Niemniej, dodatkowe 300 sztuk bez żadnej torby, bo do mojej zmieściła się już tylko mała część, to było kłopotliwe w transporcie. Początkowo byłem w przedziale sam, a na szczęście była tam stara gazeta, więc owinąłem nią „Robotnika” i przyłożyłem swoją torbę. W Lesznie wsiadło dużo ludzi i ktoś, stawiając swój ciężki bagaż trącił moją torbę i cała zawartość „Robotnika” wypadła z gazety na podłogę w trzech kupach. Miałem szczęście, bo zanim komuś przyszło do głowy, aby zapalić światło, zdążyłem to szybko zebrać i byle jak owinąć gazetą. Dopiero w Poznaniu na dworcu kupiłem w kiosku szmaccianą torbę (drogi artykuł turystyczny z ratuszem i koziolkami) i tak szczęśliwie dotarłem do Gorzowa autostopem (aby uniknąć wysiadania na gorzowskim dworcu).

W ciągu kilku dni rozdałem wśród sąsiadów, znajomych i kolegów ze szkoły około 30-40 egzemplarzy tej bibuły – każdy bał się wówczas wziąć więcej niż parę sztuk. Nie bardzo wiedziałem, co zrobić z całą resztą, zwłaszcza „Robotnika” zawierającego głównie wiadomości, bo „Biuletyn” był publicystyczny i nie tracił tak na aktualności. Wtedy wykonałem akcję, która przybrała komiczny efekt. Po północy po upewnieniu się, że nie ma obstawy, naładowawszy do torby „Robotnika”, ruszyłem na osiedle Staszica. Poszedłem ulicą Marcinkowskiego do końca w pobliżu parku Słowiańskiego, gdzie w paru blokach – po kłatkach schodowych, w drzwiach mieszkańców, na parapetach i kaloryferach upchałem większość „towaru”, a resztę w drodze do domu zostawiłem w pobliskich bud-

19 Jacek Malec (ur. 1957), w latach 70. student historii sztuki na Uniwersytecie Wrocławskim, działacz SKS, w stanie wojennym internowany (*Opozycja demokratyczna w Polsce w świetle akt KC PZPR (1976-1980). Wybór dokumentów*, wybór wstęp i opracowanie Ł. K a m i ń s k i, P. P i o t r o w s k i, Wrocław 2002, s. 228).

20 Piotr Starzyński (1950–1993), w latach 70. działacz opozycji, współpracował z SKS i KOR, organizator, redaktor i drukarz opozycyjnego „Biuletynu Dolnośląskiego”, w stanie wojennym internowany (grudzień 1981 – maj 1982) (www.wikipedia.pl).

21 Kornel Morawiecki (ur. 1941 Warszawa), absolwent fizyki Uniwersytetu Wrocławskiego (1963), w latach 70. działacz opozycji, w roku 1982 wspólnie z Pawłem Falickim założył „Solidarność Walczącą”, na czele której stanął.

kach telefonicznych i na przystankach autobusowych. Zadowolony z siebie wróciłem do domu. Na drugi dzień dowiedziałem się, że dwa bloki przy ul. Broniewskiego, od których rozpocząłem kolportaż i gdzie nałożyłem szczególnie dużo „Robotnika”, w większości były zamieszkałe przez rodziny MO i SB.

Niedługo potem miałem imieniny, w czasie których weszła „bezpieka” na rewizję, zabierając mnie na komendę oraz paru moich gości. Tam esbek mi powiedział, że akcję na Broniewskiego uznano za moją prowokację w stosunku do milicji. Udałem, że nie wiem, o co chodzi, ale z ich słów wynikało, że nie mają wątpliwości kto to zrobił. *My dużo wiemy na temat tej waszej opozycji, ale nikt tu nie przypuszczał, że pan posunie się aż do takiej prowokacji. Chyba chodzi o to, aby Wolna Europa mówiła, że pana zamknęliśmy.*

Budowanie środowiska

W tym początkowym, samotnym okresie gorzowskim, widząc, że „bezpieka” odstrasza ode mnie ludzi, zmuszony byłem utrzymywać kilka kontaktów potajemnie lub na tyle dyskretnie, że ci ludzie nigdy nie przychodzili do mnie, a ja spotykałem się z nimi również tylko po upewnieniu się, że nie mam „obstawy”. Często byli to sąsiedzi lub ludzie mieszkający w najbliższej okolicy, których znałem od dziecka, skoro wychowałem się na tej ulicy. Ci ludzie zawsze mogli mieć wytłumaczenie, że zaszedłem do nich w jakiejś sąsiedzkiej sprawie. Niektórzy zaś mieli ogródki działkowe przy mojej ulicy, więc przechodząc, mogłem przystanąć i spokojnie z nimi porozmawiać, kiedy pracowali przy swoich grządkach i tak stopniowo te kontakty się rozwijały. Jednym z takich pierwszych cichych sympatyków opozycji był **Jurek Szumiejko**²² – kolega z czasów ministranckich, a później przyjaciel, z którym jako kilkunastoletni chłopcy słuchaliśmy razem płyt zespołów The Beatles i Rolling Stones, przywiezionych przez jego ojca z wizyty u rodziny w Anglii. Jurek Szumiejko ukończył studia na Politechnice Wrocławskiej i w tym samym okresie co ja wrócił do Gorzowa, podejmując pracę w elektrowni. We Wrocławiu spotykaliśmy się sporadycznie, ale interesował się on moją działalnością i kolportowaną przeze mnie bibułą. O tym kontakcie nikt nie wiedział poza naszymi najbliższymi rodzinami. Mam wrażenie, że również „bezpieka” o nim nie wiedziała, gdyż nigdy nie był on w żaden sposób indagowany. Jurek mi pomagał w stanie wojennym, między innymi w ukrywaniu się w pierwszych dniach po 13 grudnia. Przed Sierpniem zaś ten kontakt, mimo że sporadyczny i sprowadzający się do przekazania mu kilku sztuk bibuły oraz do dyskusji o sytuacji w kraju, okazał się znacznie ważniejszy, niż mógłbym przypuszczać. Jurek w elektrowni czasem dał kolegom coś do czytania, a po powstaniu „Solidarności” dowiedziałem się, że trafiało to także do jednego z tamtejszych pracowników – **Edwarda Borowskiego**²³, późniejszego przewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Gorzowie. Potem Edward miał też inny, cichy kontakt z opozycją, ale o tym będzie mowa niżej.

22 Jerzy Szumiejko (ur. 1951 Gorzów), inżynier energetyk, absolwent Politechniki Wrocławskiej, w latach 70. i 80. zatrudniony w Elektrociepłowni „Gorzów”.

23 Edward Borowski (ur. 1939 Starogard Gdański – zm. 1987 Gorzów), technik-mechanik, w roku 1980 dyżurny inżynier ruchu w Elektrociepłowni w Gorzowie, od 13 IX 1980 w składzie MKZ NSZZ „Solidarność”, od 26 IV 1981 r. przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „S” w Gorzowie, 13 XII 1981 r. internowany w Gdańsku i przetrzymywany w Strzebielinku, Wawrowie (k. Gorzowa) i Ostrowie Wlkp., zwolniony z internowania 16 VI 1982 r., włączył się w działania zdelegalizowanych struktur związkowych „S” (Feniks 1987 nr 149, s. 2).

Również w tym samym czasie wrócił po studiach na Politechnice Wrocławskiej **Henryk Oczkoś**²⁴ – inny przyjaciel z dzieciństwa, który w dodatku wychował się na mojej ulicy w sąsiednim domu. Po studiach oboje z żoną Jołą, która też ukończyła politechnikę, otrzymali pracę w Wydziale Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego przy ul. Kostrzyńskiej, a zamieszkali na osiedlu Staszica. Właściwie to najbliżej w latach szkolnych przyjaźniłem się z jego bratem **Zbigniewem Oczkosiem**²⁵, z którym przez wszystkie lata Technikum Ekonomicznego siedziałem w jednej ławce, ale Zbyszek po studiach w Poznaniu dostał pracę we Włocławku i dlatego nie było z nim stałego kontaktu. Rodzice tych chłopaków państwo Oczkosiowie nadal mieszkali na Żelaznej i moja mama utrzymywała z nimi dobrosąsiedzki kontakt. Bardzo ciepło wspominam całą tę antykomunistyczną rodzinę. Pan **Oczkoś senior**²⁶ wspomagał mnie duchowo, zawsze interesował się, jak ja daję sobie radę z tym wszystkim, a znany był m. in. z tego, że wieczorami z otwartych okien jego domu rozlegał się głośno program „Wolnej Europy” albo „Głosu Ameryki”.

Z Henrykiem miałem kontakt we Wrocławiu, a moja Halina przyjaźniła się z jego Jołą. W Gorzowie moim zamierzeniem było kontynuowanie tej znajomości podobnie dyskretnie jak z **Jurkiem Szumiejką**, ale to się nie udało, bo oboje bardzo szybko się „zdekonspirowali” przyjsciem na moje imieniny, na których nie spodziewaliśmy się SB (w Warszawie czy Wrocławiu „bezpieka” wtedy nie wkraczała na takie przyjęcia, choć może dyskretnie obserwowano gości). Oboje też od tego momentu stali się bardzo częstymi gośćmi w naszym domu, nasze i ich dzieci razem się bawiły prawie codziennie. Chociaż nie uczestniczyli w aktywnej działalności, to Jola i Henryk demonstrowali w ten sposób, że nie boją się z nami przyjaźnić. W późniejszym okresie, w stanie wojennym, oboje odważnie pomagali przechowywać duże ilości bibuły z podziemnego Regionu Mazowsze. Jak natomiast wyglądały owe moje pierwsze imieniny gorzowskie, to opiszę niżej, bo widowisko urządzone wtedy przez „bezpiekę” było zarazem groźne i komiczne, a pomogło zapoczątkować rozwój mojego opozycyjnego środowiska.

Po przybyciu do Gorzowa miałem przez II półrocze roku szkolnego 1978/79 pracę w Szkole Podstawowej nr 9 na Dolinkach – zastępstwo za przebywającą na urlopie macierzyńskim historyczkę. Na imieniny zaprosiłem więc troje nauczycieli, z którymi zdążyłem się jako tako zaprzyjaźnić. Z tej trojki dwie osoby nie weszły, bo przybyły akurat, kiedy już gości wyprowadzano w silnej asyście mundurowej milicji. Trzecią nauczycielkę – **Alinę Iwanowską** złapano i zabrano na komendę, kiedy z kwiatami weszła w „kocioł” – tym określeniem pochodzącym z okresu okupacji hitlerowskiej nazywano w opozycji akcję policyjną polegającą na rewizji, w czasie której aresztowano każdego, kto wszedł do domu. Również złapano i zawieziono na komendę wspomnianych wyżej **Henryka** i

24 Henryk Oczkoś (ur. 1953), absolwent II LO w Gorzowie przy ul. Przemysłowej (1972) oraz Wydziału Informatyki i Zarządzania Politechniki Wrocławskiej (1977), w latach 1979–1984 pracownik Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska, jednostki podległej Urzędowi Wojewódzkiemu w Gorzowie; w latach 1980–1981 członek NSZZ Solidarność, przewodniczący Komisji Zakładowej w OBKiŚ; wzywany wielokrotnie na rozmowy przez SB; w roku 2006 otrzymał status pokrzywdzonego (zaświadczenie IPN nr 465/06). Obecnie (2008) mieszka i pracuje w Barlinku (woj. zachodniopomorskie).

25 Zbigniew Oczkoś (ur. 1951), absolwent Technikum Ekonomicznego w Gorzowie oraz Wydziału Handlu Zagranicznego Akademii Ekonomicznej w Poznaniu; następnie pracował w Gdańsku i we Włocławku; od 1983 na emigracji w USA.

26 Bronisław Oczkoś (ur. 1925), do dzisiaj wraz z żoną Barbarą mieszka w Gorzowie Wlkp. przy ul. Żelaznej, długoletni (1949–1980) pracownik ZWCh Stilon jako spawacz; wspomniani Zbigniew, Henryk i Stanisław to ich synowie.



Rok 1971, od prawej: Stanisław Siekanowicz, Barbara Oczkoś i Henryk Oczkoś oglądają płytę zespołu Breakout (fot. ze zbiorów Stanisława Oczkosia)



Bronisław i Barbara Oczkoś oraz Stanisław Siekanowicz w roku 2005
(ze zbiorów Henryka Oczkosia)



Pierwszy z lewej Stanisław Siekanowicz (1978)

Jolanę Oczkosiów, którzy weszli z prezentem i butelką wina. Ten prezent odwijano i dokładnie badano, co zawiera. Mój brat **Antoni Siekanowicz**²⁷ z bratową wybierali się do mnie, ale widzieli, co się dzieje, więc poprzestali na oglądaniu z daleka i przyszli po kilku godzinach, jak już wszystko się skończyło. Mnie samego „bezpieka” obserwowała tego dnia, jak kupuję na imieniny m. in. alkohol oraz większą ilość lodów i ciast, a jednak bezczelnie urządzone w domu kocioł. Wtargnięto w momencie, gdy kończyłem nakrywanie do stołu i w silnej obstawie prowadzono mnie przez całą długość ulicy do jednego z samochodów, które były zaparkowane koło gazowni.

Była piękna, majowa pogoda, więc na obu tych ulicach – Żelaznej i Małej, przed domami, w oknach oraz na ogródkach stali sąsiedzi, którzy już wiedzieli, że do mnie weszła milicja i czekali, co będzie dalej. Za mną i milicjantami podbiegały jakieś dzieci. Na takich dwóch niewielkich ulicach o podmiejskim charakterze, gdzie większość mieszkańców znała się od wielu lat i wszyscy wszystko o sobie wiedzieli, było to niecodzienne wydarzenie. A jak jeszcze po paru dniach poinformowała o tym „Wolna Europa”, to sporo ludzi z okolicy pytało mnie, jak mnie traktowano, w jakiej sprawie mnie przesłuchiowano, czy mnie nie pobito itd. Niektórzy chcieli zobaczyć, jak wyglądają te czasopisma opozycyjne bez cenzury, a ja już zdążyłem wszystko rozkolportować. Byli też tacy ludzie w najbliższej okolicy, którzy pracowali w większych zakładach. Nikt z nich nie odważył się działać jawnie, ale zawsze to było coś. W przyszłości mniej lub bardziej regularnie brali

27 21 i 29 V 1979 gorzowska SB przesłuchiwała bez protokołu Antoniego Siekanowicza. W czasie przesłuchania grozono mu odebraniem paszportu i nakazano powtórzyć Stanisławowi Siekanowiczowi, że ani on, ani jego rodzina nie mają prawa jechać na trasę pielgrzymki Jana Pawła II (Dokumenty KOR i KSS „KOR”, wstęp i opracowanie A. J a s t r z ę b s k i, Warszawa-Londyn 1994, s. 425).

ode mnie po parę sztuk niezależnych wydawnictw do swoich miejsc pracy, a niektórzy nawet pomagali mi po cichu w różny sposób, np. ostrzegali mnie o zaobserwowanej inwigilacji, udzielali drobnej pomocy finansowej, a znacznie później – w stanie wojennym godzili się na tymczasowe przechowanie materiałów, gdy chwilowo nie było innej możliwości. Właściwie przez cały mój gorzowski okres większość mieszkańców ul. Żelaznej i niektórzy z sąsiedniej ul. Małej okazywali mi sympatię i różnego rodzaju wsparcie. Pragnę to w tym miejscu odnotować, łącznie z publicznym podziękowaniem, chociaż wiem, że w niektórych przypadkach to podziękowanie jest spóźnione, bo niektórzy odeszli już z tego świata. Z tego powodu żałuję, że nie uczyniłem tego wcześniej. Spośród sąsiadów, oprócz już wspomnianej rodziny Oczkosiów, szczególnie wdzięczny jestem mojej aktywnej współpracownicy przez cały gorzowski okres, z którą kontakty utrzymywaliśmy w całkowitej tajemnicy – pani **Reginie Sobkowiak** z ul. Żelaznej i jej rodzinie oraz panu **Musielakowi** z ul. Małej i jego rodzinie, a zwłaszcza zięciowi (przepraszam go, że nie mogę już sobie przypomnieć jak się nazywał), który mieszkał na ul. Sikorskiego blisko wjazdu autobusów na dworzec PKS i jego mieszkanie było pierwszą „skrytką”, do której dostarczana była bibuła prosto z Warszawy. Na Żelaznej (pod innym niż mój adresem) mieszkał też mój brat **Antoni Siekanowicz**, który dyskretnie mnie wspierał razem ze swoją żoną i jej rodziną. To zaplecze w postaci ludzi bardzo blisko mieszkających nieraz było pomocne. Na tych dwóch ulicach ludzie znali się od lat i bardzo mało było takich, na których trzeba było uważać. Wśród sąsiadów tego rodzaju, w zasadzie oprócz już wspomnianej osoby, która wynajmowała pokój dla obserwatorów, to mogę wymienić tylko rodzinę, której jeden członek po ukończeniu studiów podjął pracę w SB w Zielonej Górze. Ten świat był zbyt mały, abym miał o czymś takim nie wiedzieć.

Muszę przyznać, że na początku maja 1979 r. skłaniałem się do wniosku, że chyba jednak nie ma sensu w Gorzowie nic robić, a nagle się okazało, że ludzie się tym interesują, a ja nic nie mam dla nich do czytania. Kolejny wyjazd był konieczny i to jak najszybciej.

Szybko też nawiązałem kontakt z młodszym bratem wspomnianego **Henryka Oczkosia – Stanisławem**²⁸, który mieszkał w innej części miasta, ale często przychodził do rodziców na Żelazną. Z czasem Staszek stał się prawie jawnym współpracownikiem i miał przydatne pomysły. To właśnie on odkrył, że w telewizorze można odbierać częstotliwości milicyjne. Zainstalował antenę i sprzęt do odbioru telewizji z Niemiec. Kanał NRD-owski odbierał bez problemu, ale sygnał z Berlina Zachodniego miał znacznie słabszy. Manipulował wtedy pokręteł w okolicy kanału VII, aby maksymalnie się dostroić. Przypadkowo usłyszał milicyjne lub esbeckie rozmowy. Eksperymentował dalej i trochę się w tym wyspecjalizował. Często też tych konwersacji słuchał. Nie jestem fachowcem, ale domyślałem się, że fonia telewizji niemieckiej, do odbioru której potrzebny był specjalny konwerter, miała częstotliwości w sąsiedztwie używanych w Polsce przez MO i SB. Już we Wrocławiu przed Sierpniem młodzi pracownicy politechniki ze środowiska opozycyjnego czynili próby w tym zakresie i wiadome mi było, że ktoś z nich umiał odpowiednio przestroić zakres fal ultrakrótkich. To było, jak ja już opuszczałem Wrocław i nie zdążyłem się bliżej z tym zapoznać. Staszek czasami informował mnie, że usłyszał coś ciekawego, ale ja początkowo nie uważałem, że to nam się może do czegoś przydać. W końcu on przekonał mnie, że powinniśmy prowadzić nasłuch.

28 Stanisław Oczkoś (ur. 1954), absolwent Technikum Mechanicznego w Gorzowie. W latach 70. i 80. pracownik WSS „Społem” w Gorzowie. Obecnie (2008) właściciel zakładu fotograficznego w Gorzowie.

Po latach dowiedziałem się, że wystarczyło pojechać do NRD, gdzie wtedy przejazd był bez wizy i kupić odpowiedni odbiornik radiowy, ale wtedy męczylimy się z dostrajaniem kanałów telewizyjnych. W prywatnym sklepie przy ul. Mieszka I ja również kupiłem sprzęt do odbioru telewizji niemieckiej, ale bez anteny, bo położenie naszego małego domku w kotlinie wymagało zainstalowania masztu, którego zakup odkładałem i nigdy nie zrealizowałem. Moja antena pokojowa była dość silna, tak że po podłączeniu odpowiedniego wzmacniacza czasem był odbiór z NRD, ale nigdy z Berlina Zachodniego. Mnie jednak nie to interesowało. Kręciłem pokręciłem fonii po różnych kanałach i wykręcałem pokojową antenę na wszystkie możliwe sposoby. W pewnym momencie usłyszałem jakieś rozmowy między kanałami VI i VII. Wyglądało na to, że natrafiłem na połączenie między stacją centralną (lub może dyspozytorem) a radiowozami. Przez ileś następnych dni na tej częstotliwości było milczenie, a raczej jednostajny szum. Zniechęciłem się i żałowałem wydatku. Wtedy dowiedziałem się, że MO i SB używa kilku częstotliwości, a nie zawsze tej samej. Powiedział mi o tym jeden z naszych pierwszych sympatyków, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć mimo wysilania pamięci (niech mi wybaczy). Mieszkał na ul. Ogrodowej, blisko Teatralnej i też zaczął słuchać rozmów milicyjnych, których jakość była bardzo dobra ze strony jednego rozmówcy, jako że blisko była ówczesna Komenda Wojewódzka. On często ten nasłuch prowadził i wiedział różne ciekawe rzeczy, choć najczęściej dotyczące spraw kryminalnych. Pouczył mnie też, jak poszukać odpowiednich częstotliwości. Z czasem odkrył, gdzie prowadzone są rozmowy częściowo w jakimś jakby slangu, tak że sporo rzeczy jest niezrozumiałych. Analizował je i doszedł do wniosku, że to jest komunikacja między pracownikami milicji (lub SB) śledzącymi lub obserwującymi kogoś. Odgadł, co znaczą niektóre sformułowania w tym dziwnym języku. To dało początek czemuś w rodzaju mini-kontrwywiadu, chociaż pozostającego ciągle w postaci szczątkowej i z konieczności prowadzonego tylko od czasu do czasu.

Ja wtedy też zacząłem eksperymentować, ale z powodu otoczenia mojej ulicy wzgórzami z trzech stron odbierałem sygnały tylko z najbliższej okolicy, a bardzo rzadko z innych rejonów miasta, ale nawet te bliższe rzadko były dobrej jakości mimo ustawiania anteny w odmiennych pozycjach, doczepiania do niej różnych metalowych przedmiotów itp. Często przez cały wieczór panowała u mnie cisza (tzn. szum) na wszystkich trzech częstotliwościach odkrytych przez naszego przyjaciela. Na dłuższą metę ten jednostajny szum w domu był denerwujący. Toteż korzystałem z tego wynalazku tylko wtedy, kiedy trzeba było sprawdzić, czy jest jakaś aktywność w sąsiedztwie. Na przykład po wyjściu ode mnie jakiegoś gościa natychmiast nastawiałem telewizor, aby zorientować się czy jest śledzony. Taka orientacja była szczególnie ważna w stanie wojennym. I nie miało największego znaczenia, że nie zawsze rozumiało się, co oni mówią. Raz było to bardzo zabawne. Jeden z opozycyjnych przyjaciół, **Andrzej Szaja**²⁹ z Barlinka, wyjeżdżając ode mnie, próbował motocykl na ścieżkach po pobliskich pagórkach i skarpach. W tym czasie na fonii panowały nerwowe krzyki, widać było, że chaotyczna jazda Andrzeja powodowała dużo zamieszania.

Po długim czasie jeden z mechaników radiowych trochę usprawnił dostrajanie konwertera fonii i poradził coś, co mi nigdy przedtem nie przyszło do głowy. Mianowicie,

29 Andrzej Szaja (ur. 1961), rolnik z Krzynki, współpracownik KSS „KOR”, w roku 1981 organizator „Solidarności Wiejskiej” w woj. gorzowskim – od 3 I 1981 przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Założycielskiej, internowany w okresie grudzień 1981 – lipiec 1982.

sকoro na odbiór z dalszych części miasta ze względu na lokalizację szanse są małe, to do nasłuchu rozmów prowadzonych w bezpośrednim sąsiedztwie można zrezygnować z tego wzmacniacza antenowego, który prawdopodobnie zbiera zakłócenia albo nawet sam je wytwarza, powodując denerwujące szумы. A ponadto z udziałem wzmacniacza nigdy nie można być pewnym, czy aktywność esbecka jest w bezpośrednim sąsiedztwie, czy też gdzieś znacznie dalej i wtedy może dotyczyć kogoś lub czegoś całkiem innego. Sugestia okazała się trafiona, bo to zdawało egzamin.

Trzeba jednak powiedzieć, że jeden raz nasłuch na nic się nie zdał. Na niedługo przed Sierpniem '80 złapano mnie na mieście w czasie przenoszenia w torbie ponad 180 książek wydanych bez cenzury, które miały stanowić załączek naszej gorzowskiej niezależnej biblioteki. Pamiętam, że była niedziela, na próbę wychodziłem na spacer i według nasłuchu powinno być „czysto” wokół mnie, dlatego zdecydowałem się sam wykonać ten przerzut. Nie mam pojęcia, czy skrytka była namierzona i w jej pobliżu czekali, kto przyjdzie, czy też nie odkryliśmy wszystkich częstotliwości radiowych używanych przez SB w Gorzowie.

Powrócę teraz do owego najazdu na moje imieniny, które obchodziłem kilka dni po terminie, w sobotę 12 maja 1979 roku i pierwszej mojej gorzowskiej rewizji, gdyż obfitowały one w różne osobliwości, czasem półkomiczne, tak że było potem o czym opowiadać sąsiadom. Zwłaszcza na drugi dzień zaprzyjaźnione od lat z moją mamą starsze panie przychodziły do niej pod różnymi pretekstami, aby się dowiedzieć, jak to wyglądało i czy jej synowi nie zrobiono jakiejś krzywdy. Moja mama była kobietą bardzo wierzącą, a jednocześnie przeżywała takie sytuacje bardzo emocjonalnie. Jak tylko wyprowadzono mnie z domu i przystąpiono do rewizji (mieliśmy dużą meblościankę zapełnioną książkami, więc mieli co robić, wertując każdą książkę kartkę po kartce), razem z moimi małymi córeczkami uklękła przed obrazem i zaczęła głośno się modlić *Za tych panów, niech im Pan Bóg da opamiętanie*. Wreszcie któryś nie wytrzymał i krzyknął: *Proszę o spokój!* Moja mama wstaje, trzymając ciągle dzieci za ręce i oświadcza spokojnie: *Ja przeżyłam Hitlera, Stalina i banderowców, to ja się was nie boję*. Jedna z moich córeczek dodaje: *Babcia się was nie boi, prawda, babciu?* Być może to było powodem, że innym razem unikali babci i kiedy była chora, nie poszli w ogóle do niej na piętro.

W czasie rewizji nic nie znaleziono. Zarekwirowano jakieś stare szpargały, m. in. rękopisy i listy z lat szkolnych, ale także moje młodzieńcze wiersze, których mi nigdy nie oddano, nawet kiedy domagałem się tego w okresie „Solidarności”. Zwolniono nas wszystkich po paru godzinach tzw. rozmów ostrzegawczych. Te „rozmowy” próbowało prowadzić ze mną na zmianę paru esbeków, a inni wchodzili do pokoju tylko na chwilę, zapewne aby obejrzeć, jak wygląda „element antysocjalistyczny”. Jednego z tych „rozmawiających” ujrzałem tam z jakimś zdziwieniem. Nie pamiętam już jego nazwiska (choć wtedy wylegitymował się i nazwiskiem, i stopniem kapitana), ale był to dawny członek klubu krótkofalowców, do którego należałem w latach szkolnych. Było to w pewnym okresie moje młodzieńcze hobby. Klub – założony przy PKP przez mojego brata Józefa – zrzeszał entuzjastów, którzy przy pomocy krótkofalowej radiostacji porozumiewali się z podobnymi sobie w innych krajach alfabetem Morsa, lecz także za pomocą mikrofonu. Potem przysyłano sobie nawzajem pocztówki na dowód takiego spotkania w eterze. W tym celu trzeba było znać jakiś język obcy, w moim przypadku pomocny był angielski. Dzisiaj takie kontakty nawiązuje się przy pomocy internetu, tak że nie wiem czy podobne kluby radiowców jeszcze istnieją. Ten facet miał na imię Bolek (lub też tak się przedstawiał). Pamiętam, że lubił w tym klubie przesiadywać i prowadzić towarzyskie pog-

duszki, a sama obsługa radiostacji go zbyt nie interesowała. Wtedy dopiero zrozumiałem, że przychodził tam służbowo. Drugi z tych za biurkiem przedstawił mi się jako porucznik **Zbigniew Kamiński**³⁰. Jego, w odróżnieniu od tego Bolka, nigdy przedtem nie widziałem osobiście, ale w tym momencie już wiedziałem, z kim mam do czynienia. Otóż we wsi Ownice koło Słońska, w której się urodziłem i mieszkalem przez pierwsze 3 lata, sołtysiem był niejaki Kamiński. Wiedziałem ze słyszenia, że syn tego dawnego sołtysa po studiach zaczął pracować w Gorzowie „w milicji”. Zrozumiałem, że po prostu tak byli informowani mieszkańcy wsi – „w milicji” brzmiało lepiej niż „w SB”.

Natomiast ta imieninowa rewizja nie została przeprowadzona do końca, gdyż jeden z dwóch kierujących nią esbeków – moja żona dziś już nie pamięta czy kapitan **Zenon Remlein**³¹ czy porucznik (wówczas) **Alfred Siwek**³² – postanowił sprawdzić, co jest między pieluchami w pralce i wyjął z niej rękę umazaną po łokieć w dziecięcych fekaliach. Halina parsknęła śmiechem, swego rozbawienia nie mogli też ukryć dwaj mundurowi milicjanci przydzieleni do obstawy. Dostał mydło i ręcznik i wnet zarządził zakończenie akcji.

Najśmieszniejsze było jednak co innego, a była to prawdziwa rozrywka dla sąsiadów, którzy parskali śmiechem na widok tej sceny. Otóż w swej nadgorliwości esbecy schwyтали także listonosza, oczywiście z dużą torbą i eskortowali go wzdłuż całej ulicy do samochodu koło gazowni.

– *Co pan tu niesie?*

– *Gazety, listy...*

– *A, gazety... To proszę z nami!*

Z przodu jeden cywil niósł jego torbę, za nim dwóch prowadziło pod ramię wystraszonego listonosza, a z tyłu kroczyło dwóch mundurowych. Był to **Stanisław Golmento**³³, pracujący w Zakładach Mechanicznych „Gorzów” (zwanymi popularnie „Ur-

30 Zbigniew Kamiński (ur. 1952), funkcjonariusz SB w Sulęciniu (1974), następnie od 1 VI 1975 inspektor Wydziału III SB KW MO w Gorzowie, gdzie pracował na różnych stanowiskach do roku 1989, zwolniony ze służby 21 V 1990 roku (P. S k u b i s z, *Twarze gorzowskiej bezpieki. Informator personalny*, Szczecin 2008, s. 62).

31 Zenon Jerzy Remelein (ur. 1941), funkcjonariusz SB w latach 1964–1990, początkowo oficer referatu ds. bezpieczeństwa Komendy Powiatowej MO w Żaganiu, od 14 VII 1975 inspektor Wydziału Śledczego SB KW MO w Gorzowie, w 1976 – kapitan, w końcu lat 80. naczelnik Wydziału Śledczego SB Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gorzowie w stopniu majora, 15 IV 1990 zwolniony z MSW (P. S k u b i s z, *Twarze gorzowskiej bezpieki. Informator personalny*, Szczecin 2008, s. 94).

32 Alfred Siwek (ur. 1947), funkcjonariusz SB od roku 1970 – oficer operacyjny referatu ds. SB Komendy Powiatowej MO w Gorzowie, od 16 VIII 1975 starszy inspektor w Wydziale III SB KW MO w Gorzowie, 1 III 1979 kierownik Sekcji Wydziału III-A SB KW MO, 1 II 1981 – kierownik Sekcji Wydziału III SB KW MO, 1 IX 1982 – zastępca naczelnika Wydziału III SB KW MO, 1 IX 1985 – pełniący obowiązki naczelnika Wydziału III SB WUSW; 15 I 1989 zwolniony z MSW (P. S k u b i s z, *Twarze gorzowskiej bezpieki. Informator personalny*, Szczecin 2008, s. 97). Wg Wojciecha Sadowskiego w latach 60. funkcjonariusz ten inwigilował słynny „Stolik nr 1” w gorzowskim KMPiK.

33 Stanisław Golmento (ur. 1946 Daleszyce k. Kielc), absolwent Technikum Mechanicznego w Świebodzinie (1975), w Gorzowie od 1977 roku, zatrudniony m. in. w Zakładach Mechanicznych (1977–1980) w biurze głównego technologa, Przedsiębiorstwie Sprzętowo-Transportowym Budownictwa Rolniczego – specjalista ds. remontów i kasacji (1980–1982), gdzie był także zastępcą przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ „S”, zwolniony z pracy w stanie wojennym; następnie murarz w „Budex” Częstochowa (1982–1983), Spółeczne Przedsiębiorstwo Budowlane w Gorzowie (1983–1985), później przedsiębiorca budowlany, obecnie (2008) na emeryturze w Gorzowie. Współpracownik KSS „KOR”, przed sierpniem 1980 dwukrotnie zatrzymany przez SB (drugi raz za umieszczenie „Robotnika” w gablocie ZM), po raz trzeci w roku 1985. Pod datą 26 VII 1980 „Biuletyn Informacyjny” KSS „KOR” odnotował, iż na polecenie SB S. Golmento otrzymał wymówienie z pracy w Przedsiębiorstwie Sprzętowo-Transportowym Budownictwa

PROKURATURA WOJEWÓDZKA
Wydział Postępowania Karnego
ul. Moniuszki 7
66-400 Gorzów Wlkp.
Szan. akt 11 20 118/79

POSTANOWIENIE
o zarządzeniu przeszukania

Dnia 12 maja 1979 r.
Jan Skrabec, Viceprokurator
(imie, nazwisko i stanowisko)

Prokuratury wojewódzkiej w Gorzowie Wlkp.

w sprawie przeciwko
podejrz. o przestępstwo w art.
na zasadzie art. 190 i 191 § 1 kpk.

postanowił
1. zarządzić przeszukanie u Stanisława Sikanowicza
sam. Gorzów Wlkp. ul. Żelazna 14/1
wobec imię, nazwisko, adres osoby
uzgi, nazwę i adres instytucji państwowej lub społecznej; itp.
gdzie ma być dokonane przeszukiwanie

w celu znalezienia przedmiotów mogących stanowić dowód
w sprawie, a w szczególności **dowodów na zaistnienie**
przestępstwa.

Ms-22 (d. 8-III-64). Drukarnia Nr 1, W-wa. Zam. 909/75.

Gorzów Wlkp., dn. 22 V 1979 r.

Pokwitowanie

ppr. mgr Władysław Edward
Groszka, imię i nazwisko funkcjonariusza MO

z Komendy Wojewódzkiej MO w Gorzowie Wlkp.

Niniejszym stwierdzam, iż w dniu 22 maja 1979 r.
przy przeszukaniu dokonanym u Stanisława Sikanowicza
zam. Gorzów Wlkp. ul. Żelazna nr 14/1
zabrałem następujące przedmioty: 1) Karteczka z napisem
„66-44-61 (jub. roczn. 99) Jursek Andrzej (Woc-
ławski)”, 2) Karteczka z napisem „62-04 nr: 238
prosić p. Pietrusiak”, w odroczce „53-45
Bibl. Woj. sokoła około 405”, 3) Rozwloknie do za-
pięcia gęstwy myśk na mazurskie Budze-
wice Leszek 4) Rozwlokniecie dla upieczającego
o nazwisku Budewicz Leszek, 5) Zaświadcze-
nie Kolegium d/s Nihilacji z dnia 6. IV 1978 r.
o stawienniu się Stanisława Sikanowicza na
rozprawę 6) Karteczka z napisem „36 nr 57”.

Ms-22 (d. 8-III-64). Drukarnia Nr 1, W-wa. Zam. 909/75.

PROKURATURA WOJEWÓDZKA
Wydział Postępowania Karnego
ul. Moniuszki 7
66-400 Gorzów Wlkp.
Szan. akt 11 20 118/79

Pokwitowanie

ppr. mgr Władysław Edward
Groszka, imię i nazwisko funkcjonariusza MO

z Komendy Wojewódzkiej MO w Gorzowie Wlkp.

Niniejszym stwierdzam, iż w dniu 12.05 1979 r.
przy przeszukaniu dokonanym u Stanisława Sikanowicza
zam. Gorzów Wlkp. ul. Żelazna nr 14/1
zabrałem następujące przedmioty:

- 1) Rozwlokniecie - 4 szt. myśk w polokole
w poz. 1, 2, 4, 5
- 2) Dwa egz. Rozwlokniecia myśk na
polokole w poz. 6
- 3) Rozwlokniecie o numerze - sz. dwie
myśk w polokole w poz. w. 7
- 4) Rozwlokniecie w rozloknie - sz. dwie
myśk w polokole w poz. 8
- 5) Rozwlokniecie myśk w poz. w. 9
- 6) Rozwlokniecie - 2 szt. myśk w poz. 10

Ms-22 (d. 8-III-64). Drukarnia Nr 1, W-wa. Zam. 909/75.

7) Bilet kolejowy na przejazd z Warszawa do
na z dnia 12.05.1979 r. 8) Bilet kolejowy na
przejazd z Warszawa do Santoku z dnia 12
04.1979 r. 9) Karteczka z napisem „4 Labuda
Kwirka 14 nr 2”, 10) Karteczka z napisem „Czy-
łta SHOLEC 124”.

Łącznie dziesięć (dziesięć słownie) pozycji.

Przedmioty te odebrałem od wyżej wymienionej osoby jako
dowód rzeczowy do sprawy R.S.D. Nr DS. 95/79

Podpis Władysław Groszka

Odebrano ode mnie dn. 12.05.1979 r.
St. Sikanowicz

susem”), który po południu dorabiał na pół etatu na poczcie i roznosił w naszym rejonie telegramy, listy ekspresowe i prenumeratę tych gazet, które przychodziły późno. Jednym słowem uzupełniał to, czego nie dała rady zabrać rano dzienna listonoszka. W tym czasie nie znaleźliśmy się bliżej, ale niektórzy sąsiedzi byli z nim w bardziej zażyłych stosunkach, zwłaszcza osoby starsze, którym co miesiąc przynosił emeryturę.

W komendzie wojewódzkiej na Teatralnej po wysypaniu zawartości na stół zapanowała konsternacja i przeproszono go, mówiąc, że są podejrzenia, iż w tym domu handluje się alkoholem. Staszka intrygowało jednak, co jest grane, gdyż przynosząc mamie emeryturę, zwrócił uwagę na jej religijność, toteż mu nie pasowało, że nasz dom miałby być ośrodkiem jakiejś przestępczości. Następnego wieczora zadzwonił do naszych drzwi. Gdy otworzyłem, na ganku wręczył mi ostentacyjnie list nie adresowany do mnie i półgłosem zapytał, czy może wejść, by porozmawiać. I tak **Staszek Golmento** został moim pierwszym aktywnym współpracownikiem. Powiedział, że w Zakładach Mechanicznych zna paru ludzi o antykomunistycznych poglądach, a do tego ma już dobra orientację, komu można doręczać opozycyjne wydawnictwa w jego pocztowym rewirze obejmującym m. in. całe ulice Słoneczną i Gwiazdzystą. Wobec tak nieoczekiwanego zapotrzebowania (a wspomniałem już o zainteresowanych sąsiadach) przy najbliższej niedzieli udałem się do Warszawy, wracając z torbą nabitą biuletynami KOR-u, a przede wszystkim „Robotnikiem”, a także pismami innych ugrupowań³⁴.

Potem jeszcze przez pewien czas musiałem regularnie sam jeździć do Warszawy po „Robotnika”, zanim zostało to zorganizowane inaczej. Podróże te wyglądały w następujący sposób: Według mojego rozpoznania potwierdzało się, że inwigilacja, jeśli jest (a już nie była tak często jak w pierwszym okresie), to trwa od rana do wieczora, a w nocy jest spokój, natomiast w niedziele na ogół nikogo nie widać. Wobec tego wychodziłem z domu przed piątą rano, na wszelki wypadek nie pojawiałem się na dworcu kolejowym, lecz wsiadałem do autobusu PKS odjeżdżającego do Dobiegniewa tuż po piątej. Dobiegniew leży na głównej trasie kolejowej Szczecin-Poznań. O tej porze kasy biletowe były jeszcze zamknięte i bilet kupowało się u kierowcy, tak że nie było potrzeby wchodzić do budynku dworca. Plac, z którego odchodziły autobusy, był pusty, więc z daleka mógłbym zauważyć coś podejrzanego. Dodatkowo miałem zwyczaj wchodzić do autobusu ostatni (czasem byłem jedynym o tej porze pasażerem na początku trasy) oraz siedzieć z tyłu, aby widzieć, co się dzieje za autobusem. Z transportem wracałem tą samą drogą, z tym że z Dobiegniewa na wszelki wypadek autostopem. Jak się nikt nie zatrzymał, to wtedy wracałem autobusem, ale aby uniknąć dworca, wysiadałem na przystanku przy ul. Walczaka. To zdawało dobrze egzamin.

Najważniejsze było, że przez Staszka nagle pojawiło się poważne dojsście do drugiego co do wielkości zakładu w Gorzowie, jakim był „Ursus”. W tym czasie bibuła (zwłaszcza „Robotnik”) zaczęła też docierać do „Stilonu”, choć w małych ilościach jak na taki kombinat. Zaledwie po parę sztuk brali ode mnie pracujący w „Stilonie” ludzie z sąsiedztwa

Rolniczego. Wcześniej ten sam zakład odmówił przyjęcia do pracy innego działacza KSS „KOR” Stanisława Siekanowicza. (Dokumenty KOR i KSS „KOR”, dz. cyt., s. 569). Jednak S. Golmento w tym zakładzie pracę podjął.

34 Najście SB na mieszkanie Siekanowiczów w czasie imienin zostało nagłośnione także w Biuletynie KSS „KOR”. Pod datą 12 maja 1979 odnotowano w nim następującą informację: *12 maja: rewizja i „kocioł” w mieszkaniu Stanisława Siekanowicza, współpracownika KSS „KOR”, obchodzącego tego dnia imieniny. Zatrzymano 9-ciu imieninowych gości; dwoje spośród nich – Alinę Iwanowską i inż. Henryka Oczkowsia przesłuchiwano w następnych dniach w sprawie działalności S. Siekanowicza i kolportażu w mieście pisma „Robotnik”. Gospodarza zatrzymano na ok. 7 godzin (Dokumenty KOR i KSS „KOR”, dz. cyt., s. 405).*

lub członkowie z ich rodzin. Niebawem nieco więcej zaczęło iść innym kanałem. Zaczęło się to w ten sposób, że często wypożyczałem książki w filii biblioteki miejskiej przy (ówczesnej) ul. Armii Czerwonej (obecnie ul. Konstytucji 3 Maja) koło „Domu Kolejarza”, dokąd miałem blisko przez ogródki działkowe. Tam dałem bibliotekarce³⁵ jakiś komunikat KOR-u czy coś takiego. Zainteresował się tym jej syn **Ireneusz Aszenberg**, który pamiętał mnie jeszcze ze szkoły podstawowej, kiedy to chodziłem do jednej klasy razem z jego siostrą. Kontakt z Irkiem utrzymywaliśmy bardzo ostrożnie, gdyż nie odważył się on działać jawnie, na co ja zresztą nie nalegałem, bo na tym etapie „bezpieka” mogłaby takie dojsście do „Stilonu” zlikwidować w zarodku. Irek wykonał sporo dobrej roboty, choć tylko konspiracyjnie. Regularnie brał ode mnie kilkadziesiąt egzemplarzy „Robotnika”. Wykładał go w stołówce przed przerwą oraz gdzie popadło na terenie zakładu, a parę sztuk zostawiał dla najbardziej zaufanych kolegów. Wydaje się, że do końca „bezpieka” o tym kontakcie nie wiedziała, bo nigdy nie miał żadnej wpadki ani też w żaden sposób go nie ruszono. Spotykaliśmy się w bibliotece albo na terenie pobliskich ogródków.

Jednocześnie powoli nawiązywałem kontakty z innymi kolegami z dzieciństwa oraz ze szkoły średniej najczęściej spotkanymi przypadkowo na ulicy, w sklepie lub pod kościołem. Niektórzy mniej lub bardziej regularnie brali po kilka egzemplarzy wydawnictw do swoich instytucji lub dla swych sąsiadów. Za niedługo już można było powiedzieć, że jest jako taka siatka kolportażu. Na tym etapie wszystko jednak opierało się na mnie, na moich warszawskich kontaktach i na moich podróżach co dwa tygodnie. Gdyby mnie wtedy zabrakło, to zapewne wszystko by się rozleciało. Zdawałem więc sobie sprawę, że musi dojść więcej działaczy jawnych. Nie wiedziałem, co w tym celu mam robić. Myślałem, że nigdy nie miałem zdolności do działalności społecznej ani jakichś szczególnych predyspozycji do tego typu działań opozycyjnych. To, że wreszcie przybywało trochę współpracowników czy sympatyków, cichych a w najlepszym wypadku półjawnych, to raczej dzięki szczęśliwym przypadkom. Bez tych „zbiegów okoliczności”, jak chociażby ze **Staszkiem Golmento** czy **Irkiem Aszenbergiem**, niewiele bym zdziałał mimo swej dużej aktywności i poświęcania całego czasu wolnego. I tak było później, gdy szczęśliwe przypadki spowodowały dalszy rozwój środowiska. Tymczasem szamotałem się z próbami stworzenia czegoś w rodzaju kierowniczej grupy i przez parę miesięcy to się nie kleiło. Było dla mnie oczywiste, że muszę w jakiś sposób poznać ze sobą niektórych moich cichych współpracowników i sympatyków. W tym celu zacząłem organizować zebrania, ale bardzo ostrożnie – po parę osób.

W tym okresie z niektórymi z sympatyków kontaktowałem się przez prywatne biuro architekta i tam czasem spotykaliśmy się w kilka osób. Właściciel tej pracowni miał też swoją grupkę sympatyków spośród inżynierów oraz swoich klientów. Nie pamiętam jak i przez kogo poznałem tego wspaniałego gorzowianina ani niestety nie pamiętam już dzisiaj jego nazwiska. Miał na imię Józef, a woaliśmy go Ziutek³⁶. Pracownia Ziutka mieściła się w centrum miasta na ul. Sikorskiego na poddaszu starej kamienicy po drugiej stronie poczty. Jest mi tym bardziej przykro, że nie jestem w tej chwili w stanie podać jego nazwiska, gdyż ta pracownia została namierzona przez SB, urządzono tam kilkugodzinną

35 Prawdopodobnie chodzi o Annę Aszenberg.

36 Nie udało mi się ustalić nazwiska tej osoby. Pytałem o niego w środowisku architektów, którzy jednak nie kojarzą tej osoby i wskazują na fakt, iż w latach 70. zawód architekta nie był jeszcze zawodem wolnym i raczej nie było możliwe aby jakiś architekt miał tam swoją pracownię. Pytany o to autor wspomnień informuje, iż zajmował się on projektowaniem instalacji gazowych (także w mieszkaniu S. Siekanowicza), a więc może chodzić o jakiegoś inżyniera projektanta instalacji wodno-kanalizacyjnej.

rewizję i kocioł, zatrzymując albo tylko legitymując i zawracając z powrotem klientów idących do inżyniera. Ziutka ciągnano parokrotnie na długotrwałe przesłuchania. Wydaje się, że nikogo nie zdradził, bo nikt z naszych sympatyków nie był w tym okresie ruszany. Ten najazd „bezpieki” na pracownię spowodował jednak, że niektórzy się przestraszyli i zaczęli unikać zarówno Ziutka jak i mnie, a z innymi znowu musiałem spotykać się w pojedynkę i owo zamierzone budowanie środowiska na pewien czas utknęło. Nadal spoczywały na mnie obowiązki głównego organizatora wszystkich spraw i niejako rola przywódcy, do której nie miałem predyspozycji, będąc raczej typem intelektualisty. Nigdy też nie miałem szczególnych zdolności organizatorskich pomimo pewnego sprytu w wykonywaniu poszczególnych akcji i myleniu „bezpieki” – brałem na siebie to wszystko tylko dlatego, że taka była potrzeba, a nikt inny wtedy nie odważył się mnie zastąpić.

Wiem, że niektórzy znajomi z tego okresu zapamiętali mnie jako człowieka odważnego. To nie całkiem odpowiada prawdzie. Byłem gotowy na rewizje, zatrzymania i różnego rodzaju szykany. Liczyłem się też z możliwością kilku lat więzienia. Ale próbując nie dać tego po sobie poznać, bałem się, że mogą mnie zakatrupić „nieznani sprawcy” tak jak **Stanisława Pyjasa** w Krakowie. Dlatego np. jeżeli było to możliwe, starałem się, aby w pobliżu byli jacyś ludzie, tak by ktoś widział scenę zatrzymania mnie. Jeśli byłem śledzony, to wieczorem nie chodziłem sam po ciemnym parku czy jakimś odludziu, chyba że na krótko, gdy była pilna potrzeba zgubienia „ogona”.

Z tego czasu przed powstaniem „Solidarności” zapamiętałem na całe życie wiele wydarzeń z najdrobniejszymi szczegółami (czasem po latach myli mi się tylko chronologia lub kolejność faktów oraz zatarły się niektóre nazwiska), zatem chyba jest sporo prawdy w twierdzeniu, że życie w poczuciu ciągłego zagrożenia nie tylko wyostrza wszystkie zmysły (jak w przypadku osaczanej zwierzyny), ale też utrwała pamięć. W porównaniu z tym okresem wydarzenia z mojego życia od powstania „Solidarności” do stanu wojennego nieporównanie słabiej zachowały mi się w pamięci. Psychika bowiem nie była obciążona tym balastem ciągłego zagrożenia, może poza dwoma bardzo krótkimi okresami – tzw. kryzys bydgoski i wzrost napięcia tuż przed samym stanem wojennym.

Wróćmy do naszego listonosza, pracownika Zakładów Mechanicznych **Staszka Golmento**. Po paru tygodniach jego aktywnej współpracy ze mną, kiedy bibuła zaczęła docierać nawet do oddziałów „Ursusa” w Świebodzinie i Sulęcinie, nie mówiąc już o blokach w jego pocztowym rejonie na osiedlu Słonecznym, Staszek przyszedł doręczyć jakiś list mojej mamie i miał taką minę, że od razu odgadłem, że się stało coś niedobrego. Poinformował mnie, że został zabrany na przesłuchanie, w czasie którego esbek **Siwek** (wówczas jeszcze porucznik) groził mu sankcją prokuratorską i więzieniem. Przyznał, że uległ i zgodził się donosić na mnie, ale nie chce tego robić i nie wie, jak teraz wybrnąć. Byłem na niego zły, ale jednocześnie wzruszony jego wyrzutami sumienia i tym, że wszystko mi powiedział. Pomimo pewnego doświadczenia z Wrocławia po raz pierwszy spotkałem się osobiście z taką sytuacją. Nie wiem, czy to był jego pomysł czy mój, aby w takim razie zacząć prowadzić grę, tzn. ustaliliśmy, że on będzie im mówił, to co ja mu podyktuję – mało istotne rzeczy lub takie, co już i tak znają, a jednocześnie będzie ich wprowadzał w błąd. Ta próba przechytrzenia „bezpieki” szybko okazała się niewypałem, gdyż przy pierwszym spotkaniu z **Siwkim** esbek zorientował się w tym blefie. Wtedy **Golmento** powiedział mu, że dalszy ciąg tej współpracy nie ma sensu, bo ja już wszystko o tym wiem. **Siwek** zdenerwował się, krzyczał na niego, że to bezczelność i że będzie go to „drogo kosztować”, po czym wyrzucił go z komendy i zatrzasnął za nim drzwi.

Jeżeli dzisiaj okazałoby się, że w dokumentacji IPN **Stanisław Golmento** figuruje jako tajny współpracownik SB i ktoś z dawnego środowiska opozycyjnego lub z jego przyjaciół miałby z tego powodu wątpliwości na temat uczciwości tego człowieka, to publicznie zaświadczam, że o wszystkim mnie poinformował na bieżąco i konfidentem faktycznie nie został!³⁷



I Walny Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” 25 kwietnia 1981. Widoczni od lewej: Bronisław Zych, Edmund Dulko (ze sztandarem Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”), Tadeusz Mickiewicz, Anna Jankowska, Jerzy Gospodarek, Tadeusz Kołodziejcki (fot. Henryk Serwaczak, ze zbiorów Bogusława Gruszczyńskiego)

Staszek po tym wszystkim bał się zemsty „bezpieki” i nie chciał już aktywnie działać, chociaż w pewnych okresach po cichu mi pomagał, w tym także w stanie wojennym. Odśnawszy się na bok, przekazał mi swoje kontakty, w tym z jego kolegami z oddziału Zakładów Mechanicznych w Świebodzinie, dokąd był kontynuowany kolportaż bibuły. Ale przede wszystkim zapoznał mnie z **Zygmuntem Jędrzakiem** z gorzowskiego „Ursusa”, który został głównym kolporterem bibuły na ten zakład i w krótkim czasie zorganizował tam nieformalną grupę sympatyków opozycji, włącznie z takimi ludźmi jak **Zygmunt Ciszak**³⁸ i **Edmund Dulko**³⁹, którzy później współorganizowali NSZZ „Solidarność” w

37 W trakcie rozmowy w dniu 9 VII 2008 Stanisław Golmento potwierdził fakty tu podane przez S. Siekanowicza. Zobowiązanie do współpracy z SB podpisał zastraszonej przez funkcjonariuszy SB, którzy także zmusili go do podpisania kilku kartek in blanco.

38 Zygmunt Ciszak (1941–1992), pracownik Zakładów Mechanicznych w Gorzowie, organizator NSZZ „Solidarność” w tych zakładach i przewodniczący jej Komisji Zakładowej (od grudnia 1980), członek Zarządu Regionu NSZZ „S” od kwietnia 1981 r., w grudniu 1981 internowany, w 1988 roku wszedł do Rady Regionu NSZZ „Solidarność”.

39 Edmund Dulko (ur. 1937 Rękaciszki k. Wilna), absolwent wieczorowego Technikum Mechanicznego (1967), pracownik Spółdzielni Pracy Rybołówstwa Morskiego i Zalewowego „Certa” w Szczecinie (1952–1961), następnie Zakładów Mechanicznych w Gorzowie (1961–1981), etatowy sekretarz Komisji Zakła-

tym zakładzie, a Zygmunt Ciszak stanął na czele komisji zakładowej niezależnego związku.

Zygmunt Jędrzak zorganizował tam więcej ludzi, ale niech mi po latach wybaczą, że nie pamiętam ich nazwisk. On też stał się obok mnie drugim jawnym działaczem opozycji w Gorzowie i najbliższym moim przyjacielem aż do końca mojego zamieszkania w tym mieście, czyli do roku 1985. W ostatnich wyborach kandydował na senatora z listy PiS, a wkrótce potem uderzyła mnie tragiczna wiadomość, że zmarł z powodu jakiejś nagłej choroby. Pragnę tu oddać mu hołd, gdyż faktycznie nie ja, lecz mniej znany ode mnie **Zygmunt Jędrzak** najbardziej zasłużył się w rozwoju robotniczej opozycji w Gorzowie przed powstaniem „Solidarności”. O nim będzie jeszcze w dalszym ciągu wspomnieć.

Skoro już jesteśmy przy listonoszach, to nie mogę nie wspomnieć o wspaniałej pani Danusi (nie pamiętam nazwiska), dziennej listonoszce obsługującej nasz rejon przez wiele lat i bardzo lubianej przez długoletnich mieszkańców, w tym moją mamę. Dojeżdżała do pracy z Górek Noteckich. Dostarczała odbiorcom gazety nie tylko oficjalne. Po przygodach Staszka współpraca z Danusią utrzymywana była w tajemnicy.

Duszpasterstwo księdza Witolda

Spośród gorzowskich księży najpierw nawiązałem znajomość z ks. **Ryszardem Dobrołowiczem**⁴⁰ z parafii katedralnej, o którym słyszałem od rodziny i sąsiadów, że ma bardzo dobre kazania, a ludziom podobają się jego celne, a czasem nawet kpiące aluzje do komunistów. Ks. Ryszard (zwany przez parafian „Rysiu”) był jednym z moich pierwszych odbiorców niezależnych wydawnictw, ale został za niedługo przeniesiony do innego miasta (chyba do Głogowa) i nasz kontakt został przerwany. Następnym był ks. **Andrzej Szkudlarek**⁴¹, proboszcz nowo utworzonej parafii na os. Słonecznym i budowniczy tamtejszego kościoła. Terytorialnie nasza ulica Żelazna została wyłączona z parafii katedralnej i zaczęliśmy podlegać księdzu Andrzejowi. Czasami przyjeżdżał on z komunią do mojej mamy, gdy czuła się gorzej. W takich sytuacjach zostawał on u nas trochę dłużej, interesował się opozycją w kraju i brał do czytania ciekawsze pozycje wydawnicze, a także troszkę do kolportażu. Nie mówił dla kogo, to ja też nie pytałem. Nie wiedziałem, że ksiądz Szkudlarek utrzymuje stałą więź z robotnikami z większych zakładów. Po czasie dowiedziałem się od działacza „Solidarności” w „Stilonie” i aktywnego uczestnika podziemia w stanie wojennym **Józefa Szoppe**⁴², że jego opozycyjna postawa

dowej NSZZ „Solidarność” w Zakładach Mechanicznych w Gorzowie od jesieni 1980 roku, delegat na I Walny Zjazd Delegatów NSZZ „S” Regionu Gorzowskiego, uczestniczył w strajku w Zakładach Mechanicznych po wprowadzeniu stanu wojennego, 16 XII po rozbięciu strajku zatrzymany i zwolniony po 50 godzinach, następnie skazany przez kolegium ds. wykroczeń na miesiąc aresztu za udział w strajku, który odbył w Międzyrzeczu i Wawrowie, dyscyplinarnie zwolniony z pracy 31 XII 1981, później pracownik prywatnych zakładów pracy, obecnie (2008) na emeryturze w Gorzowie.

40 Ryszard Dobrołowicz (ur. 11 IV 1947 Podła Góra k. Świebodzina), absolwent Wyższego Seminarium Duchownego w Paradyżu-Gosiczkowie (1971), pracował w Międzyrzeczu (1971–1972), Głogowie (1972–1975), w parafii katedralnej w Gorzowie (1975–1979), następnie w Głogowie (1979–2005), gdzie m. in. odbudował kolegiatę, a przy niej stworzył Ośrodek Duszpasterstwa Chorych i Niepełnosprawnych na 120 osób, prowadzony przez Stowarzyszenie Cichych Pracowników Krzyża. Honorowy obywatel Głogowa. Obecnie na emeryturze, mieszka w Zielonej Górze.

41 Andrzej Szkudlarek (ur. 1948), ksiądz, pierwszy proboszcz kościoła św. Wojciecha i budowniczy tego kościoła, od 1994 roku dziekan dekanatu Świętej Trójcy (Gorzów-Południe) (J. Zysnarski, *Encyklopedia*, s. 611).

42 Józef Szoppe (ur. 1948), pracownik Stilonu, internowany w okresie maj-czerwiec 1982 roku, 13 VIII 1982



Lata 70., od lewej ks. Witold Andrzejewski „SzeŹ”; ks. Ryszard DobroŹłowicz „Malutki” i ks. Marek Damski „Ekselencja” (ze zbiorów ElŹbity Regulskiej)

dojrzywała wŹlawnie pod auspicjami naszego proboszcza.

Wreszcie trafiŹem do księdzka **Witolda Andrzejewskiego**⁴³, prowadzającego w Gorzowie Duszpasterstwo Akademickie. Temat księdzka Witolda i jego duszpasterstwa potraktuję tu tylko w takim zakresie, w jakim ma on związek ze mną. Natomiast na odrębne opracowanie, i to obszernie, zasługuje historia tego ośrodku, a przede wszystkim rola jego duchowego przewodnika w ideowym uformowaniu niezaleźnie myślącej mŹdziej inteligencji katolickiej tego miasta, a następnie wielorakie wsparcie, jakiego ów wyjątkowy duszpasterz, zarazem intelektualista udzielał „Solidarności” od jej zarania aż do końca PRL, co nabierało szczególnego znaczenia w stanie wojennym i w pierwszym okresie funkcjonowania podziemnych struktur związkowo-opozycyjnych, gdy poziom reŹimowej represji osiągnął apogeum.

W okresie wrocŹawskim mŹj gŹówny kontakt z warszawską opozycją (KOR, ROP-CiO itd.) był przez pochodzającego z Warszawy **WiesŹawa Kęćnika**⁴⁴, późniejszego organizatora niezaleźnego ruchu chŹopskiego i członka KSS „KOR”. Juź w tamtym okresie przy

zatrzymany w czasie demonstracji pod katedrą i skazany na 3 lata pozbawienia wolności i pozbawienie praw publicznych na 2 lata za nawoŹywanie do demonstracji, obecnie na emigracji w Kanadzie.

43 Witold Andrzejewski (ur. 1940), ksiądz kanonik i praŹat, proboszcz parafii Niepokalanego Poczęcia NMP w Gorzowie, kapelan „Solidarności”, duszpasterz Źwiata pracy, w latach 80. organizator mszy za ojczyznę w katedrze, od 2007 honorowy obywatel Gorzowa (J. Zysnarski, *Encyklopedia*, s. 19).

44 WiesŹaw Piotr Kęćnik (ur. 1946), absolwent filozofii na fakultecie oo. jezuitów w Krakowie, działalność opozycyjną rozpoczął w roku 1970 od organizacji Ruch (za udział w przygotowaniach do podpalenia muzeum Lenina w Poroninie otrzymał wyrok 3,5 roku pozbawienia wolności). Po wyjściu z więzienia ożenił się ze skazaną w tym samym procesie Marzeną Górszczyk. Później studiował na Uniwersytecie WrocŹawskim, gdzie współorganizował SKS. Później wraz z żoną przeniósł się do Warszawy, gdzie wydawał pismo dla wsi pt. „Placówka”. Po sierpniu 1980 organizował „Solidarność Wiejską” (zob. H. W u j e c, *WiesŹaw Piotr Kęćnik*, Duży Format z 18 IX 2006 - <http://serwis.gazeta.pl/kraj/1,75687,3626080.html>).

okazji jakiegoś towarzyskiego spotkania, na które zaprowadził mnie Wiesiek, poznałem aktora **Macieja Rayzachera**⁴⁵. Później, przy swym pierwszym gorzowskim wyjeździe do Warszawy znowu wpadliśmy z Wieskiem na krótko na jakieś imieniny czy urodziny kogoś z opozycji i tam także był Rayzacher i kilka innych osób ze środowisk twórczych, w tym wybitna aktorka **Halina Mikołajska**⁴⁶, która miała zakaz występów w telewizji. Dowiedziawszy się, że przyjechałem z Gorzowa, oboje tzn. Rayzacher i Mikołajska powiedzieli mi, że w tym mieście jest ich przyjaciel Witold Andrzejewski – były aktor, a obecnie ksiądz.

Jeszcze w czasach studenckich słyszałem, że były aktor gorzowskiego teatru jest księdzem i zajmuje się młodzieżą, ale nie miałem pojęcia, że ma związki z opozycją. Czym prędzej wybrałem się do kościoła na Chodkiewicza, gdzie wówczas pracował ksiądz Witold i gdzie działało duszpasterstwo. Po paru miesiącach razem ze swym opiekunem ten młodzieżowy ośrodek przeniósł się do parafii katedralnej. Oficjalnie było to duszpasterstwo dla młodzieży akademickiej, której w Gorzowie tak wiele nie było, jako że jedyną uczelnią była filia AWF. Ośrodek gromadził więc także młodych ludzi już po studiach, uczniów szkół pomaturalnych, a także ze starszych klas licealnych.

Witold ucieszył się, że ktoś jawnie działający w opozycji znalazł się w Gorzowie. Jednocześnie tłumaczył mi, że jego formuła działania musi być inna. To był teren Kościoła, gdzie duszpasterz nie mógł zamieniać swojego ośrodka w opozycję sensu stricto. Uważał zresztą, że wiele da się zrobić po cichu, a jego zadaniem było formowanie młodej inteligencji w duchu wierności Bogu i Ojczyźnie, co mieści się w oficjalnych kategoriach duszpasterskiej wspólnoty akademickiej. Rok 1980 pokazał, jak owocna była jego „praca u podstaw”, gdyż co najmniej kilkunastu wychowanków tego ośrodka brało aktywny udział w organizowaniu „Solidarności” na terenie swoich zakładów pracy. Na ogół byli to ludzie o wysokim poziomie intelektualnym i moralnym. Później, po wyborach, niektórzy z nich zostali członkami Zarządu Regionu.

Z przedsierniowych kontaktów z tym ośrodkiem oraz z moich wizyt w mieszkaniu księdza Witolda pamiętam dobrze późniejszych czołowych działaczy niezależnego związku jak **Ania Marczyk**⁴⁷, **Andrzej „Rumian” Wierzbicki**⁴⁸, **Agnieszka Wiśniew-**

45 Maciej Rayzacher (ur. 1940), aktor, absolwent PWSTiF w Łodzi (1962), w filmie debiutował w roku 1959, sympatyk opozycji w latach 70., w roku 2006 odznaczony przez Prezydenta RP Krzyżem Oficerskim OOP z okazji 30. rocznicy powstania KOR (www.wikipedia.pl).

46 Halina Mikołajska (1925–1989), aktorka, żona pisarza Mariana Brandysa, działaczka KOR w latach 70., wielokrotnie nękana przez SB.

47 Anna Marczyk (ur. 1956 Gorzów), absolwentka AWF w Poznaniu Filia w Gorzowie, w końcu lat 70. działaczka Duszpasterstwa Akademickiego, zajmowała się także kolportażem prasy opozycyjnej oraz zbierkami pieniędzy na rzecz KSS „KOR”, w grudniu 1980 współzałożycielka NZS na AWF, w roku akademickim 1981/82 wiceprzewodnicząca NZS, od 1 IX 1981 nauczycielka wychowania fizycznego w Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 16 w Gorzowie, internowana w okresie 15 grudnia 1981 – 29 kwietnia 1982, obecnie (2008) nauczyciel WF w Szkole Podstawowej nr 16 (informacje od Grażyny Pytlak).

48 Andrzej „Rumian” Wierzbicki (ur. 1953 w Gorzowie), absolwent I LO w Gorzowie (1973), w latach 70. pracownik Drukarni Akcydensowej, a następnie Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska”, pracownik administracji Zakładu Zaopatrzenia Rolnictwa – kierownik Działu Materiałów Budowlanych, w latach 1980–1981 przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „S” w tym zakładzie, delegat na Walny Zjazd Delegatów NSZZ „S” Regionu Gorzowskiego, internowany w okresie grudzień 1981 – maj 1982, obecnie (2008) współwłaściciel Hurtowni Zabawek „Welmast” w Gorzowie. „Rumian” jest pseudonimem z czasów działalności w Duszpasterstwie Akademickim.



I Walny Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, kwiecień 1981. Widoczni od lewej: Grażyna Pytlak, Zbigniew Zięba, Zenon Werner, Agnieszka Wiśniewska (fot. Henryk Serwaczak, ze zbiorów Bogusława Gruszczyńskiego)

ska⁴⁹, Stasiu Radziukiewicz⁵⁰ (z którym potem spędziłem internowanie w jednej celi) czy Mirek Haczkur⁵¹. Utkwiły mi też dotąd w pamięci twarze innych, ale niestety z nazwiskami to już gorzej. Również wtedy poznałem tam dwie miłe młode kobiety, które później redagowały dwa wydawnictwa „Solidarność”, a w stanie wojennym po wyjściu z internowania poświęcały się działalności podziemnej – Grażynę Pytlak⁵² i Marię Basi-

49 Agnieszka Wiśniewska (ur. 1952), działaczka Duszpasterstwa Akademickiego, w roku 1981 technik fizykoterapii w Państwowym Domu Pomocy Społecznej w Gorzowie, delegat na I Walny Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” w Gorzowie (1981), członek Zarządu Regionu NSZZ „S” w Gorzowie, internowana w okresie grudzień 1981 – czerwiec 1982, obecnie (2008) na emigracji w Szwecji.

50 Stanisław Radziukiewicz (ur. 1952), działacz Duszpasterstwa Akademickiego, przewodniczący Zakładowej Komisji Założycielskiej NSZZ „Solidarność” we wrześniu 1980, a później sekretarz Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Gorzowskich Zakładach Mechanizacji Budownictwa ZREMB w Gorzowie, rozpracowywany przez SB w ramach sprawy „Amator” (1980), internowany w okresie grudzień 1981 – lipiec 1982, obecnie (2008) na emigracji w Szwecji.

51 Mirosław Haczkur (ur. 1959 w Strzelcach Kraj.), w roku 1980 magazynier w Gorzowskim Kombinacie Budowlanym w Gorzowie (od 1977), wiceprzewodniczący KZ NSZZ „S” (1980), od października 1980 oddelegowany przez zakład do pracy w MKZ NSZZ „S”, gdzie pracował jako kierowca i był członkiem Prezydium MKZ (do końca kwietnia 1981), internowany 13 XII 1981 – 7 XII 1982, później pracownik Wojewódzkiego Biura Geodezji i Terenów Rolnych w Gorzowie (1984), w roku 1984 Prokuratura Wojewódzka postawiła mu zarzuty za tworzenie nielegalnych struktur w środowisku młodzieżowym i akademickim. Został tymczasowo aresztowany. Obecnie (2008) na emigracji w Kanadzie.

52 Grażyna Pytlak (ur. 1948 Poznań), inżynier budownictwa lądowego, w roku 1980 zatrudniona w Zakładzie Projektowania i Usług Inwestycyjnych „Inwestprojekt” w Gorzowie jako starszy asystent projektanta, aktywna działaczka Duszpasterstwa Akademickiego, przed sierpniem 1980 roku w jej mieszkaniu odbywały się zebrania mające na celu powołanie komórki Konfederacji Polski Niepodległej, do czego jednak nie doszło, w latach 1980–1981 redaktor dwutygodnika „Solidarność Gorzowska”, w roku 1981 członek Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” i delegat na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, inter-

kiewicz⁵³ (znana wszystkim jako Maja).

Wychowankami tego gorzowskiego Duszpasterstwa było także kilku poznańskich działaczy opozycyjnej organizacji młodzieżowej o profilu niepodległościowym – Ruchu Młodej Polski. Ci młodzi gorzowianie studiowali na UAM (głównie historię). Utrzymywali nadal żywy kontakt z macierzystym miastem i z ośrodkiem duszpasterskim. Trzech z nich działało jawnie i z nimi widywałem się, gdy przyjeżdżali do swoich rodziców. Lider grupy **Marek Jurek** został moim przyjacielem i wielokrotnie gościł w naszym domu, zaś ja z Haliną i dziećmi – staliśmy się częstymi bywalcami u jego rodziców przy ul. Gwiazdziej. Nasze paroletnie córki bardzo lubiły mamę Marka i często nas prosiły, aby iść tamtędy na spacer. Ta bliska więź trwała aż do naszego wyjazdu z kraju. Oczywiście takie niemalże rodzinne odwiedziny szły w parze z załatwianiem bieżących spraw opozycyjnych. Mile wspominam też swoją współpracę z **Krzysiem Nowakiem**⁵⁴ oraz z trzecim członkiem tego triumwiratu **Piotrem Miereckim**⁵⁵.

Śmiało można ów ośrodek duszpasterski nazwać kuźnią niekomunistycznej elity. Powstanie „Solidarności” nie byłoby jednak możliwe bez robotników. Przy pierwszych spotkaniach z ks. Andrzejewskim próbowałem go przekonywać, że sama inteligencja niczego w Polsce nie zdziała i potrzebne jest wchodzenie do zakładów pracy celem organizowania ludzi pracy, co jemu wówczas pachniało lewicą i socjaldemokracją. Nalegałem na tworzenie środowiska jawnej opozycji, związanego z czołowymi ugrupowaniami w kraju, zgodnie z koncepcjami końca lat 70., a także na organizowanie akcji podobnych do tych w większych miastach, jak rozdawanie pism opozycyjnych pod zakładami pracy, plakatowanie murów czy ulotkowanie ruchliwych ulic i placów, a w przyszłości być może wydawanie lokalnego pisma z jawną redakcją. Mój rozmówca nie był przekonany, że w ośrodku wielkości Gorzowa to ma sens. Odpowiadała mu bardziej spokojna półkonspiracja. Ostatecznie ustaliliśmy, że każdy będzie robił swoje, a będziemy wymieniać się wydawnictwami. Rozumiałem, że aby kontynuować tego typu działalność jak we Wrocławiu, to muszę w zasadzie sam zacząć budować środowisko, a zwłaszcza szukać stałych dojsć do większych zakładów pracy.

Ks. Andrzejewski zaproponował mi bywanie na oficjalnych spotkaniach czy prelekcjach Duszpasterstwa, ale postawił warunek, że nie będę wobec jego podopiecznych

nowana w okresie grudzień 1981 – marzec 1982, po uwolnieniu znana działaczka opozycji, obecnie (2008) na rencie w Gorzowie.

53 Maria Basiekiewicz (ur. 1958), w roku 1981 członek redakcji „Echa” – pisma Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Gorzowie, internowana w okresie grudzień 1981 – kwiecień 1982; 15 IV 1983 r. zatrzymana przez SB w czasie zatrzymania lidera gorzowskiego podziemia Zbigniewa Bełza. Żona działacza opozycji Mirosława Haczura, obecnie (2008) na emigracji w Kanadzie.

54 Krzysztof Nowak (ur. 1959), absolwent I LO w Gorzowie (1978), następnie studiował w Poznaniu, działacz Ruchu Młodej Polski, w III RP współtwórca programu TVP „Polonia”, później zastępca dyrektora Programu I TVP (1999), dyrektor OTVP w Poznaniu (2004), obecnie producent telewizyjny.

55 Piotr Mierecki (ur. 1959 Gorzów) absolwent I LO w Gorzowie, w latach 1978–1983 studiował historię na UAM, działacz Ruchu Młodej Polski, 1984–1990 pracownik biblioteki Instytutu Zachodniego w Poznaniu, 1990–1992 pracownik Fundacji „Pomoc Młodym”, od 1992 w Warszawie kolejno: 1992–1997 główny specjalista w Gabinetie Ministra Spraw Wewnętrznych, 1997–1998 Naczelnik Wydziału Współpracy Międzynarodowej, 1998–2002 Dyrektor Departamentu Integracji Europejskiej i Współpracy Międzynarodowej MSWiA, po 2002 Radca Generalny w tymże Departamencie, później dyrektor, a obecnie (2008) zastępca dyrektora Departamentu Polityki Migracyjnej MSWiA; urzędnik służby cywilnej, członek Wyższej Komisji Dyscyplinarnej Służby Cywilnej; stypendysta w Bibliotece Polskiej w Paryżu (1987), laureat wyróżnienia Ministra Kultury i Sztuki (1992) za „Studium historyczno-przestrzenne Wąsowa”, staż w MSW Francji (1995). Żonaty od 1983 roku, żona Ewa, dwóch synów: Jakub (ur. 1989) i Maciej (ur. 1991). (http://free.of.pl/e/eka/Notki/notki_1_z.htm).



Gorzowskie I LO, lata 70., siedzą od lewej: Bożena Chlebowicz, Piotr Mierecki, Marek Jurek, Krzysztof Nowak (fot. z: *I Liceum Ogólnokształcące. 60 lat minęło, Gorzów Wlkp. 2005, s. 76*)

prowadził jawnej agitacji politycznej ani też nie będę nikogo z nich angażował do swojej jawnej działalności. Dotrzymywałem postawionych mi warunków, choć nie zawsze byłem z tego zadowolony. Na przykład grupa uczestników Duszpasterstwa miała spotkanie z liderem Ruchu Młodej Polski **Aleksandrem Hallem**⁵⁶, w którym nie było mi dane uczestniczyć z obawy, że jestem na tyle znany, iż mogę za sobą przyprowadzić „ogon”. Co więcej, jeden z działaczy poprosił mnie, czy mogę coś zrobić, aby na ten dzieńściągnąć uwagę SB na siebie. Zadzwoiłem do Warszawy do **Jacka Kuroń**⁵⁷, którego telefon był na sto procent na podsłuchu i powiedziałem, że nie mogę przyjechać, bo mam w danym dniu bardzo ważne spotkanie. Kuroń, nie wiedząc, o co chodzi, zapytał, komu ma tę wiadomość przekazać. Odpowiedziałem: „Halo!..., halo!” tak jakby psuło się połączenie, po czym odłożyłem słuchawkę. I rzeczywiście. Na drugi dzień od rana była liczna obserwacja. Po pracy wróciłem do domu z parogodzinnym opóźnieniem, bo włączyłem się po kawiarniach, ciągnąc za sobą „ogon”.

Po przeprowadzce Duszpasterstwa na ul. Obotrycką latem 1979 chodziłem tam na świetne spotkania o charakterze religijno-moralnym. Była to dla mnie doskonała pożywka duchowa, pozwalająca zredukować stres powodowany życiem w ciągłym zagrożeniu. Na tych spotkaniach zgodnie z umową nie afiszowałem swych opozycyjnych afiliacji, ale część osób i tak o tym wiedziała, tak że niejako na boku wywiązywały się czasem społeczno-polityczne dyskusje z ludźmi o wysokim poziomie intelektualnym, jak np.

56 Aleksander Hall (ur. 1953), polityk i historyk, działacz opozycji, absolwent Uniwersytetu Gdańskiego (1971), w roku 1979 założyciel i lider Ruchu Młodej Polski, w III RP minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

57 Jacek Kuroń (1934–2004), działacz opozycji od lat 60. Współzałożyciel KOR w roku 1976, w III RP minister Pracy i Polityki Socjalnej w rządach Tadeusza Mazowieckiego i Hanny Suchockiej.

z **Grażyną Pytlak** – późniejszą redaktor naczelną „Solidarności Gorzowskiej”. Bardzo cenilem Grażynę i pamiętam nasze długotrwałe dysputy, najczęściej na chodniku przy Obotryckiej, już po zakończeniu spotkania, gdy wszyscy się rozeszli. Bliżej lata 1980, kiedy narastały w kraju nastroje niezadowolenia, ks. Witold już złagodził wcześniejsze restrykcje. Do tego stopnia, że mogłem otwarcie przynieść na spotkanie książki, co prawda o treściach bardziej historycznych i literackich niż politycznych, ale wydane w NOW-iej i innych oficynach opozycyjnych.

Wymiana bibuły funkcjonowała dobrze. Z każdorazowego transportu warszawskiego, a potem i szczecińskiego zawsze trochę szło dla ks. Witolda. Głównie był to KORowski „Biuletyn Informacyjny” (wbrew tytułowi to było dość pokaźne czasopismo, ponad 30 stron powielaczowych) oraz książki Niezależnej Oficyny Wydawniczej, czasem też periodyk na dobrym poziomie „Spotkania” wydawany bez cenzury przez młodych ludzi z KUL-u, a także nieco „Robotnika”. W drugą stronę, dla mojego środowiska szedł głównie „Bratniak” – pismo Ruchu Młodej Polski, który miał sympatyków w Duszpasterstwie oraz pismo ROPCiO „Opinia”.

Dla obrazu całości muszę jeszcze dodać, że w tym środowisku znajdowały się też osoby, które urabiały opinię przeciwko mnie, podsycając atmosferę niechęci czy nieufności. Daruję tu sobie operowanie nazwiskami. Wiedziałem wówczas, o co chodzi, bo we Wrocławiu spotykaliśmy się ze skłócaniem ze sobą ludzi niewygodnych dla reżimu, a były to działania sterowane zakulisowo przez SB.

Między Szczecinem a Poznaniem

O piątej rano obudził nas nieznanym człowiekiem w średnim wieku, który przytaszczył wprost do naszego domu kilkaset sztuk różnych wydawnictw, głównie „Robotnika”. Przywiózł też oświadczenia o powstaniu Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego⁵⁸. Takie grupy inicjujące czy raczej propagujące idee wolnych (tzn. niezależnych od władz politycznych) związków zawodowych powstały już wcześniej na Górnym Śląsku (pod przewodnictwem **Kazimierza Świtonia**) oraz w Trójmieście (z udziałem m.in. **Andrzeja Gwiazdy**⁵⁹ i **Anny Walentynowicz**⁶⁰). Gość przedstawił się jako **Zdzisław Podolski**⁶¹ z Gryfina pod Szczecinem i powiedział, że dostał mój adres w Warszawie. Początkowo pachniało mi to prowokacją, ale po sprawdzeniu okazało się, że faktycznie działa on w opozycji szczecińskiej. Ten wczesny poranek stał się początkiem ciekawej współpracy z robotniczym środowiskiem ościennego woje-

58 WZZ Pomorza Zachodniego powstały 11 X 1979.

59 Andrzej Gwiazda (ur. 1935), magister inżynier elektronik, w roku 1978 współzałożyciel Wolnych Związków Zawodowych na wybrzeżu, uczestnik Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980, następnie wiceprzewodniczący NSZZ „Solidarność”, internowany 13 grudnia 1981, następnie aresztowany, na wolność wyszedł w roku 1984, obecnie członek Kolegium IPN (ww.wikipedia.pl).

60 Anna Walentynowicz (ur. 1929), w latach 70. suwnicowa w Stoczni Gdańskiej, działaczka Wolnych Związków Zawodowych. Jej zwolnienie z pracy stało się bezpośrednią przyczyną wybuchu strajku w Stoczni w sierpniu 1980 roku. W stanie wojennym internowana.

61 Zdzisław Podolski (ur. 1938 r.), współzałożyciel Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego, do października 1979 r. był monterem turbinowym w Elektrowni „Dolna Odra” w Nowym Czarnowie k. Gryfina. Zwolniony za kolportaż „bibuły” (informacje od p. Marty Marcinkiewicz z Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Szczecinie).



Spotkanie redakcyjne „Robotnika Szczecińskiego” w gryfińskim mieszkaniu Mirosława Witkowskiego. Siedzą od lewej: Zdzisław Podolski, Mirosław Witkowski, Tadeusz Kocielowicz, Stefan Kozłowski i Jolanta Nowak (zdjęcie ze zbiorów M. Witkowskiego)

wództwa szczecińskiego i z samym Zdzisławem Podolskim, który dalej będzie nazywany Zdzichem, bo tak zawsze o nim mówiło się w naszym domu.

Wkrótce po wizycie Zdzicha wybrałem się do Szczecina, aby nawiązać bliższe stosunki z tym środowiskiem. Członek WZZ **Stefan Kozłowski**⁶² przedstawił mi ich plany i działalność. W porównaniu z Gorzowem, a nawet Wrocławiem, wśród robotników szczecińskich już wtedy (1979) panowały antykomunistyczne nastroje, być może odgrywała rolę pamięć o tragicznych wydarzeniach 1970 roku. Ich Komitet Założycielski WZZ w krótkim czasie zdobył sympatyków w porcie i dwóch stoczniach, ale najaktywniejsze środowisko skupiało się wokół Elektrowni „Dolna Odra” w Gryfnie, gdzie liderami byli bracia **Jan**⁶³ i **Mirosław**⁶⁴ **Witkowsy** – nie pamiętam czy obaj czy tylko jeden z nich

62 Stefan Konstanty Kozłowski (ur. 1955), pracownik Fabryki Mechanizmów Samochodowych „Polmo”, szczeciński działacz opozycyjny, współpracownik KSS „KOR”, współzałożyciel Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego, internowany, redagował m. in. „Robotnika”, „Robotnika Szczecińskiego”, „Jedność”, w maju 1983 r. założył miesięcznik „Obraz”, latem tegoż roku wyemigrował do Berlina Zachodniego (informacje uzyskane od p. Marty Marcinkiewicz z Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Szczecinie).

63 Jan Witkowski (ur. 1952 Gryfino), absolwent Zasadniczej Szkoły Górniczej w Zabrze (1970) i wieczorowego Technikum Mechaniczno-Energetycznego w Szczecinie (1985), 1975–1984 zatrudniony w Zespole Elektrowni „Dolna Odra” w Nowym Czarnowie; od 1977 (razem z bratem, Mirosławem) współpracownik KSS „KOR”; 1978–1980 redaktor niezależnego pisma „Robotnik” i 1979–1980 pisma „Robotnik Szczeciński”, 1979 – wrzesień 1980 członek Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodnie, od 1980 działacz „Solidarności”, internowany 13 XII 1981 – XI 1982, działacz opozycji, kolporter wydawnictw podziemnych; 1988–1992 własna działalność gospodarcza, 1993–1995 pracownik szczecińskiego Radia ABC, od 1995 Elektrowni „Pomorzany” w Zespole Elektrowni „Dolna Odra” SA (http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=Jan_Witkowski).

64 Mirosław Witkowski (ur. 1955 Gryfino), absolwent Wydziału Filozofii Uniwersytetu Szczecińskiego (2000), 1974–1980 zatrudniony w Zakładach Suchej Destylacji DREWNA w Szczecinie, 1980–1981 w Teatrze „Pleciuga”, od 1977 (razem z bratem Janem) współpracownik KSS „KOR”; 1978–1980 współpracownik niezależnych pism „Robotnik” oraz „Biuletyn Informacyjny KSS „KOR”, redaktor pisma „Robotnik Szczeciński”, 1979 – wrzesień 1980 członek Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodnie, póź-

zostali wyrzuceni z pracy w elektrowni już wcześniej, co było represją za współpracę z piśmem „Robotnik”. Podolski początkowo był cichym współpracownikiem Witkowskich, ale jak zaczął być nękanym rewizjami i zatrzymaniami, to także zaczął działać otwarcie. W Gryfnie oprócz tej trójki poznałem też **Jolanę Nowak**⁶⁵ oraz parę innych ludzi, których już teraz nie pamiętam.

Bracia Witkowsy proponowali mi redagowanie ich biuletynu. Odległość od Szczecina i brak orientacji w specyfice tamtego regionu czyniły taki pomysł niezbyt trafny. Szczecinianie liczyli też, że zostaną jawnym członkiem ich komitetu WZZ oraz przedstawicielem na Gorzów, tak że ich biuletyn byłby kolportowany w województwie gorzowskim z moim adresem. Parokrotnie ponawiali to zaproszenie. Być może wtedy zabrakło mi odwagi, ale uznałem, że propozycja jest przedwczesna, gdyż w porównaniu z nimi ja miałem w Gorzowie garstkę współpracowników. Drugim powodem było to, że Gorzów zawsze był jakby zawieszony między Poznaniem a Szczecinem, gdy chodzi o ciężenie do większego miasta. Moi rodzice pochodzili z Kresów, podobnie jak spora część tamtejszej społeczności, ale chyba największa grupa mieszkańców to byli ludzie z Wielkopolski. Zresztą sama nazwa miasta „Gorzów Wielkopolski” (moim zdaniem dość niefortunny pomysł pierwszej administracji powojennej, gdyż takie przymiotnikowe dodatki mają najczęściej pomóc w lokalizacji małego miasta na mapie kraju) urabiała w ludziach takie a nie inne poczucie przynależności regionalnej. Nawet wylansowany nieco później region „Ziemia Lubuska” (gdy utworzono województwo zielonogórskie), w ogólnym odczuciu mieszkańców był jednak tylko czymś w rodzaju dodatku do Wielkopolski. Nie wnioskuję, czy takie „poczucie regionalności” było zgodne z historią. Tak czy inaczej gorzowianie absolutnie nie utożsamiali się z Pomorzem Zachodnim (oprócz północnych obrzeży ówczesnego województwa), choć mieli respekt dla Szczecina nieporównanie większy niż dla Zielonej Góry. Należało się liczyć z tym, że Wolne Związki Zawodowe Pomorza Zachodniego nie będą odbierane przez ludzi pracy Gorzowa jako coś swojskiego. Razem z grupką moich pierwszych współpracowników dokonaliśmy takiej właśnie analizy i wszyscy z jej wnioskami zgodzili się. Jednocześnie już wówczas była idea powołania Klubu Samoobrony Społecznej Ziemi Wielkopolskiej (Poznań plus parę województw ościennych) na wzór podobnej federacji dolnośląskiej z ośrodkiem we Wrocławiu. Do współdziałania w tej organizacji byłem zaproszony m. in. przez wspomnianych już „gorzowskich poznaniaków” rodem z duszpasterstwa ks. Witolda. Nie chciałem się więc rozdwajać. Moi szczecińscy przyjaciele byli tym niepokieszeni.

Ostateczne uformowanie takiego regionalnego, wielkopolskiego ośrodka opozycyjnego nie mogło dojść do skutku co najmniej przez rok. Wreszcie wiosną 1979 roku zostało zorganizowane zebranie w Poznaniu u tamtejszego działacza ROPCio **Restytuta Staniewicza**⁶⁶, gdzie udałem się na zaproszenie przekazane mi osobiście przez jednego

niej działacz „Solidarności”, 13 grudnia 1981 internowany, zwolniony 23 grudnia 1982, 1982–1989 współpracownik podziemia, kolporter wydawnictw podziemnych, od 1984 działacz Ruchu Wolność i Pokój, 1990–1994 redaktor tygodnika „Jedność”, 1993–1994 pracownik Zarządu Regionu NSZZ „S”, organizator związkowego Radia ABC, od 1995 pracownik Zamku Książąt Pomorskich (Encyklopedia Solidarności, http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=Miros%C5%82aw_Witkowski).

65 Jolanta Nowak, w latach 70. współtworzyła środowisko Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego, obecnie wiadomo, iż była także tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie „Albin”, nr rejestr. 16597, zarejestrowana przez Wydział III KW MO w Szczecinie w latach 70., w 1983 r. przejęta przez Wydział V (informacje od p. Marty Marcinkiewicz z Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Szczecinie).

66 Restytut Witold Staniewicz (ur. 1929), prawnik, pracownik Przedsiębiorstwa Robót Drogowych, uczestnik

z założycieli poznańskiego SKS-u, który w tym celu przyjechał do Gorzowa (już nie pamiętam, kto to był). To zebranie zostało rozbite przez „bezpiekę”; ja przyszedłem jako ostatni, kiedy już innych zdążono wyprowadzić, a w mieszkaniu trwała rewizja, oprócz esbeków był tam tylko gospodarz oraz wybrany przez niego świadek przeszukania **Stanisław Barańczak**⁶⁷ – poeta i członek KOR-u. Zawieziono mnie na komendę, która mieściła się w znanym z wydarzeń czerwca 1956 r. byłym gmachu UB na ul. Kochanowskiego, tak że miałem „przyjemność” tam przebywać przez kilka godzin. Na Kochanowskiego przetrzymywano już kilkunastu działaczy z paru województw, którzy mieli być sygnatariuszami deklaracji założycielskiej, w tym kilka osób z różnych poznańskich ugrupowań opozycyjnych. Spotkałem tam m. in. byłego aktora niezależnego Teatru Ósmego Dnia i członka KOR-u **Jerzego Nowackiego**⁶⁸ (który według oficjalnych materiałów IPN został informatorem SB, ale osobiście nie wydaje mi się, aby taką rolę odgrywał już wtedy przed Sierpniem, ale to temat na odrębne dywagacje), współzałożyciela tamtejszego SKS-u **Jacka Kubiaka**⁶⁹ (z którym współpracowałem jeszcze w swoim wrocławskim okresie) i działacza ROPCiO z Kalisza **Antoniego Pietkiewicza**⁷⁰.

Federacja miała nosić nazwę Klub Samoobrony Społecznej Ziemi Wielkopolsko-Kujawskiej, ale nie pamiętam, czy był ktoś z Kujaw czy też nazwa była skrojona trochę na wyrost. Miał też być ktoś z woj. zielonogórskiego, lecz nie wiem, czy się zjawił. Paru działaczy poznańskich zatrzymano wtedy na 48 godzin (to była wtedy częsta represja „bezpieki” w stosunku do znanych działaczy, bo powyżej 48 godzin potrzebna była tzw. sankcja prokuratorska, czyli areszt śledczy, a gierkowskie kierownictwo PRL unikało

Powstania Poznańskiego (1956), działacz poznańskiego KIK, pracownik Instytutu Zachodniego w Poznaniu, zwolniony z przyczyn politycznych (1959–1970), od 1972 pracownik Biblioteki PAN w Kórniku, zwolniony z przyczyn politycznych, członek założyciel ROPCiO, współtwórca KSS Wielkopolski i Kujaw, działacz NSZZ „Solidarność” (1980–1981) (*Opozycja demokratyczna w Polsce w świetle akt KC PZPR (1976–1980). Wybór dokumentów*, wybór wstęp i opracowanie Ł. K a m i ń s k i, P. P i o t r o w s k i, Wrocław 2002, s. 323).

67 Stanisław Barańczak (ur. 1946) wybitny polski poeta, krytyk literacki, tłumacz poezji.

68 Jerzy Nowacki (ur. 1952), w końcu lat 70. poznański współpracownik KOR, później rzecznik wielkopolskiego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”, internowany w stanie wojennym, następnie na emigracji, w latach 1990–2005 popularny dziennikarz w TVP Poznań. W październiku 2005 roku Janusz Pałubicki oświadczył, iż z materiałów, które otrzymał z Instytutu Pamięci Narodowej wynika, że Jerzy Nowacki był tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie „Stanisław Brzozowski” (<http://serwis.gazeta.pl/kraj/1,75687,3626030.html>).

69 Jacek Kubiak (ur. 1957), historyk literatury, sygnatariusz listów protestacyjnych, członek-założyciel poznańskiego SKS (1977), współzałożyciel Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Poznaniu, działacz NZS, internowany w stanie wojennym, członek Komitetu Obywatelskiego (1989), pracownik UAM w Poznaniu (1981–1989), dyrektor poznańskiego ośrodka TVP (1990–1991), później pracownik Inst. Kultury Polskiej w Belgii (1993–1995), producent telewizyjny (*Opozycja demokratyczna w Polsce*, dz. cyt., s. 228).

70 Antoni Pietkiewicz (ur. 1948 Kalisz), absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Łódzkiej (1978), w drugiej połowie lat 70. współpracownik ROPCiO oraz KOR, 1979–1980 współwydawca niezależnego pisma „Wolne Słowo”; od 1979 pracownik kaliskiego Kombinatów Budowlanego, w sierpniu i wrześniu 1980 uczestnik strajków w kaliskich zakładach pracy; w „Solidarności” od września 1980, przewodniczący MKZ Kalisz, organizator struktur „S” w województwie kaliskim, w maju 1981 przewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Porozumiewawczego w Kaliszu, delegat na WZD województwa kaliskiego, wiceprzewodniczący ZR Wielkopolska Południowa, delegat na I Krajowy Zjazd Delegatów w Gdańsku, sekretarz Prezydium Zjazdu, członek Komisji Krajowej, w listopadzie 1981 p.o. przewodniczącego ZR Wielkopolska Południowa, w grudniu 1981 po uwolnieniu działacz podziemia, w 1990 wojewoda kaliski. 1991–1992 zastępca szefa Kancelarii Premiera Tadeusza Mazowieckiego, 1992–1995 wiceprezes NIK, 1999–2001 wojewoda mazowiecki. (Encyklopedia Solidarności, http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=Antoni_Pietkiewicz/).



Styczeń 1978 w mieszkaniu Barańczaków w Poznaniu, stoją od lewej: Stanisław Barańczak, Jerzy Nowacki, Jacek Kubiak (ze zbiorów Bogusława Gruszczyńskiego)

wtedy procesów politycznych i urzędy prokuratorskie miały wytyczne, by tych sankcji nie wystawiać). Pozostałych zwolniono po paru godzinach czekania i przesłuchania czy raczej przemówienia. Do mnie coś w rodzaju prelekcji umoralniającej wygłaszał starszy wiekiem esbek w stopniu majora (przedstawiał się nazwiskiem, ale go nie zapamiętałem), tłumacząc m. in., że my (tzn. opozycja) nie doceniamy zasług władz PRL, a także ich dobrej woli, bo w Związku Radzieckim za to samo dostalibyśmy długoletnie wyroki więzienia lub obozu pracy. Przerzywał swoją prelekcję patrząc na mnie, jakby czekał, co ja na to odpowiem. Nie miałem mu nic do powiedzenia. Wreszcie oświadczył, że „w Poznaniu jest porządek i kultura” i dlatego wszyscy przyjezdni zostaną odwiezieni do swoich pociągów. Odpowiedziałem, że poradzę sobie sam, gdyż znam drogę na dworzec, ale oświadczył, że to wykluczone. Na zakończenie pogroził, że jeśli ktoś z nas znowu przyjechałby do Poznania, to wtedy będą „prawdziwe represje”. Trzech tajniaków odwiozło mnie na dworzec, po czym jeden z nich ustawił się w kolejce do kasy. Powiedziałem, że bilet to ja sobie kupię. Usłyszałem, że mają polecenie zafundować mi bilet. Odprowadzono mnie na peron i jeden z nich na odchodne powiedział: „Mam nadzieję, że więcej pana tu nie zobaczymy”. Takimi oto metodami próbowano wyperswadować kontakty z Poznaniem działaczom z mniejszych województw ościennych. Później dowiedziałem się, że komuś nawet zaproponowano, że jeśli jest głodny, to mu mogą zafundować obiad w dworcowej restauracji⁷¹.

W owym okresie poznańska Służba Bezpieczeństwa, w odróżnieniu od innych miast – chociażby od Wrocławia, nie mówiąc o Katowicach czy Krakowie – była w kręgach opozycji znana z takiej swoistej kurtuazji. Były różne domysły, dlaczego. Jedna z opinii mówiła, że może tu mieć miejsce wypróbowywanie jakichś metod opracowanych przez

71 Opisane powyżej spotkanie miało miejsce 26 maja 1979 roku. Poznańska „bezpieka” zatrzymała na nim także trzech studentów z Gorzowa: Piotra Miereckiego, Krzysztofa Nowaka i Marka Jurka (*Dokumenty KOR i KSS „KOR”, wstęp i dz. cyt., s. 405*).

psychologów MSW. Ta uprzejmość nie przeszkodziła esbecji po paru tygodniach nie dopuścić do kolejnego zebrania założycielskiego KSS w Poznaniu, tym razem na wszelki wypadek zaaranżowanego w mniejszym gronie. Nie mogłem być obecny, toteż tylko wiem ogólnie, że zatrzymano uczestników już w drodze na spotkanie i osadzono ich w areszcie od kilku do 48 godzin.

Wreszcie po kolejnych kilku miesiącach udało się założyć KSS bez zjeżdżania się do Poznania jego sygnatariuszy. Poznaniacy wyjechali pojedynczo do kilku miast i uzgodnili w ten sposób tekst deklaracji oraz przedyskutowali metody współpracy i kontaktów. O założeniu KSS Ziemi Wielkopolsko-Kujawskiej poinformowało Radio „Wolna Europa”.

W planach było m.in. założenie regionalnego biuletynu informacyjnego o objętości kilku stron oraz większego czasopisma publicystycznego bez cenzury. Oba pisma miały być redagowane w Poznaniu, ale biuletyn miał mieć korespondentów (jawnych i niejawnych) w innych miastach. Taka działalność wydawnicza niewątpliwie znacznie zaktywizowałyby mniejsze miasta – tak jak Wrocławowi udało się „rozkrećć” Wałbrzych, Legnicę i Lubin – gdyż byłyby w nich różne lokalne informacje niewygodne dla władz oraz artykuły oceniające decyzje i niepraworządne postępowanie miejscowych aparatczyków. Poznań w tym celu miał już przygotowaną poligrafię.

Mankamentem był brak w Poznaniu opozycji robotniczej mimo historii roku 1956. Również sygnatariusze z województw ościennych to była tylko inteligencja. Zapewne dałoby się to z czasem nadrobić, przynajmniej w Gorzowie. Nie wiem jak w samym Poznaniu, gdyż po latach wyszło na jaw, że kolportaż „Robotnika” do Zakładów „Cegielskiego” szedł przez ręce współpracowników SB (powinno się raczej powiedzieć: „przepadał w rękach współpracowników SB”). Ten wielkopolski (czy ściślej wielkopolsko-kujawski) ośrodek nie zdążył rozwinąć konkretnej działalności, gdyż wnet przyszedł Sierpień i wszyscy byli zajęci bieżącymi wydarzeniami w kraju, a następnie powstanie „Solidarności” uczyniło zbędnym funkcjonowanie takiego opozycyjnego klubu, podobnie jak wielu innych niezależnych inicjatyw.

Wróćmy teraz do Szczecina (a konkretniej – oddalonego od niego o 20 km Gryfina), z którym współpraca rozwijała się bardzo szybko. Jak już wspominałem, obserwacja esbecka, jeśli w dany dzień miała miejsce, to zaczynała się o 6 rano lub później. Dlatego **Zdzisław Podolski** pełniący rolę m. in. szczecińskiego łącznika z Gorzowem wpadał do naszego domu nad ranem. Był nawet okres paru tygodni, że co tydzień przyjeżdżał pociągiem przychodzącym z Kostrzyna około godz. 3.30. Przywoził „Robotnika” i inne wydawnictwa warszawskie oraz własne materiały Wolnych Związków Zawodowych i czasem od WZZ Trójmiasta. Miałem zawsze zorganizowane co najmniej dwie „skrytki”, a czasem więcej, ale trudno, aby Zdzichu niepokoił tych ludzi o godzinie czwartej nad ranem. Były po temu różne powody. Na przykład starsza pani zgadzała się, by nawet dość dużą torbę z bibułą trzymać u niej na strychu, ale nie byłem pewny jej reakcji, gdybyśmy ją nachodzili o takiej porze. W innym przypadku ktoś godził się przechować każdą ilość bibuły, ale bez wiedzy swej żony, którą musielibyśmy niechybnie budzić nad ranem. Co prawda o każdej porze dnia i nocy Zdzichu mógł wejść do swego brata ciotecznego **Czesława Sąsiadka**⁷² przy ul. (ówczesnej) Wyzwoleńców, przemianowanej potem na Manifestu Lipcowego, a obecnie Piłsudskiego. Czesiu był spawaczem w „Stilonie” i zanim się poznaliśmy, to już kolportował tam trochę bibuły od Zdzicha. Ze względu na to Zdzichu nie powinien był zachodzić do brata ciotecznego z dużymi torbami czy pakunkami.

72 Czesław Sąsiadek (1934–2007), spawacz w Stilonie od 1960 roku do emerytury.

Czesiu i wspomniany wcześniej **Irek Aszenberg** kolportowali „Robotnika” i trochę innych rzeczy w „Stilonie” niezależnie od siebie, na różnych wydziałach i nie znając się nawzajem. Ten układ postanowiliśmy ze Zdzichem kontynuować do czasu, aż uda się w tym wielkim przedsięwzięciu zorganizować jakąś grupę. A na razie te dwa ciche kontakty były na tyle cenne, że przy wpadce jednego uratowany byłby ten drugi. Tym bardziej, że o wiele więcej bibuły szło do ponad trzykrotnie mniejszego „Ursusa”, gdzie grupa kilkorga znających się ludzi działała już półjawnie, a z ich liderem **Zygmunt** **Jędrzakiem** otwarcie przyjaźniliśmy się.

Przy okazji – sytuacja ze „Stilonem” była w tamtym momencie lepsza niż z trzecim co do wielkości zakładem przemysłowym miasta – Zakładami Przemysłu Jedwabniczego „Silwana”, stanowiącymi długo białą plamę na naszej mapie, podobnie jak Zakłady Przemysłu Okrętowego w Barlinku i Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Komes” w Słubicach. Do tych zakładów wreszcie trafiło się dojście na kilka tygodni przed Sierpniem. Natomiast do samego końca, tzn. aż do powstania „Solidarności” nie udało się znaleźć dojścia do kostrzyńskiej „Celulozy”, czyli do zakładów papierniczych, pomimo moich wysiłków podejmowanych na terenie, na którym się urodziłem, tj. Słońsk i okolica, skąd dojeżdżało do Kostrzyna wielu tzw. chłoporobotników. Pomagał mi w tym proboszcz w Słońsku ks. **Jan Głazewski**. Po powstaniu „Solidarności” okazało się, że niepotrzebnie traciłem czas, bo Szczecin (WZZ) miał kontakty zarówno z „Celulozą” jak i Barlinkiem.

Kontakty gorzowsko-szczecińskie najczęściej sprowadzały się do WZZ, ale nie ograniczały się do tego środowiska. Poznałem działaczkę ROPCiO ze Szczecina i założycielkę tamtejszego SKS-u **Elżbietę Czumę**⁷³ oraz duszpasterza akademickiego o. **Huberta Czumę**⁷⁴ (brata Andrzeja – jednego z przywódców ROPCiO), ale z każdą z tych osób spotkałem się tylko raz. Natomiast w Szczecinie studiował gorzowianin **Ryszard Nowak**⁷⁵ (nie mylić z pochodzącym również z Gorzowa uczestnikiem Ruchu Młodej Polski **Krzysztofem Nowakiem**), który był członkiem kierownictwa Konfederacji Polski Niepodległej. Spotykałem się z nim niejednokrotnie, gdy przyjeżdżał do Gorzowa. Pierwszy raz przy-

73 Elżbieta Czuma, z domu Sojka (ur. 1954 Poznań), działaczka ROPCiO i instruktorka harcerska w ZHR, absolwentka Wydziału Architektury na Politechnice Szczecińskiej i teologii na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, aktywna w duszpasterstwie akademickim Szczecina i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, organizatorka Studenckiego Komitetu Solidarności w Szczecinie i autorka jego deklaracji, 2 sierpnia 1978 organizatorka spotkania SKS-ów Szczecina, Wrocławia, Krakowa, Gdańska i Poznania, rozbitego przez SB wskutek donosu, wielokrotnie represjonowana i szykanowana na uczelni. Po wyjściu za mąż za Benedykta Czumę i przeniesieniu się do Łodzi aktywnie współdziałała w prowadzeniu Punktu Konsultacyjno-Informacyjnego oraz Klubu Swobodnej Dyskusji ROPCiO w tym mieście (http://pl.wikipedia.org/wiki/El%C5%BCbieta_Czuma).

74 Hubert Czuma, ks. (ur. 1930) – polski działacz wolnościowy, jezuita, był duszpasterzem akademickim w Łodzi, Lublinie, Gdańsku, Bydgoszczy i Szczecinie, usunięty na żądanie władz PRL z dwóch pierwszych i ostatniego miejsca; 1978 przeniesiony na żądanie władz PRL do Radomia; 1970–1971 więziony pod zarzutem przynależności do Ruchu; 1971–1981 był współorganizatorem pielgrzymek sierpniowych z Warszawy do Częstochowy i od 1957 obozów młodzieżowych. W latach 80. w kościele św. Trójcy w Radomiu organizował msze św. za Ojczyznę. Ks. Hubert organizował też przyjazdy aktorów z Warszawy z patriotycznymi inscenizacjami, a pomieszczenia kościelne służyły za miejsca spotkań podziemnej „S” (http://pl.wikipedia.org/wiki/Hubert_Czuma).

75 Ryszard Nowak (ur. 1952), w roku 1979 student Wydziału Budownictwa i Architektury Politechniki Szczecińskiej, członek-założyciel poznańskiego SKS (1978), rzecznik ROPCiO, członek założyciel KPN, kilkakrotnie zatrzymywany (Opozycja demokratyczna w Polsce, dz. cyt., s. 262). Obecnie wiadomo, iż był także tajnym współpracownikiem SB o pseudonimach „Anka”, „Grey”, i „Krzysztof”, pozyskany do współpracy przez Wydział III KW MO w Szczecinie 10 III 1978 r. (IPN BU 01824/102) (informacje od p. Marty Marcinkiewicz z Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Szczecinie).

szedł do mnie z **Markiem Jurkiem**, a potem ja odwiedzałem go w domu jego rodziców przy ul. Grottgera. Od niego miewałem wydawnictwa KPN, chociaż dość nieregularnie. Najczęściej była to „Gazeta Polska” redagowana przez **Leszka Moczulskiego**⁷⁶ oraz różne broszury. Najwięcej brał do kolportażu **Zygmunt Jędrzszak**, któremu wtedy podobała się radykalna retoryka KPN.

Ja natomiast nie byłem do tej organizacji przekonany. Odnosiłem wrażenie, że za ostrą retoryką niepodległościową nie idzie żadne konkretne działanie. Dlatego, kiedy na wiosnę 1980 r. gościł w moim domu wiceszef KPN **Romuald Szeremietiew**⁷⁷ z Leszna (który przybył także w towarzystwie **Marka Jurka**), nabrałem dużego szacunku dla jego wybitnej osobowości, a nawet można powiedzieć, że zaprzyjaźniliśmy się, ale nie przyjąłem jego propozycji zostania przedstawicielem Konfederacji na Gorzów. Gdy zaś chodzi o KPN, to jeszcze warto wspomnieć, że chyba ze dwa razy uczestniczyłem w interesujących prelekcjach w miejscowym oddziale PAX-u organizowanych przez młodych członków tejże organizacji i tam poznałem paru ludzi, m. in. **Wojciecha Szczepanowskiego**⁷⁸. Wówczas jednak nie miałem pojęcia, że są oni sympatykami KPN, i ich także (lub raczej przede wszystkim) odwiedzali zarówno **Romuald Szeremietiew** jak i **Ryszard Nowak**. O tym, że **Wojtek Szczepanowski** był członkiem KPN dowiedziałem się od niego dopiero w MKZ-cie po powstaniu „Solidarności”. Zaprzyjaźniłem się z nim bliżej w czasie internowania, a po wyjściu utrzymywaliśmy dość zażyły kontakt mimo pewnych różnic poglądów. W stanie wojennym połączyła nas wspólna podziemna walka z reżimem.

Ponieważ **Zdzisław Podolski** nie miał gdzie zostawić bibuły tak wcześnie rano, to przez pewien czas za każdym razem przynosił ją wprost do mnie. Było to ryzykowne, ale jakoś szczęśliwie obywało się bez wpadki. Jednak było kłopotliwe z tego powodu, że musiałem w dzień powynosić dostawę partiami z domu w kilka miejsc i odbyć przez to kilka kursów z torbą przewieszoną przez ramię – dla niepoznaki tą samą, którą używałem na co dzień do pracy. W moim przypadku jednorazowe wyjście z domu z dużą torbą podrózną lub walizką wiązało się z wysoce prawdopodobnym zatrzymaniem przez SB. Urządziłem więc prymitywną skrytkę na podwórzu, gdzie ryzyko wpadki w czasie rewizji wydawało mi się mniejsze niż wewnątrz domu. Ten schowek miał być tymczasowy, a w rzeczywistości funkcjonował z przerwami aż do mojego wyjazdu z Polski jesienią 1985. Opiszę teraz, jak to wyglądało i ile trzeba było się napracować, żeby wydobyć część bibuły, a resztę z powrotem zamaskować.

Ulica Żelazna razem z sąsiednią ulicą Małą to była jakby podmiejska enklawa niedaleko centrum miasta (ten rejon nadal zachował taki charakter). Za naszym domem było małe podwórko z wymurowanym przez mojego ojca chlewkiem, nazywanym przez naszą rodzinę „stajenką”, ponieważ w latach mojego dzieciństwa rodzice trzymali tam krowę, która wypasała się na pobliskim niezabudowanym terenie, obrosniętym obficie trawą i wielkimi chwastami. Po moim powrocie do Gorzowa ta stajenka służyła już tylko w charakterze kurnika i składu drewna na opał. Rozebrałem przylegającą do tego bu-

76 Leszek Moczulski, (ur. 1930 w Warszawie) – polski polityk, historyk, współzałożyciel Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, założyciel i przywódca ZINO oraz Konfederacji Polski Niepodległej, poseł na Sejm I i II kadencji.

77 Romuald Szeremietiew (ur. 1945 Olmonty) – polityk, doktor habilitowany nauk wojskowych, poseł na Sejm III kadencji, były wiceminister obrony narodowej.

78 Wojciech Szczepanowski (ur. 1945), działacz PAX, uczestnik „Stolika nr 1” w gorzowskim KMPIK, internowany w okresie grudzień 1981 – luty 1982, następnie w latach 80. redaktor drugoobiegowego „Feniksa”, sygnatariusz „listu 35” (1986), współzałożyciel Rady Regionu NSZZ „S”, działacz Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”.

dyneczku niepotrzebną już niewielką drewnianą stodołę czy raczej rodzaj wiaty, gdzie kiedyś dla tej krowy znajdowało się siano na zimę. Było z tej rozbiórki 85 desek, ciężkich i zmurszałych lub pokrytych pleśnią. Ktoś może się zdziwić, jak to możliwe, że po tylu latach pamiętam, że było ich akurat 85. Otóż musiałem je często przekładać wewnątrz stajenki, czasem parę razy w ciągu tego samego dnia, aby się dostać do bibuły przywalonej taką stertą. Nie muszę chyba dodawać, że ta robota była nie tylko ciężka, ale i brudna ze względu na kury lubiące przesiadywać na tej kupie desek. Gdy mi się czasem tego odechciewało, to tłumaczyłem sobie, że te ciężkie dechy, zawilgocone i utyłane w kurzym oborniku przerzucam już dwudziesty czy któryś tam raz z myślą o wolnej Polsce. Wycwiczyłem się też w odwalaniu i potem układaniu 85 desek (czyli razem 170 przerzutów) prawie po ciemku, tzn. tylko przy świetle z okna domu docierającym do stajenki przez małe okienko. Światła wewnątrz stajenki w takich sytuacjach nie zapalałem, aby nie wzbudzać podejrzeń, że coś tam robię. Teraz już będzie bardziej zrozumiałe, dlaczego deski liczyłem. Trzeba je było prawie po ciemku ułożyć z powrotem w pewnym porządku, bo inaczej albo się nie zmieściły, albo część sterty zawalała się, boleśnie przygniatając mi stopy. Nikt o tym nie wiedział prócz mojej matki i żony. Dopiero przed samym wyjazdem z kraju podzieliłem się tą tajemnicą z paroma członkami rodziny i najbliższymi przyjaciółmi. Natomiast niewielką ilość aktualnych wydawnictw zawsze trzymałem w domu jawnie, gdyby nagle ktoś potrzebował lub do pokazania gościom. Oficjalna wersja była zawsze, że „w tej chwili mam tylko tyle”.

W stanie wojennym i później trzymałem pod deskami już tylko pojedyncze materiały sprzed 13 grudnia 1981 – jako pamiątkę. Ale raz jeden musiałem tam upchać na krótko około 2 tysiące egzemplarzy podziemnych wydawnictw warszawskich, co w tym szczególnym okresie dawało poczucie siedzenia na beczce prochu.

Współpraca ze **Zdzisławem Podolskim** była dla naszej gorzowskiej grupki błogosławieństwem, bo nie trzeba już było tak często jeździć do Warszawy, prawie każdy numer „Robotnika” od tej pory docierał do nas poprzez Szczecin, choć czasami dwa numery na raz, ale w końcu im też „bezpieka” nie ułatwiała życia, a do Warszawy mieli kawał drogi. W sumie dzięki Szczecinowi parę razy mieliśmy takie sytuacje, że ilość bibuły w naszym posiadaniu znacznie przekraczała gorzowskie możliwości dystrybucji, wliczając w to także możliwości księdza **Witolda Andrzejewskiego**. Pamiętam, że około Bożego Narodzenia 1979 r. Zdzichu nie pojawiał się przez kilka tygodni, to sam wyskoczyłem na dzień do Warszawy i przytargałem sporo różnych wydawnictw, w tym dwa kolejne wydania „Robotnika” po 500 egzemplarzy każde. Przyjechałem o godz. 2 w nocy z Dobiegniewa autostopem. Kiedy to wszystko już przywaliłem dziesiątkami ciężkich oszronionych dech (był spory mróz), była prawie godzina 4. Padający ze zmęczenia po już prawie drugiej nocy bez snu wchodzę wreszcie do domu. Nie czując dłoni zeszywniałych od szronu na deskach, myślę już tylko o ciepłej kołdrze. Za chwilę dzwonek do drzwi. – *Dobrze, że skończyłem z dechami* – myślę. W Polsce przed Sierpniem „bezpieka” nie wkraczała na rewizje w nocy, zachowując pozory przestrzegania prawa. W takich sytuacjach obstawiali dom i czekali do szóstej rano. Ale nigdy nie było wiadomo, czy tak będzie nadal; skoro przyjechałem z Warszawy, to byłem prawie pewny, że to oni. Otwieram, a to Zdzichu. Przywiózł te same dwa ostatnie wydania „Robotnika” i także po 500 sztuk. Czyli samego tylko „Robotnika” jest nagle 2 tysiące sztuk. Mówię mu o wszystkim i sugeruję, aby wziął część z powrotem, bo tego wszystkiego tutaj nikt nie jest w stanie bezpiecznie rozpuścić. – *Nie wyobrażaj sobie, że ja to będę znowu targał w drugą stronę.* – odpowiedział. – *Rozrzucicie to jakoś.*

Nie miałem już siły jeszcze raz przewalać zamrożonych desek albo z samego rana wytaszczyć to gdzieś w miasto. Powiedziałem sobie, że co będzie to będzie. Zasnąłem jak suszeł na kanapie, a obok na podłodze leżało tysiąc sztuk bibuły. Nic się jednak nie stało. I właściwie to do dzisiaj nie mam pojęcia, czy SB istotnie nie wiedziała o tych eskapadach Zdzicha do Gorzowa, czy też z jakiegoś powodu zwlekano z ingerencją. To, że w samym Szczecinie musiano o mnie wiedzieć sporo, wynikało z pisma, jakie w stanie wojennym lub trochę później otrzymałem właśnie ze szczecińskiej prokuratury. To pismo stwierdzało, że na mocy abolicji umarza się postępowanie przeciwko mnie za „czyny” popełnione do 13 grudnia 1981. Tu następowała długa wyliczanka dowodów mojego „przestępstwa” w postaci numerów załączników, symboli i ile stron obejmowały poszczególne człony dokumentacji. Wynika z tego, że przygotowywano mi sprawę sądową, do czego nie doszło zapewne wskutek powstania „Solidarności”.

Nie wiem też, czy wiedziano o farbie drukarskiej. Chyba nie, bo za to mogli zrobić mi, a także co najmniej jeszcze jednej osobie, zwykłą sprawę kryminalną. Teraz ujawnię, jak to z tym było. Otóż moja mama przeżyła dwie okupacje wojenne w dawnym województwie tarnopolskim, a do tego przez pewien czas ukrywała się przed ukraińskimi nacjonalistami urządzającymi „czystki etniczne” na ludności polskiej, więc jej przyzwyczajenia i pojęcie o jakiegokolwiek opozycji było typowe dla ludzi doświadczonych wojną, czyli ściśle konspiracyjne. Gdy np. w moim pokoju widziała jakiś pojedynczy biuletyn leżący na stoliku, to niejako odruchowo przekładała go, by nie był widoczny i nie pomagało tłumaczenie, że tu chodzi właśnie o to, aby zademonstrować ludziom, że opozycja korzysta z formalnie przysługującego obywatelom PRL prawa do wolności słowa. Czasami nagle zaskakiwała mnie, że np. potrzebuje pięć sztuk jakiegoś wydawnictwa. Była schorowana i wychodziła w zasadzie tylko na ogród, toteż byłem zciekawiony, po co jej nagle 5 takich samych egzemplarzy. Usłyszałem: *Nie musisz za dużo wiedzieć*, toteż na drugi raz już nie zadawałem takich pytań. Przecież i tak widziałem, która z sąsiadek przyszła do niej tego dnia, ale zasady były zasadami. Na ile jednak pozwalały jej te skromne możliwości, na tyle mnie wspierała, już nie mówiąc o modlitwie. Korzystam ze sposobności, aby upamiętnić tu jej osobę, gdyż dołączyła ona do długiego korowodu Matek-Polek, bez których nie byłoby możliwe efektywne dążenie do niepodległości na przestrzeni kilku stuleci. Nie powiem, że esbecy jej się bali, bo to byłoby stwierdzenie absurdalne, ale w jakimś sensie czuli przed nią respekt. A może tylko byli skrępowani tym, że w czasie rewizji modliła się, ale nie wiem, czy to akurat miałoby dla tego typu osobników jakieś znaczenie. Chociaż mieli wyraźnie jakieś kompleksy, bo przy każdej okazji dodawali sobie tytuł „magister”, np. na każdym protokole z przesłuchania był „kpt. mgr taki a taki”. Szef ekipy esbeków w czasie rewizji przedstawiał się moim gościom: *Kapitan magister Remlein*. Moja żona Halina wreszcie zaczęła się z tego śmiać, to odrzekł: *Co pani myśli, my też mamy wyższe wykształcenie*. Odparła mu: *Ale niższe instynkty*, co zapewne było jednym z powodów, że przy różnych okazjach, np. przy próbie werbowania naszych znajomych do współpracy wyrażali się o Halinie: *Ona jest gorsza zaraza od niego*.

Ale wróćmy do mamy. Któregoś wieczora zatrzymano mnie na mieście i przewieziono na Teatralną, gdzie skonfiskowano wydawnictwa, które miałem przy sobie. Po sporządzeniu protokołu i próbie przesłuchania, prowadzono mnie w kierunku wołgi stojącej na podwórzu. Z wcześniejszych rozmów między nimi wynikało, że będą jechać razem ze mną na rewizję do domu. Nie doszliśmy do samochodu, bo ten, co robił wrażenie szefa grupy, zapytał nagle: *Jak się czuje pańska mama?* Odpowiedziałem: *Jak zwykle*. Odburknął coś i wskazał ręką w kierunku ulicy na znak, że mam już sobie iść. Dodał:

Robi się już późno, to nie będziemy jej niepokoić. Ale jak się pan wreszcie nie przestanie w to bawić, to pana odwiedzimy.

Gdy raz wróciłem ze spotkania z braćmi **Witkowskimi** w Gryfinie, to mama, znając już Zdzicha Podolskiego, bo nieraz otwierała mu drzwi nad ranem, zapytała jakby tylko chciała cokolwiek powiedzieć: *Co tam u nich słychać?* Pokazałem ich nowy biuletyn. Stwierdziła: *Takie małe to i blade... Może farby nie mają.* Szybko zapomniałem o tej rozmowie. Nagle po paru tygodniach mama mówi: *Zobacz do spiżarni, tam jest nowa marmolada.* Pachniało i wyglądało jak farba drukarska. Zapytałem, skąd to jest. Usłyszałem jak zwykle, że nie muszę za dużo wiedzieć. Po dłuższym czasie dowiedziałem się, że na prośbę mojej matki farbę przyniosła młoda dziewczyna, która wcześniej w czasie mojego pobytu we Wrocławiu wynajmowała pokój u moich rodziców (wtedy jeszcze mój ojciec żył), a była zatrudniona w Gorzowskiej Drukarni Akcydensowej, mieszczącej się przy sąsiedniej ul. Małej. Ta dziewczyna dwukrotnie wykrała farbę dla Szczecina. Produkt ten zawoził do Gryfina inny wcześniejszy lokator moich rodziców **Andrzej Moroz**, który był kierowcą wielkiej ciężarówki w Przedsiębiorstwie Transportu Mięsnego i przez pewien okres współpracował z opozycją. Gdy miał kurs do Szczecina, to spotykał się w Gryfinie z którymś z braci **Witkowskich** lub z **Jolą Nowak**. Na szczęście nie wiedział o **Zdzichu Podolskim**, bo został namierzony, zabrany z pracy na przesłuchanie i podał swoje kontakty w Gorzowie i Gryfinie⁷⁹. Twierdził, że jednak nie zdradził transportu farby, bo bał się, że za to może być sprawa kryminalna o kradzież i paserstwo.

„Stilon” i polityka przy szachownicy

Jak wspominałem, kontakty ze „Stilonem” były początkowo przez dwóch nie znających się nawzajem cichych współpracowników opozycji – znanego mi ze szkoły podstawowej **Ireneusza Aszenberga** oraz **Czesława Sąsiadka** (brata ciotecznego **Zdzisława Podolskiego** ze szczecińskiego WZZ). Obaj chyba nigdy nie zostali namierzeni, bo nie mieli żadnych perypetii z „bezpieką”. Oprócz tych dwóch „przyczółków” pewne kontakty w „Stilonie” posiadał równolegle ksiądz **Witold Andrzejewski** lub ktoś z jego ludzi. Sporadycznie małe ilości bibuły trafiały do tego zakładu także za pośrednictwem moich sąsiadów i znajomych. Do tego parę osób pracujących w „Stilonie” miało swoje drobne indywidualne dojścia do opozycji w innych miastach, o czym dowiedziałem się dopiero po powstaniu „Solidarności”. M. in. ktoś od czasu do czasu bywał służbowo w toruńskiej „Elanie” i tam nawiązał pewne kontakty. Sumując te wszystkie wysiłki różnych ludzi, wpływy opozycji w tym przemysłowym gigancie były nadal słabe. Oceniam, że na rok przed powstaniem „Solidarności” na 10 tysięcy załogi czytało regularnie bibułę najwyżej kilkadziesiąt osób.

Ten „Stilon” nie dawał mi spokoju i ciągle szukałem nowych dojść. Pomagali mi w tym sąsiedzi i różni nowo poznani sympatycy opozycji (jak np. inwalida wojenny **Marian Jędryś**, o którym będzie później), doprowadzając do spotkania ze znanymi sobie osobami lub członkami ich rodzin pracującymi w „Stilonie”. Latem 1979 r. poświęciłem niejedną wieczór na takie spotkania – łącznie z kilkunastoma ludźmi – pracownikami „Stilonu” o różnym stopniu wykształcenia i różnych funkcjach w tych zakładach. Efekty

79 Pod datą 28 maja 1979 biuletyn KSS „KOR” informował: *Przesłuchiwany w Gorzowie kierowca zatrudniony w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Transportu Miejskiego Andrzej Moroz. Wypytywany o sposób kolportowania do Gorzowa pisma „Robotnik” i nakłaniany do współpracy z SB (Dokumenty KOR i KSS „KOR”, wstęp i dz. cyt., s. 425).*

nie były imponujące. Niektórzy słuchali „Wolnej Europy” i stąd dużo wiedzieli o opozycji, ale bali się wziąć do ręki niezależną gazetkę, a jeżeli już, to pojedynczy egzemplarz dla siebie.

I nagle gdzieś pod koniec lata otworzyły się ciekawe możliwości. A to właściwie zasługa nie moja, ale mojego jawnie już działającego współpracownika – technika z Zakładów Mechanicznych – **Zygmunta Jędrzaka** oraz pracującego z nim w tym przedsiębiorstwie i sympatyzującego z opozycją **Edmunda Dulki**⁸⁰. Dulko grał w szachy w KS „Stilon” i był jednocześnie sekretarzem sekcji szachowej tego klubu. „Stilon” wtedy zaczął nieźle sobie poczynać w pierwszej lidze szachowej, a to głównie dzięki zwerbowaniu do Gorzowa mistrza międzynarodowego **Kazimierza Steczkowskiego**⁸¹, który objął pierwszą szachownicę i został jednocześnie trenerem. Do meczów ligowych potrzebne były w drużynie dwie kobiety – seniorka i juniorka. Juniorkę mieli, a szachownicę seniorki poddawali bez walki, tracąc punkt. **Zygmunt Jędrzak**, będąc moim bliskim współpracownikiem i częstym bywalcem w naszym domu, dostał od mojej żony mata i powiadomił Dulkę, że znalazł dobrą zawodniczkę na wakującą szachownicę. Tu godzi się wyjaśnić, że Halina w przeszłości zdobyła mistrzostwo kobiet województwa bielskiego w szachach (pochodziła z Cieszyna, gdzie cała jej rodzina grała w różnych lokalnych turniejach, więc szachownicę znała niemalże od kołyski). Bardzo szybko przybył do nas **Edmund Dulko** w towarzystwie kierownika sekcji (już nie pamiętam nazwiska tego sympatycznego człowieka) i od razu zaangażowali Halinę do meczów pierwszej ligi. Praca i małe dzieci to było dla niej utrudnienie w wyjazdach ligowych, czasem na drugi koniec Polski, stanęło więc na tym, że zagra ona w co drugim meczu, kiedy „Stilon” będzie pełnił rolę gospodarza. Ja sam zostałem kibicem, ale działacze klubu czasem i mnie prosili o pomoc, gdy ktoś z zawodników „nawalił”. To był wyczynowy poziom, do którego było mi daleko, ale raz udało mi się wygrać partię, ratując „Stilonowi” punkt.

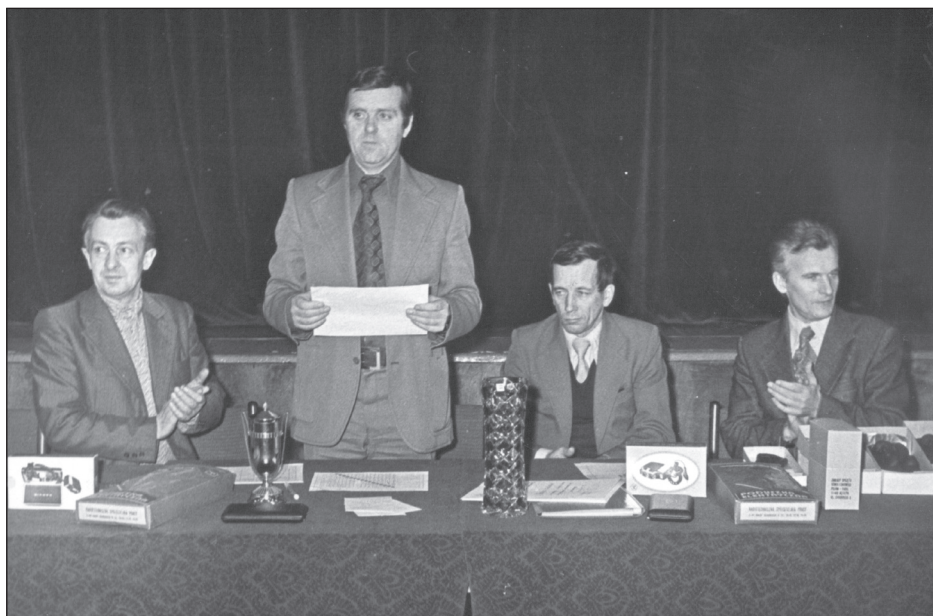
Wśród tych szachistów i ich kibiców byli wspaniali ludzie, przeważnie inteligencja techniczna z różnych gorzowskich instytucji, w tym naturalnie ze „Stilonu”; czasami do szachownicy ligowej zasiadał też **Zygmunt Jędrzak**, grający trochę lepiej ode mnie. Największy autorytet miał tam **Kaziu Steczkowski** – uznany mistrz międzynarodowy, mający za sobą udział w różnych turniejach europejskich i okres zamieszkania w Szwecji. Gdy dowiedział się, że ja i Zygmunt mamy coś wspólnego z opozycją, szybko zaprzyjaźnił się z nami. Bywał gościem w naszym domu aż do naszego wyjazdu z kraju. Szczególnie cenił sobie specjalność firmową Haliny, czyli kurczaka w rosole. Mieszkał z żoną w hotelu robotniczym „Stilonu” na ul. Czereśniowej, gdzie też my byliśmy często zapraszani i poznaliśmy jego przyjaciół. Na początku naszego pobytu w Gorzowie czuliśmy się osamotnieni i na dodatek izolowani od ludzi przez różne szykany „bezpieki”. Nie myśleliśmy wówczas, że już za kilka miesięcy będziemy w tym mieście prowadzić tak

80 Edmund Dulko (ur. 1937), technik mechanik w Zakładach Mechanicznych, działacz NSZZ „Solidarność”, sekretarz Komisji Zakładowej NSZZ „S” (1980–1981), delegat na I Walny Zjazd Delegatów NSZZ „S” Regionu Gorzów (1981).

81 Kazimierz Steczkowski (ur. 1947) – polski szachista reprezentujący Francję, mistrz międzynarodowy od roku 1984, w roku 1966 zdobył w Polanicy-Zdroju tytuł wicemistrza Polski juniorów do lat 20, dwukrotnie uczestniczył w finałach mistrzostw Polski seniorów, w roku 1979 w Tarnowie zajmując odległe 42. miejsce, zaś w 1982 w Zielonej Górze – miejsce 7, w 1986 podzielił II miejsce (za Mirosławem Sarwińskim) na międzynarodowym turnieju w Gorzowie Wielkopolskim, w drugiej połowie lat 80. przeniósł się do Francji i zaczął reprezentować barwy tego kraju, od roku 1990 nie bierze udziału w turniejach sklasyfikowanych do szachowego rankingu ELO (http://pl.wikipedia.org/wiki/Kazimierz_Steczkowski). Obecnie mieszka w USA.

aktywne życie – opozycyjne i towarzyskie zarazem, że na nic nie będzie starczać czasu. Ten ostatni rok przed powstaniem „Solidarności” był niezwykle intensywny, mimo że w pewnych okresach nie miałem pracy.

Kaziu Steczkowski nie zajmował się jakąś szczególną działalnością opozycyjną, ale jego autorytet okazał się niezwykle ważny. We wszystkich rozmowach, także i w klubie w czasie spotkań treningowych, otwarcie krytykował system komunistyczny, porównując często poziom życia w PRL z życiem w Szwecji, gdzie spędził kilka lat. Przy różnych okazjach nie omieszczał też przedstawiać mnie swoim znajomym, w tym inżynierom ze „Stilonu”. A co do samego klubu szachowego, to można powiedzieć, że stał się nieformalnym klubem politycznym. Tam oprócz Steczkowskiego zawodnikiem o dużych umiejętnościach był **Kazimierz Modzelan**⁸² oraz **Wacław Niewiarowski**⁸³ ze „Stilonu”.



Kazimierz Modzelan w 1979 roku (stoi) (ze zbiorów Andrzeja Modzelana)

- 82 Kazimierz Modzelan (1941–2001), absolwent Technikum Mechanicznego w Gorzowie (1966), ślusarz w ZWCh „Stilon” w Gorzowie (1963–1991, w latach 1984–1989 usunięty z pracy z powodów politycznych), działacz „Solidarności”, członek Regionalnej Komisji Wykonawczej (1982–1989), internowany w okresie 12 maja 1982 – 7 grudnia 1982, 14 marca 1984 tymczasowo aresztowany i zwolniony na mocy amnestii 3 VIII 1984, ponownie aresztowany 25 VIII 1985 i oskarżony z art. 282a par. 1 KK i art. 45 prawa prasowego (produkcja i kolportaż nielegalnych wydawnictw), przebywał w Areszcie Śledczym w Szczecinie, 22 IV 1986 r. skazany na 10 miesięcy więzienia, w lipcu 1986 r. członek Społecznego Komitetu Obchodów 6 Rocznic Sierpnia ‘80, od stycznia 1988 r. członek Rady Regionu NSZZ „S”, współzałożyciel NSZZ „S” w Gorzowskim Przedsiębiorstwie Robót Inżynierskich (1989), działacz Komitetu Obywatelskiego (1989), zastępca przewodniczącego Prezydium Rady Regionu (1989), delegat Rady Regionu do Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „S” (1989), od roku 1991 zatrudniony w firmie Habud Sp. z o.o.
- 83 Wacław Niewiarowski (1942–2007) – inżynier, polityk, absolwent Politechniki Szczecińskiej, od 1980 działacz „Solidarności”, w stanie wojennym usunięty z PZPR, w latach 1991–1993 poseł na Sejm z ramienia SL-Ch, w okresie 1991–1992 wojewoda gorzowski, od 11 lipca 1992 do 18 października 1993 minister przemysłu i handlu w rządzie Hanny Suchockiej (www.wikipedia.pl).

Kaziu Modzelan to był człowiek mało mówny, ale stanowczy w działaniu i o dużych umiejętnościach organizacyjnych. Wielokrotnie z nim rozmawiałem, brał różne wydawnictwa ode mnie lub od Zygmunta, ale nie chwalił się swoimi licznymi kontaktami w zakładzie. Dopiero jak powstawała „Solidarność”, to okazało się, że **Kaziu Modzelan** wykształcił w „Stilonie” środowisko sympatyków gotowych do zakładania związku. Miałem też przyjemność poznać jego małżonkę, wspierającą dzielnie Kazia przez cały okres jego działalności – szczególnie w stanie wojennym, kiedy był poddawany dotkliwym represjom i zachowywał niezłomną postawę. Po aresztowaniu „bezpieka” próbowała go złamać wielogodzinnymi przesłuchaniami, odmawiał konsekwentnie odpowiedzi, nawet na pytanie o dane personalne. Na emigracji doszła do mnie smutna wiadomość, że Kazimierz Modzelan nie żyje. Dowiedziałem się też, że działalność szkoleniową w tej samej sekcji szachowej KS „Stilon” dziś prowadzi jego syn **Andrzej Modzelan**, którego wspominam z tamtych lat jako ucznia Szkoły Podstawowej nr 9, gdzie krotko uczyłem historii i byłem jego wychowawcą. Ciekaw jestem, czy pamięta naszą lekcję o 17 września 1939 i o Katyniu.



1976 rok, I Mistrzostwa Woj. Gorzowskiego w Szachach. Widoczni na zdjęciu: górny rząd – Waldemar Maniukiewicz, NN, Roman Sokołowski, Mirosław (?) Woźny, Wiesław Kozłowski; drugi rząd od góry – NN postać w jasnym swetrze, NN, Kazimierz Wojtczak, Bogusław Stefańczyk (+), Wiesław Zakrzewski, NN, Jacek Pawlicki, Zygmunt Jędrzak, Władysław Matwiej (+), NN, Waclaw Niewiarowski, Cezary Słodowski (+), Czesław (?) Socha, NN, Jan Ziętek, Tadeusz Lewandowski; trzeci rząd od góry – NN, NN, Piotr Wilczewski, Robert Wilczewski, Józef Goldberg (+), Lech Jakubowski, Ignacy Maszkowski, Jerzy Markowski, Tadeusz Łubieński; dolny rząd – Feliks Witkowski, Józef Lisowski (?), NN, Kazimierz Modzelan (+) (zdjęcie ze zbiorów Janiny Jędrzak)

W czasie spotkań szachowych dość otwarcie z **Zygmuntem Jędrzakiem** kolportowaliśmy bibułę. Wśród kierownictwa sekcji było dwóch lub może trzech członków PZPR, ale nie przeszkadzali nam. A nawet jeden z nich – wspomniany już **Edmund Dulko** zerwał z partią i później był bardzo ofiarnym i sumiennym działaczem „Solidarności” w Zakładach Mechanicznych.

Nie wiem czy bezpieka nie orientowała się, co właściwie dzieje się wśród szachistów, czy też nie doceniano tego środowiska, bo nieznaną mi była żadna reakcja w tym względzie. Wiadomo było tylko, że w czasie namawiania do współpracy znajomej mojej żony esbek wyraził się tak: *Dobrze, że oboje pasjonują się szachami, to może przestaną działać przeciwko władzy.*

„Placówka”

„Placówka” – to, jak pamiętamy z literatury polskiej, tytuł powieści Bolesława Prusa o chłopie Ślimaku broniącym swej ziemi. Tak właśnie nazwała się opozycyjna gazетка dla rolników wydawana w Warszawie przez **Wiesława** i **Marzenę Kęcików**⁸⁴, bodajże od początku 1979 r. Wiesiek uprzednio studiował we Wrocławiu i to właśnie przez niego zaczęły się moje tamtejsze kontakty z opozycją. Później, po powrocie do Warszawy, właśnie Wiesiek Kęcik organizował i przechowywał dla mnie bibułę na Gorzów. Również spośród działaczy opozycji w stolicy najbliższy i najczęstszy kontakt utrzymywałem właśnie z nim i z jego żoną Marzeną. Oprócz dawnej przyjaźni preferowałem ten kontakt ponad inne, gdyż Wiesiek, sam będąc członkiem KSS „KOR” utrzymywał też współpracę i przyjazne więzi z niektórymi działaczami ROPCiO, dzięki czemu miałem stały dostęp do obu stołecznych ugrupowań opozycyjnych oraz na bieżąco dostęp do bibuły wydawanej w obu środowiskach.

Bibułę tę Wiesiek odkładał dla mnie u cichego współpracownika obu ugrupowań opozycyjnych – **Franciszka Króla**. Był to stary warszawiak, przedwojenny działacz spółdzielczy. Bardzo miły człowiek, ale odwiedzałem go z pewną niechęcią. Przy każdym odbiorze bibuły trzeba było z nim dyskutować o Piłsudskim, którego przeciwnikiem Franek był przed wojną i potem przez resztę życia. Ja należałem do pokolenia, dla którego przedwojenne podziały polityczne nie były już tak istotne, a czasem nie do końca zrozumiałe. Franka mieszkanie było jednak bardzo dobrym miejscem pod względem lokalizacji. Położone 5 minut na pieszo od domu Wieśka, a układ podwórek oraz klatek schodowych blisko bloku Franka pozwalał łatwo zorientować się, czy jest się śledzonym.

Nie lubiłem odbierać bibuły od Franka także z innego powodu. Pomimo swej wojennej przeszłości konspiracyjnej zachowywał się wbrew podstawowym regułom. Ponieważ prowadził samotny tryb życia, a jego rola w opozycji nie pozwalała mu spotykać się z nikim z czołowych działaczy, toteż musiał pochwalić się swoim majsterkowiczowskim sprytem każdemu, kto przyszedł po odbiór „towaru”. Już przy pierwszej mojej wizycie po zakończeniu uświadamiania mnie na temat stosunku Piłsudskiego do konstytucji za-

84 Marzena Górszczyk-Kęcik (zm. 1999), w 1969 r. kolportowała pismo „Biuletyn” grupy „Ruch” Andrzeja Czumy, aresztowana i w 1971 r. skazana na 2 lata więzienia, zwolniona po 1,5 roku, w 1979 r. zorganizowała i prowadziła Uniwersytet Ludowy w Zbroszy Dużej, od wiosny 1979 r. współredagowała pismo „Placówka”, w czerwcu weszła w skład Ośrodka Myśli Ludowej. Od 1980 r. (wspólnie z mężem Wiesławem Kęcikiem) wydawała pismo – „Solidarność Wiejska”, w czerwcu 1981 r. utworzyła Niezależne Wydawnictwo Chłopskie, współpracowniczką KOR, internowana 13 grudnia 1981 r., zwolniona wiosną 1982 r. (<http://www.slownik-niezaleznidlakultury.pl/index.php?page=wysyp&sel=G&klucz=215>).

demonstrował, jak cwanie miał porobione skrytki. I rzeczywiście, „bezpieka” musiałaby pozrywać podłogi i porozwalać różne meble. Cóż jednak z tej pomysłowości, skoro każdemu gościowi chwalił się nią. Nie zdziwiłem się, kiedy na niedługo przed powstaniem „Solidarności” usłyszałem z „Wolnej Europy”, że u Franciszka Króla dokonano wielogodzinnej rewizji i zarekwirowano kilka tysięcy egzemplarzy wydawnictw bezdebitowych.

Do czasu tej wpadki najczęściej właśnie od Franka pobierałem warszawską bibułę (w ostatnich miesiącach przed Sierpniem już przeważnie jeździł ktoś inny). Wśród tych wydawnictw był zawsze „Robotnik” (kilkaset sztuk jedno- lub dwukartkowej gazetki) do czasu uruchomienia kanału z Gryfina, a także najczęściej trochę książek Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOW-a (największe opozycyjne wydawnictwo książkowe kierowane przez członka KOR-u **Mirosława Chojeckiego**⁸⁵), „Biuletyn Informacyjny”, kolekcja komunikatów i oświadczeń KOR-u i ROPCiO, często też obszerny periodyk „Głos” wydawany przez **Antoniego Macierewicza**⁸⁶, a sporadycznie inne pisma jak lubelskie „Spotkania” czy łódzki „Aspekt” – oba ostatnie miały pojemność książek, czasem do 100 stron powielaczowych i były płatne, podobnie jak kwartalniki literackie „Zapis” i „Puls” oraz większość książek NOW-ej. Z tych płatnych pozycji trzeba się było rozliczać, chyba że były skonfiskowane przez SB, to dług anulowano (podstawą był protokół rewizji). To wszystko w sumie mieściło się w jednej wielkiej torbie podróżnej, jeśli było porządnie i ciasno upchane. Było co targać, a czasem torba – lub, jak mówiło się wtedy w Polsce, „neseser” – była tak ciężka (ciasno ubity papier!), że w żaden sposób nie można jej było podnieść na wysokość półki bagażowej nad siedzeniem w wagonie kolejowym. Uprzejmie pomagali wówczas inni pasażerowie, czasem dziwiąc się, np. półżartem: *Czy pan tu napchał samego ołowiu?* To zwracało uwagę otoczenia, ale niestety musiało funkcjonować w ten sposób, bo naszą drobną opozycję gorzowską nie stać było na takie rozwiązanie, jakie już stosował np. Wrocław, dokąd często przewożono bibułę samochodem.

Bodajże latem 1979 r., w czasie naszego rodzinnego wyjazdu z Haliną i dziećmi do Kęcików (to już była ugruntowana tradycja naszych przyjaciół, że co roku zapraszali nas na parę dni do zwiedzania stolicy), zapytali mnie, czy nie podjąłbym się kolportażu „Placówki” wśród rolników rejonu Gorzowa. Pismo to docierało już do różnych części kraju (w tym sporadycznie niewielkie ilości do Szczecina i Gorzowa, tak jakby tylko na pokaz), ale w północno-zachodniej części Polski Kęcikowie ze swym chłopskim periodykiem nie

85 Mirosław Chojecki (ur. 1949) – wydawca, działacz opozycji w PRL, producent filmowy, inżynier chemik, w marcu 1968 uczestnik strajku studentów na Politechnice Warszawskiej, pracownik Instytutu Badań Jądrowych, w czerwcu 1976 r. jeden z pierwszych uczestników akcji pomocy represjonowanym robotnikom Ursusa i Radomia, organizator niezależnej działalności wydawniczej, odpowiadał za powielanie „Komunikatu” i „Biuletynu Informacyjnego” KOR, we wrześniu 1977 r. stworzył Niezależną Oficynę Wydawniczą „NOWa”, największe wydawnictwo działające poza cenzurą, w październiku 1981 wyjechał za granicę, w okresie stanu wojennego na emigracji wydawał m.in. miesięcznik „Kontakt”, produkował filmy poświęcone najnowszej historii Polski i organizował pomoc sprzętową dla podziemia w Polsce, wrócił do kraju w roku 1990, był m. in. doradcą ministra kultury, później założył i prowadził przedsiębiorstwo „Media Kontakt”, członek założyciel i prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa (http://pl.wikipedia.org/wiki/Miros%C5%82aw_Chojecki).

86 Antoni Macierewicz (ur. 1948) – polski polityk, jeden z liderów partii Ruch Patriotyczny, minister spraw wewnętrznych w latach 1991–1992, od 21 lipca 2006 do 4 października 2006 i od 1 listopada 2007 do 16 listopada 2007 wiceminister obrony narodowej w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, od 4 października 2006 do 5 listopada 2007 szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego, poseł na Sejm RP I, III, IV i VI kadencji, działacz opozycji demokratycznej w PRL w latach 1968–1989, współtwórca Komitetu Obrony Robotników, od 2007 felietonista Radia Maryja i Telewizji Trwam w cyklu „Myśląc Ojczyzna” (http://pl.wikipedia.org/wiki/Antoni_Macierewicz).

mieli jeszcze żadnych konkretnych kontaktów wśród rolników. Prosił mnie, jeśli ja nie chcę zajmować się kolportażem po wsiach, to przynajmniej abym to robił tymczasowo, jednocześnie poszukał chętnych do tego typu działalności rolników w województwie.

Zaczął się w tym czasie rozwijać niezależny ruch chłopski, który oni oboje wspierali, a właściwie w dużej części byli jego animatorami. Zwłaszcza Marzena była w tym zaangażowana emocjonalnie jako córka byłej działaczki PSL **Mikołajczyka – Wandy Ferens**. Panią Wandę, będącą w starszym wieku i poruszającą się na wózku inwalidzkim, też odwiedzałem kilkakrotnie w tamtych latach i widziałem, jak żywe są w jej domu tradycje **Witosa i Mikołajczyka**. Za każdym razem widziałem w mieszkaniu pani Ferens jakichś rożnych, starszych wiekiem, dawnych działaczy ludowych. Raz też brałem tam udział w dyskusji na temat szans rozwinięcia ruchu chłopskiego na fali coraz śmieiej poczynającej sobie opozycji demokratycznej. Niektórzy z tych starszych działaczy chłopskich, a także pani Wanda, byli ideowo i organizacyjnie związani z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO) i z pewną nieufnością odnosili się do KOR-u, a właściwie do najaktywniejszej jego części związanej z **Kuroniem i Michnikiem**⁸⁷, ze względu na poważny udział w tym ostatnim środowisku byłych członków PZPR z lat stalinowskich lub też ich dzieci. Ci działacze, a także i matka Marzeny, ze sceptycyzmem przyjmowali przystąpienie Wieśka do KSS KOR (jako oficjalny członek komitetu współfirmował swoim nazwiskiem wszystkie oświadczenia i inne dokumenty komitetu, ukazujące się w biuletynach informacyjnych tego ugrupowania, a także czytane często przez Radio „Wolna Europa”).

Wiesiek i Marzena mieli przeszłość w konspiracyjnej organizacji „Ruch” i razem z czołowymi członkami tej grupy odsiedzieli po kilka lat w więzieniu za próbę spalenia muzeum Lenina w Poroninie. Wielu członków tego dawniejszego „Ruchu”, na czele z **Andrzejem Czumą**⁸⁸, znalazło się później w ROPCiO. Wiesiek natomiast (oraz paru innych ludzi z „Ruchu”) swoją obecność w KOR-ze uzasadniał tym, że to było znacznie bardziej dynamiczne środowisko, mające rozgłos w światowych mediach i związki z Radiem „Wolna Europa”, co pomoże spopularyzować niezależną działalność chłopską i stanowić dla niej niejako parasol ochronny. I rzeczywiście – w tym czasie „Wolna Europa” dużo miejsca poświęcała Komitetowi Samoobrony Chłopskiej z siedzibą w Zbroszy Dużej koło Grójca. Wiesiek sam pochodził z owego podwarszawskiego Grójca i na swoim rodzinnym terenie pomógł zorganizować ten komitet wśród chłopów właśnie wtedy walczących o prawo do budowy kościoła, za co spotykały ich różne szykany administracyjne i esbeckie. Niedługo potem powstał następny taki komitet na Ziemi Sandomierskiej, którego przywódca **Jan Kozłowski**⁸⁹ został skazany w sfiogowanym

87 Adam Michnik (ur. 1946 w Warszawie) – redaktor naczelny „Gazety Wyborczej, w latach 1968–1989 organizator nielegalnej, demokratycznej opozycji w Polsce; historyk, eseista, publicysta polityczny (http://pl.wikipedia.org/wiki/Adam_Michnik).

88 Andrzej Czuma (ur. 1938), prawnik, członek założyciel organizacji „Ruch” (1965–1970), aresztowany i skazany na 7 lat więzienia, członek założyciel i rzecznik ROPCiO, redaktor miesięcznika „Opinia”, doradca Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ „Solidarność” (1981), od 1985 na emigracji w USA (*Opozycja demokratyczna w Polsce*, dz. cyt., s. 81). Obecnie poseł na Sejm z listy Platformy Obywatelskiej.

89 Jan Kozłowski (1929–1996), rolnik, mistrz murarski, współpracownik KOR i KSS „KOR”, w 1978 współzałożyciel Tymczasowego Komitetu Niezależnego Związku Zawodowego Rolników, członek redakcji „Placówki”, współpracownik Komitetów Samoobrony Chłopskiej, w 1979 przymusowo osadzony w zakładzie psychiatrycznym, a następnie aresztowany i skazany na 2 lata więzienia (1980), zwolniony po Sierpniu 1980, następnie współorganizator „Solidarności Wiejskiej”, w stanie wojennym internowany, w latach 1989–1991 senator RP (*Opozycja demokratyczna w Polsce*, dz. cyt., s. 318).

procesie kryminalnym. KOR walczył o uwolnienie Kozłowskiego, nadawał rozgłos jego prześladowaniu i później postulat jego uwolnienia wraz z dwoma współpracownikami „Robotnika” (**E. Zadrożyńskiego**⁹⁰ z Grudziądza i **M. Kozłowskiego**⁹¹ ze Słupska) znalazł się wśród 21 postulatów strajkowych Sierpnia 80 na Wybrzeżu. Wiesiek wszedł też w kontakt z biskupem przemyskim **Ignacym Tokarczukiem**⁹², znanym z odważnej postawy antykomunistycznej i zasłużonym w walce o prawo budowy świątyń na terenie swojej diecezji. I w przemyskim też powstawał taki komitet chłopski. Nie pamiętam, czy ostatecznie zdążył się ukonstytuować do Sierpnia ‘80, ale jego organizatorzy brali aktywny udział w głośnym chłopskim strajku w Rzeszowie na początku istnienia „Solidarności”. Również nie pamiętam, czy podobny komitet zdążyła zorganizować na Dolnym Śląsku znana tam działaczka opozycyjna **Maria Szczygielska**, którą poznałem jeszcze w czasie swej wrocławskiej działalności.

Zarówno panią Marię, jak i kilkudziesięciu działaczy chłopskich z całego kraju spotkałem raz w Warszawie, kiedy niespodziewanie trafiłem na ich zebranie. Wiesiek wówczas oznajmił zebranym, że: *To jest nasz przedstawiciel na ziemi gorzowskiej* i tak już na pewien czas zostało. Prowadziłem kolportaż „Placówki” na terenie gorzowskim (a także część odkładałem dla Szczecina) do wiosny 1980, czyli do czasu, kiedy po usłyszeniu w „Wolnej Europie” o niezależnym ruchu chłopskim zgłosił się w Warszawie młody rolnik z miejscowości Krzynka pod Barlinkiem – **Andrzej Szaja** i większość tej „działki” przejął ode mnie.

Kiedy tylko podjąłem się tymczasowo kolportażu „Placówki” na naszym terenie oraz przekazywania części transportu dla szczecinian (w zamian za dostarczanie przez nich „Robotnika”), od razu przygotowano dla mnie poważną porcję i – jak na początek – mocno przesadzono albo nastąpiło jakieś nieporozumienie. Opiszę tu ten transport, bo wiązały się z nim niecodzienne przygody. Przyszedłem do **Franka Króla**, napełniłem swą torbę podróżną różnymi książkami i biuletynami, a tu czeka na mnie jeszcze jedna torba – większa od mojej. To „Placówka”. Nie mam pojęcia, czy dowlokę się chociażby do tramwaju z dwiema takimi torbami pełnymi ciasno ubitego papieru, ale Franek mówi, że to zostało przygotowane na Gorzów, więc mam wszystko zabrać, bo on już nie ma gdzie schować. Nadludzkim wysiłkiem dotarłem z przesiadkami na Dworzec Wschodni (unikalem Centralnego z takimi tobołami). Spóźniłem się na planowany pociąg i pojechałem szczecińskim pospiesznym, który nie zatrzymywał się w Dobiegniewie (skąd – jak pisałem – lubiłem dokończyć podróż PKS-em). Zatem w Poznaniu przesiadłem się na pociąg do Gorzowa jadący przez Międzychód, by wysiąść na Zamościu (unikając tym razem gorzowskiego Dworca Głównego). Nie wiem, czy ten pociąg dziś tak jeździ, ale wówczas włócił się niemiłosiernie – to był wręcz symbol „rozwiniętego budownictwa socjalistycznego”. Byłem cały czas sam w przedziale i nie mogłem doczekać się kresu podróży. Wreszcie zasnąłem już gdzieś za Skwierzyną, a obudził mnie szum jazdy po „Żelaznym Moście”, czyli przed samym Dworcem Głównym, na którym nie miałem wysiadać.

90 Edmund Zadrożyński (1931–1982), robotnik, pracownik Pomorskiej Emalierni i Odlewni w Grudziądzu (1950–1973), współpracownik KSS „KOR”, od 1977 członek redakcji „Robotnika”, w 1979 roku zatrzymany i skazany na 3 lata pozbawienia wolności, zwolniony po Sierpniu 1980, w stanie wojennym internowany (*Opozycja demokratyczna w Polsce*, dz. cyt., s. 291).

91 Marek Kozłowski, współpracownik KSS „KOR” ze Słupska, 14 III 1980 pobity przez „nieznanych sprawców”, aresztowany 28 kwietnia 1980 (J. J. Lipski, *Komitet Obrony Robotników*, Gliwice 1988, s. 326 n.).

92 Ignacy Tokarczuk (ur. 1918 w Lubiankach Wyższych koło Zbaraża) – biskup przemyski w latach 1965–1992, następnie arcybiskup w latach 1992–1993.

W normalnych okolicznościach najprościej byłoby zatańczyć dwie torby do takśówki przed dworzec, ale nie w moim przypadku. Wyszedłszy tylnym wyjściem, przedostałem się nad Wartę, chcąc tam połowę towaru, czyli jedną torbę, ukryć gdzieś w gąszczach, bo czułem, że absolutnie nie dam rady tego wszystkiego nigdzie dalej zanieść. Nie dało się tego schować, bo mimo wczesnej pory na każdej kamiennej główce był co najmniej jeden wędkarz, a byłem z daleka widoczny z tak dużym bagażem na łące, że niektórzy przyglądali mi się ciekawie. Padając ze zmęczenia dowlokłem się do początku tunelu pod torami, którym normalnie można wyjść zaraz za gazownią. Tymczasowo ukryłbym to u któregoś z sąsiadów, z tym nie byłoby kłopotu. Ale tunel zalany był bagnistą wodą prawie po kolana – najwidoczniej w nocy przeszła potężna ulewa. Nie miałem wyboru, tylko wlec się dalej do następnego tunelu, który wychodził za kinem „Muza” i miał z boku wąski chodnik, którym na ogół można było przejść po deszczu. Te wszystkie rzeczy znałem na pamięć z dziecięcych zabaw. Latem prawie codziennie biegało się nad Wartę tunelem pod torami. Niestety, w tym drugim tunelu ów chodniczek był także zatopiony w czarnej wodzie. Ale tam już było lepiej, bo ta ciecz sięgała tylko po kostki. Ostatni nadludzki wysiłek to utrzymać obie torby ponad powierzchnią mulistej wody, mniejsza o buty czy skarpetki. Udało się i usiadłem wreszcie na progu mieszkania przy ul. Słonecznej, należącego do pani **Rukawisznikow** (na imię miała chyba Stefania lub Natalia, już nie pomnę) – wdowy po przedwojennym uciekinierze z komunistycznej Rosji. Poznałem ją przez współpracującą ze mną niejawnie panią **Helenę Kuźmicką**⁹³ – wieloletnią pracownicę księgarni św. Antoniego na rogu Dąbrowskiego i Łokietka, która czasem awaryjnie przechowywała bibułę w księgarni, a później w stanie wojennym udzieliła mi schronienia. Przy okazji pozwolę sobie wtrącić, że właśnie dowiedziałem się, iż pani Helena w tym roku ma obchodzić setną (!) rocznicę swoich urodzin.

Pani Rukawisznikow była już na emeryturze. Początkowo pomagała mi dyskretnie. Zdaje się, że znała też **Marka Jurka** i jego rodziców, ale już po latach nie dam za to głowy. Od pewnego czasu zaczęła otwarcie sympatyzować z opozycją i często u nas bywała aż do naszego wyjazdu. Po moim internowaniu, jak byłem bez pracy, to jej syn – wicedyrektor WPEC⁹⁴ przyjął mnie na sezon zimowy jako palacza do kotłowni, gdzie robota była brudna, ale miałem sporo czasu na czytanie i bardzo dużo nadgodzin, tak że nieźle tam zarabiałem. Do tej kotłowni jeszcze wrócę przy okazji spraw związanych z opozycyjnym podziemiem.

Pani Rukawisznikow początkowo była przerażona moim widokiem. Buty i dół spodni pokrywała gruba warstwa czarnego mułu. Myślała, że jestem ścigany z tymi tobołami. Znalazła się dla mnie mocna kawa i suche skarpetki, ale zajęło trochę czasu, by buty odmyć i wysuszyć w piekarniku. Był poniedziałek i w efekcie dość mocno spóźniłem się do pracy w Archiwum Państwowym Oddział w Lubczynie koło Łupowa (o moim zatrudnieniu i bezrobociu będzie później). Ponieważ to miejsce pracy mieściło się na wsi, to od razu zabrałem ze sobą kilkadziesiąt egzemplarzy „Placówki”, które schowałem w firmie, rozrzuciłem w następnych dniach po przystankach autobusowych w

93 Helena Kuźmicka (ur. 1908 Grodno), nauczycielka, bibliotekarka i właścicielka księgarni, pionierka Gorzowa, ukończyła Seminarium Nauczycielskie Elizy Orzeszkowej, następnie pracowała w „Naszym Domu” w Warszawie, współpracując z Januszem Korczakiem, w roku 1945 przyjechała do Gorzowa i założyła księgarnię i bibliotekę, następnie w latach 1947–1967 kierownik księgarni św. Antoniego, autorka wspomnień pt. „Wiosna na rumowisku” (J. Zysnarski, *Encyklopedia Gorzowa*, s. 325).

94 Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej na ul. Teatralnej.

Lubczynie, Łupowie i Wieprzycach, a trochę rozdałem młodym ludziom pijącym piwo pod wiejskim sklepem. Wykorzystałem lokalizację tego archiwum, bo wówczas to był mój jedyny bezpośredni kontakt z wsią.

Nie miałem pojęcia co zrobić z resztą tej gazetki dla rolników. Okazało się, że przywiozłem dwa kolejne numery „Placówki”, razem było dobrze ponad tysiąc egzemplarzy. W przeciwieństwie do „Robotnika”, mającego wówczas na ogół dwie kartki formatu A-4 gęsto wypełnione obustronnie małym druczkiem offsetowym, „Placówka” była niewygodna w transporcie, przechowywaniu i kolportażu. Jej druk był duży, powielaczowy, więc pojedynczy egzemplarz zawierał zbliżoną do „Robotnika” ilość tekstu, ale rozmieszczonego na sześciu lub więcej kartkach, złączonych zszywką. W efekcie do takiej samej torby wchodziło około trzy razy mniej „Placówki” niż „Robotnika”. Nie trzeba wyjaśniać, o ile trudniej było schować taką bibułę w domu czy w pracy. Rozmawiałem z Wieśkiem, niektórzy ludzie też, ale on był zdania, że dla rolników – często ludzi starszych lub mniej wykształconych – druk musi być duży jak i odpowiednio większe odstępy między linijkami. Było też faktem, że możliwości poligraficzne ruchu chłopskiego były mniejsze niż „Robotnika”. W środowisku korowskim uważano, że bibuła robotnicza musi mieć taki format i objętość, aby w zakładzie pracy mniej odważni ludzie mogli jeden lub parę egzemplarzy złożyć we czworo i łatwo schować w kieszeni marynarki czy bluzy roboczej, a chłop pracuje u siebie, to nie musi kryć się z bibułą przed brygadzystą lub sekretarzem partii.

Problem jednak był tego rodzaju, że w niektórych regionach teoretycznie sporo „Placówki” mogło rozchodzić się na wieś za pośrednictwem tzw. chłopo-robotników, czyli przez zakłady przemysłowe częściowo kanałami przetartymi już przez kolportaż „Robotnika”. Takim ośrodkiem był Gorzów, gdzie po godz. 15 setki, a być może tysiące ludzi szły tłumnie do dworców PKP i PKS. Jednym słowem jesteśmy w takim punkcie, że mam nadal ponad tysiąc sztuk tego pisma – przez tydzień rozeszło się najwyżej sto, a zbliżało się kolejne wydanie (początkowo to był miesięcznik, później dwutygodnik). Nawet gdybym wtedy znał dużo ludzi na wsi, to organizowanie ruchu chłopskiego było niewspółmiernie trudniejsze logistycznie niż rozwój opozycji „miejskiej” – wymagało jeżdżenia po różnych miejscowościach, gdzie autobus PKS docierał np. trzy razy dziennie. W porównaniu z Polską dzisiejszą mało ludzi posiadało samochody, już nie mówiąc o takich jak ja. W omawianym okresie miałem pracę, a niedziele były często na „wysokości” – jak nie Warszawa, to Wrocław, Poznań lub Szczecin. Głównym problemem, co z tym robić. Jakieś sto sztuk upchałem księdzu Witoldowi. Tam była miejska inteligencja, ale na zasadzie „niech ludzie zobaczą, że istnieje też coś takiego”. Jeszcze trochę po sąsiadach. Ale i tak zostało jeszcze tysiąc. Patrząc na stos „Placówki”, zupełnie poważnie byłem bliiski rezygnacji, czyli poinformowania Marzeny i Wieśka, że z tego nic nie będzie. Ale za jakiś czas przyjechał **Zdzichu Podolski** z Gryfina i wykazał zainteresowanie pismem dla chłopów, to wcisnąłem mu, ile się dało. Wtedy nie poddałem się tylko dlatego, że dzięki Zdzichowi ten stos się zmniejszył. Od tej pory od czasu do czasu „Placówka” szła też na Pomorze Zachodnie, choć nie wiem, jak szczecinianie dalej dawali sobie z tym radę.

Następnie ruszyłem w jedyny rejon wiejski, z którym wiązałem jakieś drobne nadzieje, bo tam się urodziłem. Niby wszystko powinno grać, bo przecież miałem pochodzenie chłopskie. Ale tylko formalnie. Sęk w tym, że byłem zaledwie trzyletnim dzieckiem, gdy rodzice zrezygnowali z uprawy roli i przenieśli się do Gorzowa. Mój ojciec, inwalida wojenny, nie był w stanie obrabiać gospodarstwa, więc podjął w Gorzowie lżejszą pracę.

Oboje rodzice jednak byli przez lata na tyle związani z wsią, że nie wyobrażali sobie innego stylu życia, stąd ten skromny domek na Żelaznej, ogród, ta krowa na początku ich miejskiego osiedlenia i owa stajenka, która po latach okazała się dla mnie tak ważnym obiektem. Z jednej strony przy pomocy „Placówki” mogłem kontynuować polityczne tradycje rodzinne, gdyż ojciec mój w młodości był zwolennikiem **Wincentego Witosa**, a po wojnie – **Mikołajczyka**. Ale dla mnie, wychowanego w Gorzowie i potem wykształconego jako specjalista od starożytnych języków, wieś to było coś abstrakcyjnego – coś, co pamiętałem jak mglisty sen. O rolnictwie nie miałem większego pojęcia ani o problemach, którymi żyli chłopci w okresie gierkowskim, zatem trudno mi było o wspólny język z nimi. Nie potrzeba dodawać, że chłopci tradycyjnie nabierali nieufności, gdy jakiś mieszczuch próbował im klarować, co mają robić. Moja żona była absolwentką Akademii Rolniczej, ale jej specjalizacja i życiowa pasja dotyczyła owadów (entomologia), tak że i za jej pośrednictwem nic szczególnego mnie z wsią nie wiązało. Z takim oto brakiem kompetencji do dialogu z chłopami ruszyłem z plikiem opozycyjnych gazetek do swej rodzinnej wsi, której nie widziałem od wielu lat.

Wieś Ownice leży parę kilometrów na wschód od Słońska, największej miejscowości w tej okolicy – kilkanaście kilometrów od Kostrzyna drogą w kierunku Skwierzyny po południowej stronie Warty. W Ownicach byłem parę razy z rodzicami w latach szkoły podstawowej, gdy jeszcze żyła tam moja chrzestna. Później kontakt z tą miejscowością urwał się i tylko bardzo sporadycznie ktoś z tej wsi zaszedł do moich rodziców, najczęściej gdy miał coś do załatwienia w Gorzowie. Z rozmów prowadzonych w naszym domu przy takich okazjach utkwiły mi w pamięci różne nazwiska dawnych mieszkańców oraz zdawkowe informacje o nich – najczęściej typu: kto jeszcze żyje, a kto już nie. W roku 1979 moja mama nie miała już świeżych informacji tego rodzaju, toteż usłyszawszy, że wybieram się do Ownic radziła mi tylko, że mogę spróbować odwiedzić tego, tamtego i owego. Z zastrzeżeniem, że jeżeli jeszcze żyją i nadal tam mieszkają, to są to już starsi i pewno niedołążni ludzie. I tak też było. Większość nie żyła, inni podążyli za dziećmi do miasta. Udało mi się wejść do domu i rozmawiać tylko z dwoma starszymi ludźmi, z którymi moją rodzinę łączyło dalekie pokrewieństwo. W obu domach byłem poczęstowany obiadem, w czasie rozmowy zostawiłem trochę „Placówki”, a także „Robotnika”, gdyż dowiedziałem się, że jacyś ludzie z młodszego pokolenia dojeżdżają do pracy w kostrzyńskiej „Celulozie”. Pożegnałem się, zapowiadając, że jeszcze wpadnę, ale nie wiem, czy ich to zainteresowało, czy też przyjęli z grzeczności. Unikałem otwartego rozdawania bibuły i za dużo po wsi się nie kręciłem, bo – jak już wspomniałem – syn byłego sołtysa Kamińskiego był esbekiem w Gorzowie.

Po pewnym czasie okazało się, że znaleźli się tam sympatycy opozycji, chociaż nie wśród pracowników „Celulozy”, na czym mi szczególnie zależało. Ale w ten dzień wyglądało mi, że niewiele tam zdziałałem i siedłem z nosem na kwintę trzy kilometry leśną drogą do stacji w sąsiednich Lemierzycach. Spóźniłem się na pociąg, więc w pustej poczekalni wiejskiej stacyjki nawykładałem trochę „Placówki” i postanowiłem odwiedzić trzy rodziny, które przed laty znali rodzice. Pytam o nich kobietę pracującą w ogrodzie. Albo nie żyją, albo wyprowadzili się. To pytam, czy tu ktoś pracuje w „Celulozie”. Owszem. Idę tam, spędzam parę godzin u bardzo gościnnych ludzi. Zostawiłem bibułę i umówiłem się za tydzień na mini-zebranie, które sami zaproponowali. Obiecali zaprosić kilku swoich przyjaciół. W tym celu specjalnie przyjechałem tam po tygodniu. Nic z tego. Nie tylko nie było owych przyjaciół, ale moi gospodarze oddali mi bibułę, bo już ją przeczytali, a tak w ogóle to więcej nie potrzebują, bo słuchają „Wolnej Europy”, to im

wystarczy. Z bibułą przygotowaną na to zebranie i tą oddaną mi pojechałem autobusem kilka kilometrów na wschód – do dość dużej wsi Krzeszyce, gdzie kiedyś rodzice też mieli znajomych. Odnalazłem ich, rozmowa była miła, ale jak mówię, z czym przyjechałem, to okazało się, że nagle musieli dokąś iść i rozmowa przestała się „kleić”, więc się pożegnałem. Czułem się nieswojo, kręcąc się po nieznanym mi wsi. Ktoś mi się przyglądał i zapytał, kogo szukam, to mu chciałem wręczyć coś do czytania. Wziął mnie za świadka Jehowy. Wyprowadziłem go z błędu, to tym bardziej nie chciał wziąć. Z tego wszystkiego w oczekiwaniu na autobus do Gorzowa wszedłem zrezygnowany do gospody na piwo, a przed samym odjazdem autobusu położyłem bibułę na stole, przy którym siedzieli ludzie, resztę na pusty stolik i wyszedłem. W autobusie powiedziałem sobie, że albo ja się do tego rzeczywiście nie nadaję, albo komunistyczna propaganda doprowadziła ludzi już do takiej mentalności, że czują się szczęśliwi, że są zniewoleni. Trudno mi było uwierzyć, że głównym czynnikiem jest strach, bo niby czego ktoś mógł się bać, biorąc ode mnie jedną antykomunistyczną gazetkę na pustej wiejskiej drodze.

Takie wnioski snułem po pierwszych próbach działalności w moich „rodzinnych stronach”. I być może dałbym sobie spokój z chłopską działalnością, gdyby nie pobliski Słońsk, który zostawiłem sobie na kolejną niedzielę. Tu mieszkał brat mojego ojca – **Jan Siekanowicz**, człowiek wtedy już starszy i schorowany. Nie mógł zajmować się żadną działalnością społeczną. U stryja zawsze mogłem mieć coś w rodzaju bazy. Z Gorzowa wyjeżdżałem po upewnieniu się, że nie jestem obserwowany, najczęściej autobusem PKS z przystanku na Wieprzycach. Raz autobus był już zapełniony i na Wieprzycach nie zatrzymał się, a następny był za jakieś 4 godziny. Ale wolałem takie ryzyko niż pokazywanie się z torbą na dworcu.

Rowerem stryja objeżdżałem okoliczne miejscowości, w których miał on paru znajomych. Od niego też dowiedziałem się, że czasem bardzo krytycznie wyraża się o komunizmie w kazaniach miejscowy proboszcz ksiądz **Jan Głazewski**. Spodziewałem się, że mi zaufa, bo byłem bratankiem jego parafianina, a nie kimś, kto nie wiadomo skąd się tam wziął. Rzeczywiście, ksiądz Jan już przy pierwszym naszym spotkaniu wziął całą „Placówkę”, jaką wtedy ze sobą miałem, czyli sto sztuk. Gdzie to dalej kolportował, tego nigdy nie mówił. Był bardzo przyjaźnie nastawiony do opozycji i w następnych miesiącach to był mój najważniejszy wiejski kontakt. Na moją prośbę ksiądz Jan próbował nawet dotrzeć do ludzi dojeżdżających do pracy w „Celulozie”, którzy mieszkali w Słońsku i sąsiednich miejscowościach. Z tej „Celulozy” nic nie wyszło, ale „Placówka” i inne wydawnictwa rozchodziły się po okolicy. Był tylko jeden problem. Proboszcz miał do pomocy seniora – byłego w czasach stalinowskich tzw. księdza patriotę, którego podejrzewał o kontynuowanie współpracy z SB. To powodowało, że wszystko musiało odbywać się bez wiedzy tego księdza emeryta i z tego powodu musiałem czasami przeczekać u stryja do czasu powrotu proboszcza. Ale to był stosunkowo mały kłopot, w porównaniu z tym co się zaczęło wraz z nadejściem zimy. Nie mogłem już jeździć na rowerze po okolicznych wsiach. Kontakt z niektórymi rolnikami stał się bardzo nieregularny. Nie mogłem autobusem udać się do kilku miejscowości w tym samym dniu, gdyż bywałem tam najczęściej w niedziele, kiedy – w odróżnieniu od dnia powszedniego – było mniej kursów i nie miałym czym wrócić. Czasem niektórzy z tych ludzi przy jakiejś okazji odwiedzili mnie w Gorzowie, ale to było bez żadnego planu.

Stopniowo poznawałem i odwiedzałem trochę więcej osób z tamtego terenu, które zaczęły sympatyzować z opozycją. Większość nazwisk już wywierała mi z głowy. Z tego, co pamiętam, to widywałem się ze **Staszkiem Iwanowiczem** ze Słońska. Ten kon-

takt miał jednak miejsce z przerwami, gdyż Staszek był marynarzem kutra rybackiego. Długo był w domu, ale potem odlatywał na trzy miesiące na wymianę załogi łowiącej u wybrzeży Kanady w okolicy Vancouver.

Nigdy natomiast nie przypuszczałem, że moje wyjazdy „w strony rodzinne”, które na początku przynosiły mizerne efekty bieżące, zresztą tu opisane, będą miały znaczenie w przyszłości. I to nieoczekiwanie na gruncie innym niż ruch chłopski. Poprzez nauczyciela w Słońsku, pochodzącego z „mojej” wsi Ownice – **Edwarda Kozdrowskiego**, późniejszego założyciela „Solidarności” w swojej szkole, opozycyjne kontakty wiodły z powrotem do Gorzowa – do pochodzącego z Lemierzyc, a pracującego w gorzowskiej Elektrowni **Ryszarda Chromicza**⁹⁵, późniejszego współzałożyciela i członka MKZ NSZZ „Solidarność”. Taką okreśną drogą wydawnictwa niezależne docierały z kolei do pracującego z Ryśkiem **Edka Borowskiego** – późniejszego przewodniczącego Zarządu Regionu „Solidarności”. Samego Edwarda Borowskiego jednak nie poznałem osobiście do czasu powstania „Solidarności”.

Oprócz rejonu Słońska skromniejsze ilości „Placówki” zaczęły iść w kilka innych rejonów województwa, m. in. do Górek Noteckich i okolicy (za pośrednictwem wspomnianej Danusi), do Zwierzyna i Drezdenka (przez kolejarza dojeżdżającego do pracy z Drezdenka, nie pamiętam nazwiska), w rejon Kołczyna, Ośna Lubuskiego, Witnicy, Bogdańca, Łupowa, Siedlic, Borka, a także do Świebodzina (to już było woj. zielonogórskie). Oprócz tego część otrzymywał ks. **Witold Andrzejewski** (w tym przypadku o miejscowości docelowej nigdy nie pytałem). Oprócz pierwszego, za dużego transportu, rozchodziło się łącznie około 300 egzemplarzy z każdego wydania, a często były kolportowane dwa wydania łącznie. Ponadto do Gryfina i Szczecina trafiało 150-200 egzemplarzy, czyli należało każdorazowo przywieźć z Warszawy około pięćset lub tysiąc sztuk w przypadku dwóch wydań. Czasami było trochę więcej, to nie było co z tą końcówką zrobić. Wtedy ja z kimś z zaufanych ludzi (a czasem tylko sam) wybieraliśmy się późnym wieczorem na któreś z nowych osiedli i tam rozkładaliśmy po blokach, przystankach itd., podobnie jak to było na początku z „Robotnikiem”. Wtedy również i w ciągu dnia nosiłem w torbie przewieszanej przez ramię (typu „raportówka”) mniejszą ilość i przy nadarzącej się okazji podrzucałem gdzie się dało. Np. wysiadając z tramwaju, zostawiałem zawsze na siedzeniu. Raz motorniczy zauważył to w lusterku i zawołał mnie. Myślałem, że będzie kazał mi to zdjąć z siedzenia, ale on poprosił tylko o parę sztuk dla siebie.

Wreszcie pod koniec zimy lub wczesną wiosną 1980 r. doszedł **Andrzej Szaja**, jako trzeci jawny działacz opozycji gorzowskiej obok mnie i **Zygmunta Jędrzaka**. Przejął on lwią część tej wiejskiej działalności. Andrzej był młodym rolnikiem z Krzynki koło Barlinka, w odróżnieniu ode mnie znał bieżące problemy wsi z autopsji i dlatego potrafił lepiej ode mnie znaleźć wspólny język z chłopami. Miał dobry motocykl jawa, na którym objeżdżał całe województwo, lubił zresztą na tym motocyklu ścigać się z esbekami i wprowadzać ich w pole – w dosłownym znaczeniu tego słowa. W swojej okolicy znał każ-

95 Ryszard Chromicz (ur. 1949 Lemierzycy), z zawodu ślusarz, w latach 1966–1978 pracownik Kostrzyńskich Zakładów Papierniczych, Fabryki Domów, Gorzowskiego Przedsiębiorstwa Instalacji Przemysłowych, Gorzowskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego, od 1978 w Elektrociepłowni w Gorzowie – brygadzysta oddziału mechanicznego, w lecie 1980 w swoim zakładzie jeden z inicjatorów petycji domagających się podwyżki, 6 IX 1980 współzałożyciel NSZZ „Solidarność” w Elektrociepłowni; 13 IX 1980 współzałożyciel i członek gorzowskiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność”, delegat na I Walny Zjazd Delegatów Regionu Gorzów NSZZ „S” (1981), internowany w okresie 13–29 XII 1981 w Wawrowie, obecnie (2008) na emigracji w Kanadzie.

dą miedzę, tak że przyjeżdżająca z Gorzowa „bezpieka” nie miała z nim żadnych szans. Raz dał popis po skarpach i wzgórzach w okolicy mojego domu, wprowadzając zamęt w ich ekipie. Gdy powstawała „Solidarność Wiejska” (taką nazwę początkowo miał nosić związek rolników), w kilku gminach organizowali ją ludzie, z którymi Andrzej zdążył zawrzeć znajomość przed Sierpniem. Szaja ze swego motocykla czasem rozrzucił ulotki. Dlatego odbierał z Warszawy większą niż ja ilość „Placówki”. Jeden raz, latem 1980 r. przerzucił jednorazowo do woj. gorzowskiego prawie 2 tysiące egzemplarzy bibuły różnego rodzaju, ustanawiając rekord w tej dziedzinie.

Moje zatrudnienie i bezrobocie

Dość szybko, bo w parę tygodni po przeprowadzeniu się do Gorzowa podjąłem pracę jako nauczyciel historii w szkole podstawowej nr 9 na Dolinkach. Już nie pamiętam od kogo dowiedziałem się, że w kuratorium pracował mój nauczyciel angielskiego ze średniej szkoły **Janusz Hrybacz**⁹⁶ (brat Jerzego, późniejszego członka Zarządu Regionu „S”, skazanego na więzienie w stanie wojennym za udział w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym w Zakładach Mechanicznych). Janusz pomógł mi zatrudnić się w „dziewiątce”, gdzie uczyłem historii do końca roku szkolnego, czyli przez niecałe pięć miesięcy. Po zakończeniu roku szkolnego nie przedłużono mi pracy w szkolnictwie. W tym okresie przyjaźniłem się z kilkoma nauczycielami z tej szkoły, ale krótko, bo byli oni wołani na SB, namawiani do współpracy lub straszeni, tak że zaczęli mnie unikać. Z tej grupki jedyną osobą, która interesowała się opozycją i nie bała się mnie odwiedzać, była nauczycielka nauczania początkowego **Alina Iwanowska**.

Alinę zatrzymano w moim domu, a potem wzywano ją na „rozmowy”, w czasie których „bezpieka” interesowała się szczegółami z prywatnego życia – mojego i żony, w tym np. czy pijam jakiś alkohol, a jeżeli tak, to czy wódkę czy wino, a jeśli wino, to jakiego rodzaju itp. Nie wiem, do czego to było im potrzebne; mam nadzieję, że nie planowali mnie otruć. Alina przyjaźniła się z nami przez cały nasz gorzowski okres. Wyszła za mąż za sympatyka opozycji – marynarza **Stanisława Iwanowicza** ze Słońska, o którym wyżej wspomniałem.

Następna praca, prawie bezpośrednio po szkole, to Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Szczecinie Oddział w Gorzowie. Teoretycznie w Gorzowie, bo archiwum mieściło się w budynku szkoły podstawowej – „tysiąclatki” w miejscowości Lubczyno około 3 km od Łupowa. Pani **Helena Kuźmicka**, która była jednym z pierwszych moich cichych współpracowników, dowiedziawszy się, że nie przedłużono mi pracy w szkolnictwie na następny rok szkolny, poradziła mi, abym zainteresowałem się tym archiwum, gdyż dowiedziała się, że potrzebny jest tam archiwista.

Kierownik Oddziału – pan **Relis**⁹⁷ przyjął mnie na wakujący etat młodszego archiwisty. Podobało mi się tam, gdyż zastałem miłe towarzystwo pań archiwistek, z który-

96 Janusz Hrybacz (ur. 1925 w Wilnie), absolwent Akademii Handlowej w Szczecinie, żołnierz AK w okręgu wileńskim, m. in. brał udział w operacji „Ostra Brama”, 19 VII 1944 rozbrojony i wcielony do Armii Czerwonej, po odmowie złożenia przysięgi wywieziony do pracy przy wyrębie lasów podmoskiewskich, w styczniu 1946 powrócił do Polski i osiedlił się w Gorzowie, gdzie m. in. uczył w Technikum Finansowym, potem wizytator szkół średnich, od 1987 na emeryturze, autor wspomnień z czasów wojny (J. Hrybacz, *Karta dziejów wileńskiej i nowogrodzkiej Armii Krajowej*, Gorzów 2006).

97 Florian Relis (ur. 1941 Rogoźno Wlkp.); absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie (1966), doktorat na UAM w Poznaniu (1982), do 1975 r. zatrudniony w Zakładach Przemysłu Jedwabniczego „Silwana” w Gorzowie; kierownik WAP w Szczecinie Oddział w Gorzowie 1976–1990; I IX – I XII 1978 p. o. dyrektora Woj. Archiwum Państwowego w Zielonej Górze; od 1990 r. na rencie.

mi czasem prowadziliśmy interesujące rozmowy polityczne. Oczywiście pod nieobecność kierownika, członka PZPR, którego wtedy często nie było, gdyż zajęty był pracą doktorską, jego zaś głównym autorytetem naukowym był komunistyczny ideolog prof. **Wiatr**⁹⁸. Sama praca to było przeważnie żmudne porządkowanie stert starych dokumentów, przywiezionych tam w poprzednich latach z Gorzowa i często rzuconych bez ładu i składu. Ale czasem było to interesujące dla mnie z tej racji, że znajdowało się tam wiele starodruków w całości lub w części po łacinie, zatem w jakiś sposób łączyło się to z moim wykształceniem. Ale także i nowsze dokumenty były dla mnie ciekawe. Kierownik polecił mi odkładanie na bok zauważonych przy okazji poloników czyli śladów polskości w regionie przed rokiem 1945. To zaczęło mnie całkiem poważnie pasjonować, tak że nawet chodził mi po głowie pomysł napisania pracy doktorskiej na ten temat.

Jak już wspomniałem przy okazji omawiania „Placówki”, tę większą lokalizację archiwum wykorzystywałem czasem do dystrybucji tego pisma niezależnego ruchu chłopskiego po pobliskich miejscowościach. Czasem też korzystałem z nieobecności kierownika, aby „urwać się” przed zakończeniem pracy w piątek lub sobotę, szczególnie gdy musiałem „wyskoczyć” do Warszawy lub do Słońska. Zakładałem, że esbecy nie pilnują mnie przez cały czas obecności w archiwum (w tamtym okresie widziałem ich już tylko czasami od momentu wyjścia z pracy) i nie myliłem się, bo jak wyszedłem godzinę lub dwie przed czasem, to zawsze spokojnie dojechałem gdzie trzeba. Na wszelki wypadek zbadałem, czy da się dojść polnymi drogami nad Wartą do stacji kolejowej na Wieprzycach. Ponieważ pracowałem tam latem i jesienią, to miałem odpowiednie warunki klimatyczne dla półtoragodzinnego marszu przez pola i łąki do Wieprzyc, więc kilka razy tę sztuczkę stosowałem. W tamtej scenerii ewentualna inwigilacja byłaby widoczna z daleka.

Myśli o doktorskiej dysertacji musiałem porzucić, gdy po paru miesiącach moje zatrudnienie urwało się nagle bez wypowiedzenia – w ostatni dzień okresu próbnego. Kierownik Oddziału wręczył mi pismo sygnowane przez dyrektora w Szczecinie, w którym nie było podanego żadnego formalnego powodu, ale też prawo tego nie wymagało na okresie próbnym. Kierownik powiedział, że poda mi faktyczny powód, ale „między nami”. Zasłaniał się szczebińskim dyrektorem, którego ponoć postraszyła „bezpieka”. Sam jednak pochwalił się paroma informacjami o moich zatrzymaniach oraz o rewizji, nie wyjaśniając, skąd jest tak dobrze poinformowany.

Dzisiaj, jako znak czasu, wypada mi zaznaczyć, że zostałem potraktowany z niezwykłą życzliwością przez obecną Dyрекcję Archiwum Państwowego w Gorzowie i właśnie z tej strony wyszło zaproszenie dla mnie do spisania niniejszych wspomnień.

Następna moja praca była w Oddziale Wojewódzkim Państwowego Zakładu Ubezpieczeń (PZU) na pl. Staromiejskim, dokąd zostałem skierowany z Wydziału Zatrudnienia. Byłem przyuczony do wyceny szkód rolnych wskutek klęsk żywiołowych i miałem objeżdżać teren jako inspektor ubezpieczeniowy. Nie bardzo podobała mi się ta dziedzina, ale cieszyłem się, że nowe zajęcie daje mi okazję do nawiązywania kontaktów z rolnikami całego województwa. Służba Bezpieczeństwa już wiedziała, że zajmuję się również niezależnym ruchem chłopskim, toteż sprawę ucięto. Po trzech miesiącach okresu próbnego nie przedłużono mi umowy o pracę, również bez formalnego powodu. Wydawał się

98 Jerzy Józef Wiatr (ur. 1931 w Warszawie) – polski socjolog i politolog, działacz PZPR w okresie PRL, profesor i wykładowca akademicki, poseł na Sejm I, II i III kadencji, były minister edukacji narodowej (http://pl.wikipedia.org/wiki/Jerzy_Wiatr).

być tym zaskoczony kierownik mojego działu. Odbyło się to w ten sposób, że kadrowa poprosiła mnie do siebie i wręczyła mi odpowiednie pismo podpisane przez dyrektora (po latach nie pamiętam nazwiska tego sługusa „bezpieki”).

Była pierwsza połowa 1980 r. Wtedy przez około 4 miesiące nie mogłem otrzymać żadnej pracy. W Wydziale Zatrudnienia Urzędu Miejskiego dostawałem skierowania do różnych instytucji, na ogół w charakterze takiego czy innego referenta (w końcu miałem również średnie wykształcenie ekonomiczne) i albo mnie w zakładzie nie chciano, albo zwalniano już po pierwszym dniu bez podania powodu, albo gdy przyszedłem pierwszy dzień do nowej pracy, to okazywało się, że nagle to stanowisko zlikwidowano. Tak było np. w Miejskiej Bibliotece Publicznej i w Gorzowskich Zakładach Roszarnicznych. Wyraźnie próbowano mnie złamać, pozbawiając środków do życia przez kilka miesięcy. W tym okresie byłem wezwany na przesłuchanie w charakterze oskarżonego o rozpowszechnianie informacji mogących wyrządzić szkodę interesom PRL (ulubiony paragraf kpk na przesłuchaniach działaczy opozycji w kraju). Na koniec, po formalnym przesłuchaniu z protokołem, prowadzonym przez jakiegoś niższego szczeblem oficera Wydziału Śledczego SB, któremu oświadczyłem, że nie będę zeznawał przeciw samemu sobie, wszedł do pokoju naczelnik Wydziału III SB **Kawala**⁹⁹ i próbował mi tłumaczyć, że to, co robię, nie ma sensu, bo oni i tak wszystko wiedzą. Powiedziałem mu, że w takim razie wiedzą, gdzie szukam pracy, czyli jasne, kto mi uniemożliwia zatrudnienie. Odrzekł: *Jest pan sam sobie winien*. Odpowiedziałem, że rozumiem to jako przyznanie się do represji z powodów politycznych. Wyraźnie zastanawiał się, co na to powiedzieć, w końcu usłyszałem, że nie ja tu jestem od oskarżania i przesłuchanie zakończono. Było oczywiste, że kiedy nie udało się taktyka izolowania mnie od społeczeństwa Gorzowa poprzez odstraszenie wszystkich znajomych ode mnie i od Haliny, a także od naszego domu, przystąpiono do uderzenia w podstawy naszej egzystencji materialnej.

Halina pracowała jako nauczycielka w Zasadniczej Szkole Rolniczej w Witnicy, która była filią Technikum Rolniczego w Kamieniu. Esbecy odwiedzali tam dyrektora, ale nie ugiął się i nie zwolnił jej. Dopiero na początku stanu wojennego została administracyjnie przeniesiona do Szkoły Podstawowej nr 2 w Gorzowie, co było po prostu nieuzasadnioną degradacją. Jedna pensja nie wystarczała na życie czteroosobowej rodziny, zresztą nie czułem się dobrze na utrzymaniu żony. Przeżyliśmy dzięki pomocy ludzi dobrej woli. Wtedy zaskoczyła mnie solidarność paru osób, które nie miały odwagi współpracować z opozycją nawet potajemnie, ale dowiedziawszy się o naszej sytuacji rodzinnej, pospieszyły dyskretnie z pomocą finansową. Ludzie przekazywali nawet ciuszki i zabawki dla naszych dzieci. Winien jestem publiczne podziękowanie znanemu specjalście chorób wewnętrznych z ul. Żeromskiego (jego nazwiska nie udaje mi się przypomnieć). Dowiedziawszy się o mnie, pan doktor w tym czasie odmawiał przyjmowania zapłat za prywatne wizyty domowe u mojej mamy¹⁰⁰.

99 Tadeusz Kawala (ur. 1931), funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa w Zielonej Górze (1951–1972), od 1973 roku w Gorzowie II zastępca komendanta powiatowego i miejskiego MO ds. SB, od 1 X 1979 naczelnik Wydziału III SB KW MO, w październiku 1985 zwolniony ze służby (P. S k u b i s z, *Twarze gorzowskiej bezpieki. Informator personalny*, Szczecin 2008, s. 64).

100 Chodzi o znanego w Gorzowie lek. med. Wiktora Frańczaka (ur. 1925 Chwałki k. Sandomierza – zm. 28 XII 1984 w Gorzowie), absolwent Akademii Medycznej w Poznaniu, kierownik przychodni gorzowskiej „Przemysłówki” na ul. Kosynierów Gdyńskich, później współtwórca przychodni na ul. Manifestu Lipcowego (obecnie Piłsudskiego), gdzie wisi poświęcona mu tablica pamiątkowa (informacje od córki p. Anny Dojs).

Pewien rozgłos na mój temat przysporzył także aktywnych sympatyków. Informacja o pozbawieniu mnie pracy w archiwum ukazała się bowiem w komunikacie KSS „KOR”, w zestawieniu przypadków łamania praw człowieka w PRL, co następnie cytowała „Wolna Europa”. Zadbalem też, aby duże porcje tego komunikatu trafiły do kolportażu w Gorzowie i Szczecinie. Później „Wolna Europa” mówiła o wyrzuceniu mnie z pracy w PZU, cytując oświadczenie na temat represji w PRL wydane przez Światową Federację Wolnych Związków Zawodowych w Brukseli.

Wkrótce potem doszło do kontaktów z różnymi dawnymi znajomymi, którzy wcześniej nie mieli pojęcia, że po latach jestem znowu w Gorzowie. Jeden z ciekawszych przypadków dotyczył pani profesor **Weroniki Kurjanowicz**¹⁰¹ – polonistki i emerytowanej wicedyrektorki Technikum Ekonomicznego, która była moją egzaminatorką na maturze. Będąc na wycieczce w Szwajcarii, zwiedzała Muzeum Polskie w Rapperswillu, gdzie eksponowano wydawnictwa bezdebitowe (tj. opublikowane i kolportowane z pominięciem cenzury) w PRL. Wiedziała też o moich związkach z tego typu działalnością. Rozpoznawszy mnie na ulicy, traktowała mnie w rozmowie z niezwykle serdecznością. Byłem tym zaskoczony, a także faktem, że pani profesor okazała zainteresowanie wydawanymi bez cenzury publikacjami literackimi. W tym samym czasie spotkałem się także z serdecznością ze strony niektórych moich innych byłych nauczycieli. Okazało się, że słyszeli o mnie z Radia Wolna Europa lub od wspólnych znajomych. Niektórzy wykazywali zaniepokojenie, jak sobie radzę bez pracy. Dodawał mi otuchy ten stosunek do mnie ze strony nauczycieli szkoły, na wspomnienie której czułem wcześniej niesmak, a może nawet nienawiść z powodu opisywanej na początku tych wspomnień konieczności powtarzania klasy maturalnej. Wtedy wyzbyłem się tych negatywnych uczuć, uzmysławiając sobie, w jakich skomplikowanych układach systemu politycznego PRL musieli wykonywać swoją pracę pedagodzy, czasem w obliczu różnych zakulisowych nacisków ze strony aparatu partyjnego lub Służby Bezpieczeństwa. A dzisiaj, gdy jest już dostęp do części archiwów Instytutu Pamięci Narodowej, widać wyraźnie, do jakiego stopnia te czynniki ingerowały w życie każdej instytucji oświatowej.

Był już czerwiec 1980 r., kiedy nadal nie mogłem podjąć żadnej pracy lub byłem wyrzucany na drugi dzień po jej podjęciu. Z jednej strony miałem dużo czasu na działalność i podróże, z drugiej zaś narastało we mnie rozgoryczenie, które spowodowało, że do dyrektora Wydziału Zatrudnienia Urzędu Wojewódzkiego pana **Wtorka** skierowałem list w ostrych słowach, w których protestowałem przeciwko *biologicznej metodzie walki z obywatelem o poglądach niezgodnych z oficjalnie obowiązującymi*. Zapytałem, czy jego zdaniem mam *publicznie zwrócić się do społeczeństwa o pomoc pod gorzowską katedrą*. Pan Wtorek odpisał mi, prosząc o przybycie do jego biura. Wręczył mi adres Przedsiębiorstwa Remontowego Melioracji Wodnych z siedzibą w Łupowie i powiedział, abym poszedł tam do dyrektora. W tym przedsiębiorstwie zostałem zatrudniony jako referent ds. wynagrodzeń. Później od niektórych działaczy „Solidarności” usłyszałem niepochlebne opinie o dyrektorze Wtorku z Urzędu Wojewódzkiego, ale wówczas zareagował pozytywnie na moje pismo i w swoim biurze odnosił się do mnie z szacunkiem, co czuję się w obowiązku tu podać. Natomiast dyrektorowi tej firmy w Łupowie (jego nazwiska, niestety, nie pamiętam) winien jestem podziękowanie za to, że oparł się naciskom SB, o

101 Weronika Kurjanowicz (ur. 1927 Grodno), absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Poznańskim, nauczycielka, dyrektor Zespołu Szkół Ekonomicznych w Gorzowie, w ZSE pracowała w latach 1952–1983, funkcję dyrektora pełniła w okresie 1981–1983, obecnie (2008) na emeryturze (J. Zysnarski, *Encyklopedia*, dz. cyt., s. 324).

czym wiedziałem na bieżąco od pracowników. Byłem tam zatrudniony przez jakieś trzy miesiące, a po powstaniu „Solidarności” przenieśliem się do pracy w dziale organizacji widowni Teatru im. Osterwy, gdzie w mojej sprawie z dyrektorem rozmawiał przedsiębiorniowy sympatyk opozycji i współorganizator „Solidarności” w teatrze, aktor **Stanisław Gałęcki**¹⁰².

Nowi działacze i rocznica zbrodni katyńskiej

Wiosna 1980 r. to czas, kiedy do mnie i **Zygmunta Jędrzaka** dochodzili nowi jawni działacze oraz sympatycy, którzy coraz mniej bali się kontaktować z nami jawnie, tak że w zasadzie niewiele było już spraw ściśle ukrywanych poza kanałami kolportażu (które trzeba było chronić właściwie tylko ze względu na straty powodowane konfiskowaniem bibuły przez SB), niektórymi sprawami finansowymi oraz szczątkowym minikontrwywiadem (o którym już wspominałem). W tajemnicy też pozostawały sporadycznie dokonywane akcje ulotkowe i plakatowe, a także wyjazdy na spotkania do innych miast, już nie ze względu na strach przed represjami, ale dlatego że „bezpieka” starała się utrudniać współpracę ludzi z różnych miast poprzez prewencyjne zatrzymywanie na 48 godzin przed lub w momencie wyjazdu. Gdy chodzi o naszych sympatyków w Gorzowie, to zaczęliśmy respektować konspiracyjny charakter kontaktów tylko wtedy, gdy ktoś sobie to wyraźnie zastrzegł. W ten sposób zaczęła istnieć działalność jakby równoległe na dwóch płaszczyznach – jawnej i tajnej. W tym okresie można zatem mówić już o środowisku opozycyjnym, a nie tylko o jednym a potem dwóch „samotnych strzelcach” otoczonych grupkami cichych sympatyków, jak to było jeszcze rok wcześniej. Oczywiście nie do pomyslenia była taka sytuacja, jak np. we Wrocławiu, gdzie na początku 1980 r. w lokalnych biuletynach opozycyjnych można było przeczytać zapowiedzi wykładów i odczytów z datą, godziną i adresem.

O **Andrzeju Szai** już mówiłem w rozdziale o „Placówce”. Kolejnym, czwartym jawnym działaczem naszej gorzowskiej grupy został **Marian Jędryś**, rencista inwalida, były więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych, mieszkający przy ul. Dąbrowskiego. Był znajomym **Zygmunta Jędrzaka** z dawnych lat. Zanim poznaliśmy się, pan Marian, zwany w naszym środowisku „Dziadkiem”, nagrywał z „Wolnej Europy” różne teksty opozycyjne, które całymi dniami przepisywał na maszynie na bardzo cienkim papierze przebitkowym, tak że jednorazowo mógł „nastukać” do 10 egzemplarzy. W ten sposób, przepisując jedną stronę dziesięć razy, produkował do stu egzemplarzy różnych oświadczeń KOR-u i innych niezależnych ugrupowań. Rozdawał je następnie wśród sąsiadów i znajomych, a jak mu trochę zostawało, to mimo swego stanu zdrowia objeżdżał miasto na motorowerze i rozkładał na przystankach, w poczekalniach, przychodniach lekarskich itp. Do tych oświadczeń czasem dopisywał swoje własne małe artykułiki, „wydając” w ten sposób coś w rodzaju biuletynu. Sporadycznie odwiedzał działaczy opozycji w Poznaniu, a raz był nawet w Warszawie u **Jacka Kuronia** (lubił też do niego dzwonić), wówczas przywoził sobie bibułę, ale stan zdrowia nie pozwalał mu na częste wyjazdy, więc ratował się nagrywaniem tekstów z radia i przepisywaniem ich według wspomnianej metody. Nawet już w okresie, kiedy znaliśmy się i kiedy otrzymywał ode mnie bibułę

102 Stanisław Gałęcki (ur. 1929), emerytowany aktor, w gorzowskim teatrze pracował w latach 1979–1985 i ponownie w latach 1988–1991 i po roku 1995 (J. Zysnarski, *Encyklopedia*, s. 162).

regularnie, to go czasem zastałem przy maszynie do pisania, nadal pracowicie produkującego biuletyny na papierze przebitkowym. Mówiłem: *Panie Marianie, niech pan się tak nie męczy, przywieziemy więcej, jeśli trzeba*. Odpowiadał, że szkoda każdego egzemplarza i możemy to rozdać gdzie indziej.

„Dziadek” Marian miał swoją własną siatkę kolportażu i swój krąg sympatyków. Niektórych z nich poznałem osobiście, zostali potem działaczami „Solidarności” w swoich zakładach. Trudno mi dziś o nazwiska, ale pamiętam, że najaktywniejszym współpracownikiem „Dziadka” był młody człowiek, około 20-letni – nazywał się **Pieńkowski** (lub Pińkowski), ale z imieniem to już gorzej. Gdy pan Marian był chory, to właśnie ten chłopak pośredniczył w naszych kontaktach.

Sąsiadką „Dziadka” Jędrysa była pani **Irena Gruszczyńska**, której syn **Bogusław Gruszczyński**¹⁰³ mieszkał w Słubicach. Prawnik i przyszły członek Zarządu Regionu „Solidarności”, jeden z najaktywniejszych. Miał on już w tym czasie także swoje własne kontakty z działaczami opozycji w Poznaniu, m. in. ze **Stanisławem Barańczakiem** i **Jerzym Nowackim**.

Bogusława Gruszczyńskiego poznałem na parę miesięcy przed Sierpniem, a przez cały okres „Solidarności” był on jednym z moich bliskich przyjaciół i współpracowników. Razem jeździliśmy do Gdańska, do Warszawy, do Łodzi. Wówczas, pierwszy kontakt z Bogusławem wyraźnie dodał mi otuchy. Znaczyło to bowiem, że wbrew najróżniejszym tu opisanym przeciwnościom nie tylko udało się jako tako rozwinąć działalność opozycyjną w Gorzowie (przynajmniej kolportaż warszawskich wydawnictw na skalę niewyobrażalną jeszcze rok wcześniej), ale aktywne kontakty sięgały nawet do małych miast województwa, takich jak Barlinek czy Słubice. Do tego dochodziły jeszcze skromniejsze i bardziej utajnione kontakty z kilkoma innymi miejscowościami, których ciągle przybywało dzięki podróżom **Andrzeja Szaji** po całym terenie.

Wkrótce po „Dziadku” doszedł kolejny jawny działacz, a właściwie to został zdekonspirowany przez wpadkę w czasie plakatowania centrum Gorzowa z okazji 40. rocznicy Katynia w kwietniu 1980 r. Był to **Zbigniew Mazurek**¹⁰⁴, którego znałem z krótkiego okresu wspólnego grania w zespole muzycznym w Technikum Ekonomicznym. Zbyszek mimo młodego wieku był na rencie inwalidzkiej z powodu częstych ataków egzemy na rękach. Dzięki temu, że miał dużo czasu, był bardzo przydatny w naszej działalności. Nasze pierwsze kontakty latem 1979 roku wzięły się stąd, że próbowałem wtedy odszukiwać i odnawiać znajomości z dawnymi kolegami ze szkoły. Z tych ludzi mało kto mieszkał w tym czasie w Gorzowie, często osiedlali się gdzie indziej po studiach, a niektórzy po

103 Bogusław Gruszczyński (ur. 1946 Kłodzko), studiował na WAM w Łodzi, inwalida wojskowy, w sierpniu 1980 przebywał w Gdańsku podczas strajku w Stoczni, we wrześniu 1980 współzałożyciel i wiceprzewodniczący filii gorzowskiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Słubicach, członek Regionalnego Komitetu Więzionych za Przekonania (1981), delegat na I Walny Zjazd Delegatów NSZZ „S” w Gorzowie, 26 IV 1981 wszedł w skład Zarządu Regionu, autor programu działania Zarządu Regionu NSZZ „S” w Gorzowie, delegat na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „S” (członek komisji programowej), 12 X 1981 zrezygnował z członkostwa w Zarządzie Regionu, gdyż nie zgadzał się z przyjętymi na zjeździe „S” dokumentami programowymi oraz przyjętą linią programową jego zdaniem zbyt ugodową wobec PZPR, zatrzymany i internowany 15 XII 1981 – 24 II 1982 w Wawrowie, Areszcie Śledczym w Szczecinie, ponownie w Wawrowie i Głogowie oraz we Wrocławiu, jesienią 1983 przeprowadził się do Radomia, gdzie do dziś mieszka. Inwigilowany przez SB i NRD-owską Stasi.

104 Zbigniew Mazurek (ur. 1953). Pod datą 20 lipca 1979 biuletyn KSS „KOR” odnotował: *W Strzelcach Krajeńskich wciągnięci do samochodu MO na osobistą rewizję współpracownicy „Placówki” Zbigniew Mazurek i Barbara Olejniczak. Zabrano egzemplarze „Placówki” (Dokumenty KOR i KSS „KOR”, dz. cyt., s. 425)*. Z. Mazurek był internowany w stanie wojennym w okresie 13 XII 1981 – 2 II 1982 w Wawrowie i Głogowie.



I Walny Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, kwiecień 1981. Widoczni od lewej: Bogusław Gruszczyński i Stanisław Siekanowicz (tyłem) (fot. Henryk Serwaczak, ze zbiorów Bogusława Gruszczyńskiego)

latach stali się konformistami. Paru jednak chętnie zostało moimi cichymi współpracownikami, w tym Zbyszek. Był to chłopak bardzo odważny, o oryginalnych pomysłach, a nade wszystko wiecznie promieniowała od niego pogoda ducha i dobry humor. Internowani w Gorzowie, a następnie w Głogowie pamiętają go, jak w czasie tych ponurych dni wybuchali salwami śmiechu, gdyż dobry humor i celne powiedzonka nie opuszczały go nawet w takich sytuacjach. Nie wiem, dlaczego od początku internowania przyłgnął do niego przydomek „Kufel”, pod którym Zbyszek stał się ogólnie znany bardziej niż pod nazwiskiem. Pamiętam jak jeszcze przed Sierpniem prawie kładłem się ze śmiechu, gdy przyszedł do mnie prosto z przesłuchania na komendzie przy Teatralnej i demonstrował, jak tam rozśmieszył esbeków do tego stopnia, że w końcu kazali mu się wynosić.

Zbyszek początkowo działał niejawnie, w trzyosobowej grupie, która obejmowała również dwoje jego przyjaciół – pracującego w administracji PKP Józka i dziewczynę mieszkającą w Baczynie (imienia już nie pamiętam). Sprytny i pomysłowy „Kufel” był m. in. prekursorem ulotkowania centrum Gorzowa, a „bezpieka” nie mogła zorientować się, kto to robi. Przesłuchiowano w tej sprawie paru moich znajomych, ale i tak nikt nic nie wiedział. Wreszcie, w kwietniu, dotarł do nas rulon zawierający kilkanaście plakatów o wielkości afiszy teatralnych i profesjonalnej grafice, wydanych przez opozycję z okazji okrągłej, 40-tej rocznicy zbrodni w Katyniu. Nie pamiętam, skąd te plakaty pochodziły, chyba od kogoś z ROPCiO. Dałem parę księdzu **Witoldowi Andrzejewskiemu**, a zostało równo dziesięć i zainteresował się nimi Zbyszek, mówiąc, że jego grupa rozklei je przy użyciu kleju butapren, co uczyni je prawie niemożliwymi do zdarcia. Myślałem, że będą to robić w jakichś mało uczęszczanych miejscach, gdyż w odróżnieniu od rozrzucania ulotek noszenie ze sobą słoika z klejem i smarowanie dużych powierzchni pędzlem

zabiera trochę czasu. Oni jednak zdecydowali się na samo centrum miasta – od kina „Słońce” do restauracji „Słowiańskiej”. Akcja szła im bardzo sprawnie, minutę czasu na jeden plakat, a ponieważ było już po zmierzchu, to przechodnie przeważnie nie zwracali na to uwagi, tak że dopiero, jak ktoś podszedł blisko, to mógł się zorientować w treści obwieszczenia. Kiedy już wałkowali przedostatni plakat na samym rogu Chrobrego i Sikorskiego, zostali zatrzymani przez mundurową milicję. Na Teatralnej esbecy grozili im rozprawą sądową i w efekcie oboje przyjaciół Zbyszka przyznali się do znajomości ze mną i wycofali się z działalności, a sam Zbyszek nie ugiął się, zostając w ten sposób jednym z naszych czołowych działaczy. Przytwierdzone butaprenem plakaty były w nocy zdzierane szpachlówkami przez jakichś mężczyzn w roboczych kombinezonach, ale jeden został przeoczony – na murze bloku przy ul. Strzeleckiej (chyba dlatego że nie był przy samej głównej ulicy), tak że jeszcze następnego dnia przed południem zatrzymywali się przed nim przechodnie.

Po paru dniach o zatrzymaniu Zbyszka i dwóch pozostałych osób oraz o groźbach pod ich adresem mówiła „Wolna Europa”. Z tej okazji zostałem wezwany na formalne przesłuchanie z protokołem jako podejrzany o „szkalowanie dobrego imienia PRL za pośrednictwem wrogich ośrodków”. Odmówiłem odpowiedzi, więc zapowiedziano mi, że mam oczekiwać na wezwanie do prokuratury. Był to okres, kiedy zaczęto urządzać procesy sądowe działaczom opozycji w małych miastach, zwłaszcza tam gdzie działali pojedynczo lub w małych grupkach. Myślałem wówczas, że dołączę do tej serii, ale zapowiedziane wezwanie do prokuratury nigdy nie przyszło, być może komuniści nie chcieli rozgłosu o Katyniu, a mogli się spodziewać, że taka właśnie będzie moja linia obrony, jeśli dojdzie do procesu.

40. rocznicę sowieckiego mordu na oficerach polskich uczciliśmy w kwietniu 1980 r. także w inny sposób. Z okazji rocznicy w środowisku KPN wydana została niewielka książka. Nie pamiętam jej tytułu, chyba nazywała się po prostu „Katyń”. Zawierała mało tekstu, ale za to ponad 20 całostronicowych fotografii wykonanych w czasie częściowej ekshumacji mogił w lasu katyńskim. Po najeździe Hitlera na ZSRR Niemcy, dowiedziawszy się od miejscowej ludności o mordzie na oficerach polskich, próbowali propagandowo wykorzystać dla siebie ten fakt, zezwalając na częściową ekshumację, do której dopuszczono przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Wówczas wykonano te nieznanne potem w PRL, niezwykle wstrząsające zdjęcia, m. in. przedstawiające ciała ofiar w zbliżeniu, z rękoma związanymi do tyłu sznurem lub drutem kolczastym, z workami zarzuconymi na głowy, a po odsłonięciu głów – z widocznymi wyraźnie ranami postrzałowymi w tyle czaszek. Kilka zdjęć pokazywało ułożone szeregami zwłoki na tle najbliższego krajobrazu, w którym dominował brzoźowy las. Tych książek otrzymaliśmy dla Gorzowa bardzo mało. Zostały błyskawicznie rozchwyte. Wówczas mój przyjaciel **Staszek Oczkoś** (obecnie właściciel zakładu fotograficznego w budynku starego PDT) z własnej inicjatywy wykonał reprodukcje zdjęć z książki – kilkaset czarno-białych kompletów formatu pocztówkowego. Staszek sam pakował komplety do kopert, po czym rozprowadziliśmy je odpłatnie (zwrot kosztów materiału) w Gorzowie i Szczecinie.

Niedługo potem zgłosił się do mnie aplikant sędziowski z Gorzowa **Zbigniew Bełz**¹⁰⁵, który najpierw trafił do **Marka Jurka** pod jego poznański adres zamieszczony

105 Zbigniew Bełz (ur. 1955), asesor w Sądzie Rejonowym w Gorzowie, zwolniony z powodów politycznych (1981), członek Okręgowego Komitetu Więzionych za Przekonania (1981), delegat na I Walny Zjazd Delegatów NSZZ „S” Regionu Gorzów, wybrany do Zarządu Regionu, delegat na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „S”, gdzie był w prezydium zjazdu i wybrany do Komisji Rewizyjnej NSZZ „S”, członek założyciel

w piśmie Ruchu Młodej Polski „Bratniak”, a Marek skontaktował go ze mną. Zbyszek kolportował nasze wydawnictwa (głównie KOR-owski „Biuletyn Informacyjny”) m. in. w środowisku gorzowskich prawników. Miał on też swój własny kontakt z Wrocławiem (jako absolwent tamtejszego uniwersytetu), tak że w momencie kiedy poznaliśmy się, opozycja nie była mu całkiem obca. Sylwetki Zbigniewa Bełza chyba nie ma potrzeby tu szerzej przedstawiać, jako że później stał się znanym członkiem Zarządu Regionu „Solidarności”, a w stanie wojennym było o nim głośno w mieście jako o organizatorze i pierwszym przywódcy miejscowego podziemia. O mojej późniejszej współpracy ze Zbigniewem będzie przy okazji omawiania lat 1982–1983.



I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, Gdańsk, wrzesień 1981 – prezydium zjazdu. Trzeci od lewej Zbigniew Bełz (fot. Henryk Serwaczak, ze zbiorów Bogusława Gruszczyńskiego)

„Silwana” i grupa Ireny

W przeciwieństwie do Zakładów Mechanicznych i „Stilonu” długo nie było liczących się kontaktów w trzecim co do wielkości przedsiębiorstwie Gorzowa – Zakładach Przemysłu Jedwabniczego „Silwana”. Przełom nastąpił dopiero pod koniec maja 1980 r. W Klubie Prasy i Książki „Empik”, dokąd lubiłem zachodzić na kawę i przeglądać za-

Polskiej Partii Demokratycznej (1981), 12 grudnia 1981 przebywał we Wrocławiu i nie został internowany, następnie ukrywał się, 13 VI 1982 stanął na czele konspiracyjnej Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „S”, wszelkie oświadczenia RKW podpisywał własnym nazwiskiem, zatrzymany 15 IV 1983 w Gorzowie, 27 IX 1983 w gorzowskiej prasie ukazało się jego oświadczenie o rezygnacji z dalszej działalności podziemnej, po zwolnieniu próbował włączyć się z powrotem w prace podziemnej „S” w Gorzowie, nie zostało to jednak zaakceptowane przez innych działaczy RKW, na początku roku 1987 wyemigrował do Kanady, gdzie mieszka do dziś, założył tam „Solidarność Walcząca”, obecnie (2008) jest redaktorem „Gazety” – dziennika polonijnego.

chodnie gazety, w środek kilku czasopism wpiąłem opozycyjne biuletyny. Zauważył to młody człowiek siedzący przy najbliższym stoliku. Powiedział, że chciałby mnie poznać. Wyjaśnił, że pracuje w „Silwaniu” i zna tam ludzi, którzy już wcześniej kolportowali ulotki i opozycyjne pisma. Wyglądało mi to mało wiarygodnie, a nawet zastanawiałem się, czy nie mam do czynienia z prowokacją. Ale istotnie – ludzie, z którymi mnie poznał, stanowili taki krąg, jakby towarzysko-opozycyjny, w większości w wieku około 30 lat. W ten sposób trafiłem do pracowników „Silwany”, a poprzez nich do paru innych, zatrudnionych w mniejszych firmach.

Wiesław Beń, bo tak nazywał się człowiek poznany w „Empiku”, zaaranżował spotkanie z dwoma najaktywniejszymi wówczas osobami z tej grupy – **Marianem Moszką** i **Ireną Ptaszek**¹⁰⁶. To właśnie Marian miał jakieś swoje wcześniejsze kontakty z kimś z opozycji w Warszawie i dzięki jego staraniom w „Silwaniu” od czasu do czasu pojawiała się bibuła. Irena była natomiast liderką tej grupy, kolportowała w zakładzie jakieś ulotki domowej produkcji na długo przed naszym poznaniem się. Natychmiast nawiązałem z Ireną współpracę, ona z czasem została przyjaciółką mojej żony Haliny i ta bliska więź trwała do końca naszego zamieszkania w Gorzowie. Ta niezwykle ofiarna i odważna kobieta potem organizowała „Solidarność” w swoim zakładzie. Nie przeszła w wyborach związkowych na skutek udanej manipulacji SB, która polegała na awanturniczym dyskredytowaniu i eliminowaniu ludzi znanych z poglądów antykomunistycznych. Irena Ptaszek w stanie wojennym znów da znać o sobie, stając się bodajże najbardziej prześladowaną osobą w gorzowskiej opozycji.

Irena stała się kolejną moją współpracowniczką, która nie bała się jawnej działalności. Była odważniejsza ode mnie. Z czasem poznałem więcej wspaniałych osób z tego kręgu, a niektórych dopiero w ostatnich tygodniach przed powstaniem „Solidarności”. Szkoda, że tak późno. Nie wiem, czy wszyscy się wówczas ze sobą znali. Ja też nie z każdym zdążyłem się zaprzyjaźnić bliżej i nie wszystkich już potrafię sobie przypomnieć. Utkwili mi w pamięci tylko ci ludzie z tego środowiska, którzy prędzej czy później zostali moimi przyjaciółmi lub współpracownikami:

– **Adam Opieł**¹⁰⁷, brat **Ireny Ptaszek**, późniejszy przewodniczący „Solidarności”

106 Irena Ptaszek (ur. 1947 Boczów – zm. 1992 Poznań), ukończyła Technikum Ogrodnicze (1965), spawaczka w ZPJ Silwana (1974–1982), działaczka NSZZ „S” z Silwany, działaczka Polskiej Partii Demokratycznej (1981), 12 XII 1981 przebywała na spotkaniu ugrupowań demokratycznych we Wrocławiu; wielokrotnie zatrzymywana przez SB na 48 godzin, 23 IV 1982 sądzona wraz z dwoma innymi osobami przez Sąd Wojewódzki w Zielonej Górze z art. 48 dekretu o stanie wojennym; uniewinniona z powodu tego, iż oskarżenia i świadkowie odwołali swoje zeznania ze śledztwa; uczestniczyła w zajściach 31 VIII 1982 w Gorzowie, za co 24 IX skazana przez Sąd Wojewódzki w Gorzowie na 3 lata pozbawienia wolności, więziona w ciężkich warunkach w Grudziądzu i Krzywańcu (k. Zielonej Góry), amnestionowana w lipcu 1983; 5 grudnia 1983 wraz z siostrą Lidią Świdkiewicz i bratem Adamem Opielem zatrzymana przez SB pod zarzutem kolportażu drugoobiegowych wydawnictw i 14 VI 1984 skazana przez Sąd Rejonowy w Gorzowie na 1 rok pozbawienia wolności, amnestionowana w lipcu 1984, po zwolnieniu nie mogła znaleźć pracy, prowadziła kiosk na pętli na Górczynie, a następnie pracowała w smażalni ryb na ul. Chrobrego, skąd została zwolniona na skutek nacisku SB, później na emigracji w Kanadzie, pracowała w firmie meblarskiej, zginęła w wypadku samochodowym wraz z bratem Adamem w czasie wizyty w Polsce w 1992 roku, kiedy przyjechała z zamiarem założenia fundacji pomagającej dzieciom z domu małego dziecka w Gorzowie. Dwukrotnie zamężna: 1. Leszek Ptaszek (zm. ok. 1976), z tego związku syn Robert; 2. Tadeusz Guśniowski (mieszka w Kanadzie).

107 Adam Opieł (ur. 1951 Gorzów – zm. 1992 Poznań), elektryk, w 1979 pracownik GPBP, w sierpniu 1980 wraz z siostrą Ireną Ptaszek woził żywność do strajkującej stoczni w Szczecinie, we wrześniu 1980 inicjator utworzenia NSZZ „Solidarność” w GPBP, 16 IX 1980 wybrany przewodniczącym Zakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S” w GPBP, funkcje przewodniczącego „S” w GPBP pełnił do wprowadzenia

w Gorzowskich Zakładach Budownictwa Przemysłowego (zwanymi popularnie „Przemysłówką”), członek założyciel MKZ, na początku stanu wojennego skazany na 4 lata więzienia za współudział w kierowaniu strajkiem w gorzowskim „Ursusie”. W latach 90. oboje – Adam i Irena zginęli w wypadku samochodowym. Ich grób na cmentarzu przy ul. Żwirowej odwiedzam w czasie swych wizyt w kraju. Nie potrafię o tej dwójce rodzeństwa myśleć bez wzruszenia. Na szczególną pamięć (nie tylko moją) zasłużyła właściwie cała patriotyczna rodzina Opielów, z którą blisko przyjaźniłem się aż do wyjazdu z Gorzowa. Wszyscy działali w opozycji, jawnie lub tajnie – brat Adam i cztery siostry: **Irka**, **Ula**¹⁰⁸, **Lidka**¹⁰⁹ i **Danka** (po mężu Iżykowska, sekretarka **Edwarda Borowskiego** w Zarządzie Regionu „Solidarności”)¹¹⁰, a także ich wspaniali Rodzice, których mieszkanie przy ul. Drzymały stało się miejscem spotkań towarzysko-opozycyjnych. Położenie blisko centrum miasta oraz ciepła, serdeczna atmosfera gospodarzy powodowały, że czasem było tam pełno ludzi, którzy akurat zeszli się przypadkowo. Z tego między innymi powodu po

dzenia stanu wojennego, 19 IX 1980 dokooptowany do składu prezydium Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S”, na jesieni 1980 rozpracowywany przez SB w ramach sprawy „Zaangażowany”, delegat na I Walny Zjazd Delegatów NSZZ „S” Regionu Gorzów, wybrany do Zarządu Regionu, delegat na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „S”, członek założyciel Polskiej Partii Demokratycznej (1981); 29 X 1981 otrzymał zarzuty prokuratorskie z powodu propagowania plakatów informujących o rocznicy najazdu ZSRR na Polskę w 1939 roku, 13 XII 1981 zastał go we Wrocławiu, dzięki czemu uniknął internowania, 14 XII 1981 uczestniczył w zebraniu, na którym powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, był jednym z kierujących strajkiem w Zakładach Mechanicznych, po rozbiciu strajku 16 XII nie został schwytany (ukrył się pomiędzy maszynami) i następnie ukrywał się przez kilka dni, w rezultacie zachorował i został zatrzymany (w nieznanych okolicznościach), a następnie 5 I 1982 skazany na 4 lata pozbawienia wolności, w więzieniu dotkliwie pobity, amnestionowany w lipcu 1983; po uwolnieniu zaangażował się ponownie w działalność opozycyjną i 5 XII 1983 ponownie zatrzymany za kolportaż drugoobiegowych wydawnictw (wraz z dwiema siostrami), za co 14 VI 1984 skazany przez Sąd Rejonowy w Gorzowie na 1,5 roku pozbawienia wolności, ponownie amnestionowany w lipcu 1984. Na przełomie lat 80. i 90. założył firmę „Magaz Adam Opiel Sp. z o.o.”. Firma pod nieco zmienioną nazwą (bez „Adam Opiel” istnieje nadal – 2008), zginął w wypadku samochodowym w Poznaniu wraz z siostrą Ireną. Żonaty dwukrotnie: 1. Elżbieta z domu Wysoczańska (z tego związku syn Michał Opiel) – mieszka w Szwecji, a po rozwodzie: 2. Teresa z domu Jusiel (córka Aleksandra Opiel).

- 108 Urszula Opiel, (ur. 1945 Lwów), ukończyła Technikum Krawieckie we Wrocławiu, pracowała jako krawiec, w latach 80. pomagała rodzeństwu w kolportażu drugoobiegowych wydawnictw, w piwnicy jej domu był skład sprzętu drukarskiego (Drzymały 27/1), który nie wpadł w czasie zatrzymania Adama Opieła i Ireny Ptaszek 5 XII 1983. Miała trzech mężów: 1. Jerzy Semak (z tego związku syn Arkadiusz); 2. Eugeniusz Rusowicz, 3. Józef Orzechowski.
- 109 Lidia Świdkiewicz, z domu Opiel, (ur. 1939 Lwów – zm. 2004 Gorzów), ukończyła LO nr 1 w Gorzowie (1957); następnie 2 lata studiów na psychologii na UAM w Poznaniu (1957–1959), pracowała: 1 I 1960 – 30 VIII 1965 – Miejska Biblioteka Publiczna w Gorzowie – kierownik filii, kierownik Oddziału Gromadzenia Zbiorów; 1 II 1966 – 10 IX 1979 ZPJ Silwana – bibliotekarka (1966–1976) i kierownik Zakładowego Ośrodka Pracy Ideowo-Wychowawczej (1976–1979); 11 IX 1979 – 31 VIII 1982 – w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Gorzowie; od 1 IX 1982 Spółdzielnia Mieszkaniowa Górczyn. Działaczka ZMP (1952–1956); ZSP (1957–1959), PZPR (od 1972) – od 1976 sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR w Silwanie Wg Adama Ejzermana (rozmowa z 20 marca 2008) z KW PZPR zwolniona za wynoszenie tajnych informacji i przekazywanie ich poprzez rodzeństwo „S”. Zatrzymana przez SB 5 XII 1983 r. pod zarzutem kolportażu pism drugoobiegowych razem z siostrą Ireną Ptaszek i bratem Adamem Opielem. Mąż – Augustyn Świdkiewicz (ur. 1939), w latach 80. przewodniczący nowych związków zawodowych w woj. gorzowskim.
- 110 Danuta Iżykowska, z domu Opiel (ur. 11 III 1941 Lwów), ukończyła Technikum Ekonomiczne w Gorzowie, następnie pracowała w Banku Spółdzielczym, Centrali Materiałów Budowlanych a w latach 1960–1981 w Zakładach Mechanicznych w Gorzowie, 1 V – 12 XII 1981 pracownik administracji w Zarządzie Regionu NSZZ „S”, internowana 13 XII 1981 – 11 II 1981 (Wawrów, Poznań ul. Młyńska, Gołdap), następnie salowa w Szpitalu Miejskim, później główna księgowa tamże, w 1989 roku zakładała tam NSZZ „S”, obecnie (2008) na emeryturze, mieszka w Gorzowie. Mąż Stanisław Iżykowski (ur. 1938), córka Anna (ur. 1971) – żona działacza opozycji Waldemara Rusakiewicza.

13 grudnia 1981 r. przez całe lata ta stara kamienica koło „Domu Chemika” znajdowała się pod stałą obserwacją Służby Bezpieczeństwa.

– **Elżbieta Intek**¹¹¹, pracownica administracji Wagonowni PKP, najbliższa przyjaciółka Ireny, która stała się także najbliższą przyjaciółką mojej Haliny. Po urodzeniu bliźniąt musiała wyłączyć się z działalności w „Solidarności” na PKP, ale później, w erze „komunizmu wojennego”, będzie mi ofiarnie pomagać. Poprzez Elę opozycyjne więzi wiodły do zaprzyjaźnionych z nią sąsiadów – aktorów **Stanisława i Teresy Gałęckich**. Pan Stanisław Gałęcki był założycielem „Solidarności” w Teatrze im. Osterwy.

– **Jurek Klincewicz**¹¹², artysta plastyk, jego antykomunistyczna przeszłość sięgała lat 60., kiedy „odsiedział” wyrok więzienia za udział w nielegalnej organizacji młodzieżowej. Później redaktor „Solidarności Gorzowskiej”, internowany w stanie wojennym, a następnie skazany na więzienie. Po uwolnieniu wyemigrował do USA, skąd powrócił w latach 90. Jest wiceprezesem Klubu Dyskusyjnego im. Grota-Roweckiego przy IPN. Łączyła nas bliska przyjaźń i współpraca w trakcie powstawania i istnienia legalnej „Solidarności”. Imponowała mi jego bystra obserwacja zjawisk i ludzi oraz umiejętność wyciągania logicznych wniosków, toteż często zwracałem się do niego o opinię w różnych sprawach, a szczególnie wtedy gdy zachowanie niektórych działaczy rodziło podejrzenia o współpracę z SB.

– **Leszek Paluch**¹¹³, przyjaciel Jurka, kolporter opozycyjnych wydawnictw w środowiskach robotniczych Gorzowa, internowany w stanie wojennym, po uwolnieniu wyjechał do Nowego Jorku.

– **Tadeusz Guśniowski**¹¹⁴, późniejszy mąż Ireny Ptaszek, działacz opozycji w „Silwanie”, wyrzucony z tego zakładu w stanie wojennym zarabiał na życie jako motorniczek tramwaju. W roku 1986 oboje wyemigrowali do Kanady, gdzie Tadeusz nadal mieszka po tragicznej śmierci Irki w czasie jej wizyty w kraju.

W tym miejscu przeproszam parę innych osób z „Silwany” za to, że po latach zawiodła mnie pamięć do ich nazwisk; także nie jestem w stanie odtworzyć nazwisk kilku dość aktywnych osób z mniejszych zakładów, z którymi kontakty utrzymywali niektórzy z wymienionych powyżej (poza tym nie wszystkich znałem osobiście).

111 Elżbieta Intek (ur. 1947 Gorzów), absolwentka Liceum Pedagogicznego w Gorzowie (1966) i Studium Nauczycielskiego (1969), nauczyciel w Szkole Podstawowej nr 18 (ul. Towarowa) (1966–1973), bibliotekarz w ZZK „Kolejarz” (1974–1978), pracownik Wagonowni PKP (1978–1999), obecnie (2008) na emeryturze w Gorzowie.

112 Jerzy Klincewicz (ur. 1948 Połęczko), plastyk, dziennikarz, w roku 1966 rozpracowywany przez SB w związku z założeniem nielegalnej organizacji i kradzieżą broni z LOK w ramach sprawy o kryptonimie „Zet 66”, w roku 1970 prowadzono przeciwko niemu śledztwo w związku z przesłaniem informacji do radia „Wolna Europa”, pracownik ZPJ „Silwana”, współautor projektu sztandaru Zarządu Regionu NSZZ „S” w Gorzowie, od grudnia 1980 członek redakcji „Solidarności Gorzowskiej” i „Echa” – rozpracowywany przez SB w sprawie o kryptonimie „Historyk”, członek założyciel Polskiej Partii Demokratycznej (1981) i w związku z tym rozpracowywany przez SB w ramach sprawy „Odłām”, internowany w okresie XII 1981 – VI 1982, po zwolnieniu wszedł w skład Regionalnej Komisji Wykonawczej „S”, zatrzymany po manifestacji z 13 VIII 1982 i skazany za udział w niej na 3 miesiące pozbawienia wolności (po odsiedzeniu 7 miesięcy), po zwolnieniu nie powrócił do działalności w RKW, zwolniony 1 IV 1983, w III RP m. in. działacz LPR, przez kilka lat na emigracji w USA, obecnie (2008) mieszka w Gorzowie.

113 Leszek Paluch (ur. 1950 Stargard Szczeciński), kilkakrotnie pracownik ZPJ „Silwana”, później pracownik „Warta-Tourist” w Gorzowie, internowany w okresie XII 1981 – IV 1982.

114 Tadeusz Guśniowski, (ur. 1954 Gorzów Wlkp.), kierowca w ZPJ „Silwana” w Gorzowie (1976–1982), zatrzymany przez SB 10 XI 1982 pod zarzutem kolportażu „Feniksa”, drugi mąż Ireny Ptaszek (z domu Opiel), obecnie na emigracji w Kanadzie.

Na początku lata 1980 r., aby wreszcie mnie odciążyć od podróżowania, **Wiesiek Beń** (ten, z którym poznaliśmy się w „Empiku”) został kurierem między Gorzowem i Warszawą – obsługując jeden z trzech niezależnych od siebie kanałów przerzutowych, obok **Andrzeja Szai** oraz kanału za pośrednictwem Gryfina (nie wliczam tu „źródeł zaopatrzenia” istniejących równolegle w środowisku Duszpasterstwa). Wiesław miał przywozić głównie materiały płatne, tj. książki i większe czasopisma publicystyczne, a także kasety z nieocenzurowanymi nagraniami znanych kabaretów i satyryków. Coś jednak szwankowało w tym nowym układzie. Na trzy wyjazdy Wiesława były dwie duże „wpadki”, w tym łupem „bezpieki” padło około 180 książek i broszur, czyli załączek naszej „biblioteki latającej”, pomyślanej na wzór już istniejących w innych miastach. Takie biblioteki stanowiły realizację bardzo ważnego punktu programu wszystkich ugrupowań opozycyjnych, gdyż bez względu na różne odcienie polityczne walkę z instytucją cenzury wszyscy stawialiśmy sobie za jeden z podstawowych celów. Druga „wpadka” to także była prawie cała torba czasopism świeżo przywiezionych z Warszawy. Wiesław miał dostarczyć „towar” do „Dziadka” **Jędrysa**, który posiadał skrytkę w swoim bloku (u sąsiadów czy w piwnicy, tego nie wiem). Twierdził, że „Dziadka” nie zastał, więc zabrał towar do kolegi mieszkającego w hotelu robotniczym, a tam wkrótce wkroczyła „bezpieka” na rewizję.



Marian Moszko, Elżbieta Intek i Leszek Paluch, Gdańsk 16 grudnia 1980 (zdjęcie z archiwum Elżbiety Intek)

We trójkę, z Ireną i **Marianem Moszką** (oprócz mnie tylko oni wiedzieli o wyjazdach Wieska) analizowaliśmy cały incydent. Nabraliśmy w stosunku do niego podejrzeń. Irena postanowiła go odsunąć od swojego środowiska, a ja od kontaktu z Warszawą. O naszych podejrzaniach z czasem dowiedzieli się inni ludzie z tej grupy w „Silwanie” i zaczęli Wieska unikać. Myśląc o tym po latach, dochodzę do wniosku, że przyczyny mogły leżeć gdzie indziej. Odsunęliśmy go od działalności już po trzeciej wyprawie warszaw-

skiej, po której nie było wpadki. Brak tej wpadki tłumaczyliśmy sobie próbą uwiarygodnienia go przez SB. Być może skrzywdziliśmy niewinnego człowieka. Ta sprawa nie daje mi spokoju, zwłaszcza, że pamiętam przeprowadzoną przez niego spektakularną akcję, którą teraz przedstawię.

Była niedziela na przełomie lipca i sierpnia, po głośnym strajku kolejarzy lubelskich. Z rana Wiesiek miał wrócić z Warszawy z transportem bibuły, ale według planu powinien był ukryć przesyłkę i przez parę dni nie kontaktować się ani ze mną, ani z nikim z naszego kręgu. Toteż nie wiedziałem, jak przebiegła jego wyprawa. W to niedzielne, spokojne południe ktoś zadzwonił do drzwi naszego domu. Młody esbek wręczył mi wezwanie na przesłuchanie na ten sam dzień, za dwie czy trzy godziny, „w charakterze świadka” i z numerem jakiegoś paragrafu kodeksu karnego. Wezwanie było formalne, więc zgodnie z prawem musiałem podpisać i pójść na przesłuchanie. Nasuwał mi się prosty wniosek, że w takim razie musieli Wieśka złapać w czasie transportu. Okazało się, że chodzi o co innego. W drzwiach do komendy na Teatralnej stał znany mi z wcześniejszych perypetii z SB kapitan (lub może jeszcze wtedy porucznik) **Siwek**, który chyba już na mnie czekał, bo od razu na „przywitanie” zarzucił mi, że znowu urządzam prowokację, bo „posuwam się do zaśmiecania ulotkami nawet parkingu komendy”. Powiedziałem, że to jakaś bzdura, więc zaprowadził mnie do swojego pokoju, gdzie pokazał mi powielaczową ulotkę z oświadczeniem redakcji pisma „Robotnik” w związku z zakończeniem lubelskiego strajku kolejarzy. Chyba miałem zdziwioną minę, bo oświadczył: *Jeżeli to nie pana sprawka, to ja nic nie rozumiem, bo inni wyszli już na pielgrzymkę* (aluzja do działaczy duszpasterstwa akademickiego). I na zakończenie dodał pogroźkę: *Jeżeli się jednak okaże, że to pan organizuje rozrzucanie tego po ulicach, to ze względu na sytuację w kraju zamknijemy pana natychmiast*.

Wracając do domu, zastanawiałem się, o co tu może chodzić. Spotkałem znajomych, którzy wcześniej tego dnia byli na mszy w katedrze. Pokazali mi taką samą ulotkę, opowiadając, że wiatr rozwiewał je wzdłuż ulicy Wodnej lub Mostowej, a ludzie idący z kościoła podnosili. Zaintrygowany tym na drugi dzień skontaktowałem się z Wieśkiem, który przyznał, że to była jego robota. Powiedział, że w Warszawie do większych periodyków dołożono mu około 300 sztuk tych ulotek. Jechał z Krzyża sam w ostatnim przedziale ostatniego wagonu, więc przyszło mu do głowy, aby większość ulotek rozrzucić z pociągu w czasie przejazdu przez miasto. Pierwszy plik rzucił już w kierunku teatru, a wiatr zamiast w kierunku ulicy poniósł je wzdłuż torów w stronę komendy. Potem akcję kontynuował z wiaduktu kolejowego w centrum miasta. My jednak uznaliśmy, że jeżeli nawet wcześniejsze wpadki nie były z jego powodu, to powinien być odsunięty za złamanie reguły, gdyż kurierowi w czasie transportu nie wolno było swoim zachowaniem zwracać uwagi otoczenia na zawartość bagażu.

Ta akcja Wieśka, a także równoległy kolportaż w zakładach najnowszego wydania „Robotnika” z informacjami o strajku lubelskim (ten numer specjalny przywiózł chyba **Andrzej Szaja** razem z „Placówką”) być może w jakimś stopniu wpłynęły na to, że na przełomie lipca i sierpnia w kilku gorzowskich zakładach miały miejsce przejawy buntu, głównie na tle płacowym, czasem dodatkowo na tle problemów socjalnych. To były akcje krótkotrwałe, od petycji, poprzez burzliwe spotkania z dyrekcją, do przerywania pracy przez część załogi. Do przerwania produkcji doszło na początku sierpnia m. in. w „Ursusie” i „Silwanie”, ale chyba tylko w przypadku tego ostatniego zakładu akcja była na tyle poważna (mimo że krótkotrwała), że można ją zakwalifikować jako strajk. Posiadałem także informacje o postulatach płacowych wśród części załogi w „Stolbudzie” oraz o burzliwych zebraniach na niektórych wydziałach „Stilonu”, a także w paru mniejszych

zakładach, ale konkretnie w których, to już w tej chwili nie jestem pewny. W niektórych przypadkach dyrekcje zgadzały się na podwyżkę płac i na rozpatrzenie ewentualnych problemów socjalnych, bhp i tak dalej, w innych przypadkach załoga dawała administracji dodatkowy czas na rozpatrzenie postulatów, w innych zaś odmawiano rozmów z pracownikami.

Kiedy jednak w dwa-trzy tygodnie później oczy całej Polski były skierowane na dwie stocznie, w których rozgrywała się batalia już nie o pieniądze, ale o szereg praw politycznych na czele z prawem do tworzenia wolnych związków zawodowych, nie było w Gorzowie wystarczającej atmosfery strajkowej i tym samym wyraźnego poparcia dla Gdańska i Szczecina, pomimo naszych akcji ulotkowych i wysiłków sympatyków opozycji pracujących w większych zakładach. Zapewne nie o wszystkich inicjatywach tego typu wiedziałem. Z tego, co jestem w stanie dziś przytoczyć, to jeden z moich sąsiadów przywiózł z Gdańska plik biuletynów „Solidarność” wydawanych przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, które na drugi dzień trafiły do większych zakładów. **Marian „Dziadek” Jędrus** całymi godzinami przepisywał na maszynie 21 postulatów strajkowych i kolportował je samodzielnie, jeżdżąc po mieście motorowerem. **Bogusław Gruszczyński** odwiedził Stocznnię Gdańską, skąd przywiózł sporą ilość różnych materiałów. Razem ze swoją starszą matką przez całą noc chodzili od bramy do bramy, rozkładając to, gdzie się dało, a potem kontynuował swą akcję w pojedynkę w Słubicach. **Andrzej Szaja** robił to samo w Barlinku i w innych miejscowościach, z których dojeżdżali ludzie do pracy w Gorzowie. Większą akcję rozkładania ulotek i naklejania ich na mury wykonała kilkuosobowa grupa naszych działaczy i sympatyków, m. in. **Leszek Paluch**, **Marian Moszko** i **Zbigniew Mazurek**. Nie znam szczegółów, bo nie brałem w tym udziału. Wiem tylko, że po mieście ścigała ich SB i mundurowa milicja, a wszystkim udało się uciec z wyjątkiem jednego człowieka (nie chciałbym tu przytaczać nazwiska), który po zatrzymaniu przestraszył się i wycofał z działalności, a potem jeszcze okazało się, że w czasie „rozmowy” opowiedział ze szczegółami, co wie o pozostałych.

Przy tej okazji wypada mi odnotować samodzielną, lecz ożywioną działalność jeszcze jednego działacza opozycji w Gorzowie, szczególnie w czasie strajków na Wybrzeżu, kiedy kolportował bibułę warszawską, a także wykonane przez siebie ulotki, popierające 21 postulatów. Był to **Jan Wielgosz**¹¹⁵, przysły członek Zarządu Regionu i delegat na Krajowy Zjazd „Solidarności”, utalentowany rysownik, którego karykatury polityczne były znane w mieście z plakatów związkowych. Niestety, poznałem go osobiście dopiero w MKZ-cie. Wielgosz na parę miesięcy przed Sierpniem dotarł w Warszawie do paru osób związanych z ROPCiO oraz do członka KSS „KOR” **Zbigniewa Romaszewskiego** (senator w demokratycznej Polsce), ale nie skontaktowano nas ze sobą. Romaszewskiemu byłem znany, ale kojarzył mnie z Wrocławiem.

115 Jan Wielgosz (ur. 12 V 1935 Krzycko Małe), malarz w Przedsiębiorstwie Eksploatacji Dróg Komunalnych w Gorzowie, wg danych SB „działacz antysocjalistyczny” od 1976, współpracownik KSS „KOR” – był w kontakcie z Edmundem Zadrożyńskim (1980–1981) i jako taki rozpracowywany przez SB w ramach sprawy o kryptonimie „Naiwny”; założyciel NSZZ „S” w swoim zakładzie we wrześniu 1980 i następnie przewodniczący Komisji Zakładowej „S”, 10 IX 1980 z jego inicjatywy odbyło się zebranie założycielskie „S” w salce parafialnej przy katedrze, 13 IX 1980 jeden z inicjatorów powołania Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S” w Gorzowie – jednak nie wszedł do jego składu, członek Regionalnego Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania (1981), delegat na WZD NSZZ „S” Region Gorzów, wybrany do składu Zarządu Regionu, delegat na I KZD NSZZ „S”; autor wielu plakatów satyrycznych o tematyce politycznej, internowany w okresie XII 1981 – VI 1982, następnie na emigracji w Szwecji, gdzie w 1988 roku był przedstawicielem Regionalnej Komisji Wykonawczej „S” w Gorzowie.



I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, Gdańsk, wrzesień 1981. Widoczni od lewej: Jerzy Hrybacz, Jan Wielgosz (prezentuje jeden ze swoich rysunków), Adam Opiel, Anatol Konsik, Bronisław Zych (fot. Henryk Serwaczak, ze zbiorów Bogusława Gruszczyńskiego)

Mniej więcej na tydzień przed końcem sierpnia brałem udział w spotkaniu w Duszpasterstwie Akademickim, gdzie ludzie pracujący w kilku różnych zakładach dyskutowali o sytuacji w Gorzowie i właściwie zgodnie stwierdzali, że załogi nie są chętne podjąć strajk okupacyjny. Ktoś podał przykład jak w „Stilonie” zdecydowana większość ludzi przechodziła obojętnie obok napisu „Wolne związki!” (po wielu latach dowiedziałem się, że ten napis wykonał **Józef Szoppe**¹¹⁶, późniejszy działacz „Solidarności” w tym zakładzie, więziony w stanie wojennym). To samo mówili moi współpracownicy. Bardziej „bojowa” atmosfera panowała tylko w Elektrowni, ale tam strajkować nie mogli. W zakładach, w których mieliśmy najsilniejsze przyczółki, czyli w „Ursusie” i „Silwanie”, a także w „Przemysłowce”, gdzie dużym autorytetem cieszył się brat Ireny – **Adam Opiel**, niektórzy ludzie byli skłonni zastrajkować, ale czekali na „Stilon”, ów okręt flagowy gorzowskiego przemysłu. Inaczej było w powiązanim gospodarczo z przemysłem stocznim małym Barlinku, gdzie w kilku zakładach doszło do strajku dla poparcia postulatów Szczecina.

Wkrótce jednak gruchnęła wiadomość z „Silwany”, że nowy Wydział Wykończalni, znajdujący się za „Stilonem” na ul. Walczaka, jest skłonny ogłosić strajk bez oglądania

¹¹⁶ Józef Szoppe (ur. 1948 Twardogóra), z zawodu murarz, jako aparatowy pracownik WSS „Społem” w Gorzowie (1962–1970), Zakładów Mięsnych w Gorzowie (1970–1974, 1976–1978), ZWCh „Stilon” w Gorzowie (1974–1978 i 1979–1982), RSW „Prasa, Książka, Ruch” (1978–1979); w roku 1982 internowany (10 V – 21 VI), aresztowany za udział w demonstracji 13 sierpnia 1982 r. pod katedrą i 27 IX 1982 skazany na 3 lata pozbawienia wolności, a następnie zwolniony z pracy w „Stilonie” z powodu pozbawienia wolności, obecnie (2008) na emigracji w Kanadzie.

się na „Stilon”. Postanowiliśmy szybko skoncentrować nasze wysiłki na tym jednym, ale dość dużym wydziale „Silwany”, którego postawa mogła łatwo wpłynąć na „starą Silwanę” na Zawarcu. Ale było to dla nas ważne nie tylko dlatego. Otóż w czasie spotkania z **Irką Ptaszek** i jej koleżanką (której nazwiska już nie pamiętam), długo dyskutując, robiliśmy następujące kalkulacje. Wykańczalnię traktujemy jako zapalnik, którego do tej pory brakowało. Stamtąd strajk może się rozprzestrzenić na sąsiedni „Stilon”. Na taką ewentualność miałem jeszcze tego samego wieczora przygotować paru naszych ludzi ze „Stilonu”, przede wszystkim **Kazia Modzelana**. Z kolei ze „Stilonem” od strony ul. Podmiejskiej sąsiadowały bazy autobusowe PKS i MPK, gdzie niestety nie mieliśmy współpracowników (wcześniej współpracował z nami jeden kierowca, ale wycofał się z działalności). Ale jeżeli te zajezdnie zareagują spontanicznie, po sąsiedzku, to zostanie od razu sparaliżowana komunikacja i strajk praktycznie „rozleje się” na całe miasto, tak jak to stało się we Wrocławiu.

Nie muszę chyba dodawać, że takie spotkania między nami w ostatnim tygodniu sierpnia 1980 roku nie były łatwe do zorganizowania. Nie tylko ja byłem intensywnie śledzony w tych dniach, ale także **Zygmunt Jędrzak** i **Irena Ptaszek**, zapewne też i inni, chociaż nie wiem. Spotykanie się z wieloma ludźmi przy jednoczesnym udawaniu, że nic nie robimy, wymagało różnych pomysłowych sztuczek. A wówczas samo zdradzanie zamiaru ucieczki od obstawy mogło pociągnąć za sobą natychmiastowe zatrzymanie. Zrozumiałem ludzi, do których miałem wcześniej ukryty żal, że nie chcą dołączyć do naszej jawnej działalności. Teraz mogli pomóc w zaaranżowaniu jednego czy drugiego spotkania. Nie wystarczyło bowiem na przykład, że idąc do Irki udało mi się „zgubić ogon”, bo jej kamienica była już wtedy obstawiona nawet w nocy. Początkowe przekonanie, że żaden większy zakład gorzowski nie ma zamiaru zastrajkować, spowodowało, że nie byliśmy do tego należycie przygotowani. Mając depczącą nam po piętach „bezpiekę”, w ciągu dwóch dni nie udało nam się uzgodnić wszystkiego i spotkać się ze wszystkimi, którzy mieli jakiegokolwiek kontakty z Wydziałem Wykończalni. Trzeba wspomnieć, że na domiar złego trwał jeszcze sezon urlopowy, więc niektórych naszych współpracowników nie było w mieście. Na dodatek, kiedy Irena próbowała tam wejść, strażnik oznajmił jej, że ma kategorię zakaz wpuszczania jej na wydział. SB wiedziała, że nie może pozwolić, aby ta skromna kobieta w tym dniu znalazła się wśród załogi, bo jest nie tylko nieustraszona, ale ma dar zjednywania sobie ludzi.

W sumie nie udało się. W piątek, 29 sierpnia, kiedy Wykończalnia chciała rozpocząć strajk, jeden z pracowników cieszący się autorytetem potrafił ludzi przekonać, aby zaczęli do poniedziałku, bo być może za niedługo zostanie podpisane porozumienie w Gdańsku. Zabrakło tam ludzi, którzy umieliby wytłumaczyć, że dla osiągnięcia głównego celu, czyli zgody władz na wolne związki zawodowe, Gdańsk potrzebuje jak najwięcej aktów solidarności z całego kraju, a zbyt słabe poparcie może oznaczać rozwiązanie siłowe.

Na nieudanym strajku w „Silwaniu” kończy się moja działalność w opozycji zwanej umownie „przedsierpniową”. Nic wielkiego w tym okresie nie uczyniłem w Gorzowie, ale byłem w tym wspaniałym mieście jednym z prekursorów idei „Solidarności”, bo stawałem na tworzenie opozycji wśród robotników i chłopów.

STRAJKOWY BIULETYN INFORMACYJNY

≡ SOLIDARNOŚĆ ≡

STOCZNA GDAŃSKA - Dnia 27 sierpnia 1980 r.

Nr 6

Co robi władza ?

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy postawił Komisji Rządowej jako wstępny warunek rozpoczęcia rozmów odblokowanie telefonów. Dlaczego spełnienie tego żądania uznane zostało za tak ważne?

Otóż od początku trwania strajków na Wybrzeżu władza usiłuje - i w jakimś stopniu się jej to udaje - "odciąć" resztę Polski od dopływu jakichkolwiek informacji o tym, co naprawdę dzieje się na Wybrzeżu.

Prasa zamieszcza kłamliwe artykuły, radio i TV albo milczą, albo dezinformują. W tej sytuacji dobrze działająca łączność telefoniczna byłaby jakimś środkiem zaradczym. Strajkujący mogliby zawiadamiać znajomych w innych miastach o rzeczywistej sytuacji na Wybrzeżu. Prawdziwe informacje ukazywałyby się też w pismach wychodzących poza zasięgiem cenzury.

Co robi władza? Przerywa łączność telefoniczną, a działaczy opozycyjnych, kolportujących informacje o strajkach, zamyka do aresztu. Od 19.08.80 w Warszawie zatrzymano 25 osób /są to napewno informacje niepełne/ członków i współpracowników Komitetu Samoobrony Społecznej "KOR", redaktorów niezależnych pism "Robotnik", "Płocówka", intelektualistów solidaryzujących się z robotniczym wystąpieniem. Ponieważ MO bez zgody prokuratora może zatrzymać człowieka tylko na 48 godz., część osób

/J.Kuronia, W.Luczywo, H.Wujca, J.Śreniowski, J.Lityński, P.Kupieckiego, A.Michnika/ przewożono po upływie każdego 48 godz. do innej Komendy. Osoby te od tygodnia przebywają w Komendach MO. Dwóm osobom - H.Wujcowi i J.Śreniowskiemu - udało się w czasie transportu uciec dzięki pomocy przypadkowych przechodniów.

W Warszawie nie działają telefony w mieszkaniu działaczy opozycji demokratycznej.

Podobnie jest w innych rejonach kraju. Na Zdzisława Małcha z Bieliska Białej nałożono areszt domowy, był wielokrotnie przesłuchiwany. Powodem tej akcji była chęć utrzymania w tajemnicy wiadomości o strajku w FSM w Bielisku Białym.

To samo spotkało Stefana Kowalczyka, górnika z Nowej Rudy, Wacława Mojka z Tarnowa, Stefana Siekanowicza z Górzowie Wlkp., Ludwika Werle z Wrocławia. W Krakowie pobito Pawła Witkowskiego oraz Wojciecha Sikorę, w Toruniu - Stanisława Śmigła i Konrada Turzyńskiego. Są to działacze demokratycznej opozycji.

Trzymając działaczy opozycyjnych za kratkami więzień, władza sądzi, że utrzyma w tajemnicy, za kratkami cenzury wiadomości o sytuacji na Wybrzeżu. Czy to się jej uda?

R E D A K C J A

Wzmianka o represjach wobec Stanisława Siekanowicza w Strajkowym Biuletynie Informacyjnym „Solidarność” Stoczni Gdańskiej z 27 VIII 1980 r. (z błędnie podanym imieniem)